

FRANCO SCAGLIA

CZARNA
MIEWA

WYDAWNICTWO
KRAKÓW 2008

Tytuł oryginału:
Il Gabbiano di Sale

Tłumaczenie:
Agata Ryndak-Laciuga

Redakcja techniczna:
Ewa Czyżowska

Łamanie:
Joanna Lazarów

Korekta:
Mateusz Czarnecki
Krystyna Dulińska
Karolina Ulman

Okładka:
Andrzej Welmiński

Copyright © 2004 Franco Scaglia, All rights reserved
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo M, Kraków 2007

ISBN 978-83-60725-71-9

Wydawnictwo M
ul. Kanonicza 11, 31-002 Kraków
tel. 012-431-25-50; fax 012-431-25-75
e-mail: mwydawnictwo(a mwydawnictwo.pl)
www.mwydawnictwo.pl
www.ksiegarniakatolicka.pl

Od autora

Kuzyni od Ściany to Izraelczycy, Przyjaciele ze Skały to Palestyńczycy.

Czarna mewa

Ugryzłem jabłko z Keraku. Mówią, że w całej Jordanii nie ma równie słodkich, smakowitych i pachnących. Znajdowałem się na wybrzeżu Morza Martwego, niedaleko Qumran i świętych ruin gdzie w przeszłości kilka razy zatrzymałem się na modlitwę.

Spojrzałem na wzgórza poprzecinane naturalnymi jaskiniami, które znikają gdzieś wysoko. Wielobarwne promienie wschodzącego słońca oświetlały piasek, wydmy, na wpół wyschnięte studnie, nieotynkowane domy, które dostrzegalem w oddali. Chłodne powietrze gładziło moją twarz. Zwróciłem uwagę na jakiś kształt unoszący się na powierzchni wody. Wydał mi się czarną mewą, która swoimi rozpostartymi skrzydłami muskała gęstą wodę.

W Morzu Martwym, najgłębszej i najbardziej tajemniczej studni w świecie ludzkich pragnień, nic się nie porusza. Pływanie to odległa perspektywa, bo gdy tylko napierasz ciałem w dół, woda wypycha cię do góry jak gumową piłkę, a oczy wypełniają się solą i pieką. Pomyślałem, że wszystko zrodziło się z wody, ale człowiek stąpa po ziemi i to determinuje jego wrażenia, punkt widzenia, sposób postrzegania świata.

Skończyłem jeść jabłko. W ustach zostały mi dwie pestki. Żułem je długo, nie mogąc się zdecydować, co z nimi zrobić.

Miałem ochotę je wypluć, jak kiedyś, w czasach szkolnych, jednak nie wydawało mi się to stosowne w tej sytuacji. Pokłamałem je w czasie rozmowy z Kuzynem od Ściany.

- Wielebny Ojciec, proszę wybaczyć, że pozwoliłem sobie wysłać mojego kierowcę, żeby przywiózł ojca z Betlejem bez wcześniejszego zawiadomienia, ale naprawdę nie było na to czasu.

Przedstawił się. Nazywał się Nadav Gruber, był wicedyrektorem Tsometu, sekcji Mossadu zajmującej się nadzorowaniem i szpiegowaniem krajów arabskich. Ten wysoki, szczupły mężczyzna z niebieskimi oczami i czarnymi, prostymi włosami, na pierwszy rzut oka robiący wrażenie uprzejmego, wyglądał na niewiele ponad trzydzieści lat.

- Mam nadzieję - kontynuował - że rozumie ojciec mój pośpiech i ostrożność i doceni fakt, że poza ojcem, mną, moim kierowcą i trzema agentami nie ma tutaj nikogo innego. Musimy działać szybko, żeby zdążyć, zanim pojawią się turyści.

Miałem ochotę odpowiedzieć, że w Ziemi Świętej trudno było się na kogoś natknąć i że wydawało mi się mało prawdopodobne, że w ciągu kilku minut, właśnie Qumran przeżyje najazd Japończyków, amerykańców i grup pielgrzymów. Jednak moja reakcja z pewnością wywołałaby dyskusję na temat skutków tej „katastrofy”, a nie chciałem wchodzić w spory z Kuzynem od Ściany - policjantem i nieznajomym.

Gruber wydał swoim ludziom suchy rozkaz. Jeden z nich wrzucił do wody sznur z pętlą na końcu. I tak jak w kowbojskich filmach, które widziałem, pętla wsunęła się w to, co wydawało mi się skrzydłem, i czarna mewa została przyciągnięta do brzegu w niedbały, nonszalancki i pozbawiony szacunku dla jej śmierci sposób.

Teraz leżała przede mną na ciemnym piasku, wśród gładkich kamieni. Gruber zdjął sznur i przyglądał się dłuższą chwilę. Ja też spojrzałem. Swędziała mnie dolna część prawego ucha mój niezawodny dzwonek alarmowy, zwiastujący niebezpieczeństwo, coś, co nie zmierzało torem wyznaczonym uderzeniami mojego serca.

Gruber zadał mi pytanie:

- Rozpoznaje ojciec tego człowieka?

Nie odpowiedziałem. Ciągnął dalej:

- Nie chciałbym, żeby ta sprawa stała się dla ojca palącym problemem.

Odparłem, że jeszcze nigdy nie widziałem czarnej mewy.

- Ależ fantastyczne określenie dla denata! - wykrzyknął. I dodał:

- Jedyną pewną rzeczą jest fakt, że ta ojca czarna mewa ma na sobie habit, a ponieważ jest ojciec Kustoszem Ziemi Świętej, czyli zwierzchnikiem wszystkich franciszkanów przebywających w tych stronach, przypuszczam, że ten zakonnik, który, jak mi się zdaje, nie cieszy się już dobrym zdrowiem, należał do ojca trzódki. Czy może mi ojciec jakoś to wyjaśnić?

Odpowiedziałem mu chłodno. Zirytował mnie jego ton i zachowanie. Nie byłem w stanie przypisać czarnej mewie imienia, bo nie wiedziałem, kim był ten człowiek. A co do ubrania, stwierdziłem nieco pompatycznie, że wkładanie habitu zmarłemu, który z pewnością nie był członkiem mojego zakonu, uważam za niesmaczną prowokację przeciwko wszystkim franciszkanom na świecie, a wręcz całemu Apostolskiemu Kościołowi Katolickiemu, bo ten strój jest symbolem wiary i misji, które przetrwały przez wieki mimo wszystkich przeciwności.

Wziąłem oddech i uśmiechnąłem się, zadowolony z siebie. Gruber ze spokojem wyjaśnił mi, że jego praca polega na tym, by opierać się na faktach. Ponieważ denat bez cienia wątpliwości ma na sobie habit, jedyny i oczywisty wniosek, jaki z tego wypływa, jest taki, że mamy do czynienia z zakonnikiem. Chciałby mnie jednak zapewnić, że żywi bezwzględny szacunek wobec mojej osoby, mojej roli w całej sprawie i tego, co reprezentuję.

- To wszystko jednak, wielebny ojcze, nie powstrzymuje mnie od dociekania, dlaczego nazwał ojciec denata czarną mewą. Czy było to może przezwisko jakiegoś znajomego?

Straciłem cierpliwość. Krzyknąłem:

- Jest pan dokładnie taki sam, jak ci wszyscy, którzy zawsze czują się pewni swego!

Wydawał się poruszony moją reakcją, przeprosił mnie i dodał:

- Mógłbym ojcu odpowiedzieć, że dla dalszej uprawy winorośli na wzgórzach Samarii konieczny jest pokój. A tu taj zbyt wielu go nie chce. Być może również ten, którego nazwał ojciec czarną mewą.

Stwierdziłem, że tym razem się z nim zgadzam, a potem powiedziałem:

- Proszę mnie posłuchać, Gruber. Urodziłem się w Ginostra na wyspie Stromboli¹. Nie było tam elektryczności, a wodę nieregularnie dostarczał tankowiec. Dlatego wykorzystywaliśmy deszczówkę. Wieczorami, po kolacji, nasi starszacy opowiadali bajki. Chciałbym panu podarować tę, którą najbardziej lubię. Otóż pewnej nocy zwierzęta, które żyły na naszej wyspie, prowadziły dyskusję na temat sposobu,

¹**Stromboli** - czynny wulkan na Morzu Tyrreńskim, w grupie Wysp Liparyjskich. Nadwodna część tworzy wyspę o tej samej nazwie.

w jaki pociąga je wulkan. Głos zabrały koty i dzikie króliki, psy i koguty, kury i kaczki, mewy i nietoperze. Jednak tylko te ostatnie powiedziały coś interesującego, wyjaśniając, że w świecie natury są tacy, którzy unikają ognia, i tacy, którzy go pragną. Przywódca mew, ptak o czarnym upierzeniu, wysłuchał ich z uwagą. Poprosił wszystkich, by zastanowili się nad słowami nietoperzy. Prośba została przyjęta z entuzjazmem, ale okazało się, że koty rozmawiały z kotami o swoich własnych problemach, psy z psami, podobnie jak inne zwierzęta, zapominając o radzie. Wtedy czarna mewa, w towarzystwie reszty stada, pofrunęła w górę i kilka razy okrążyła jeden z trzech wylotów wulkanu. Przez chwilę pozostała w bezruchu nad tym ognistym okiem, aż wreszcie zanurkowała w sam środek, elegancko i zdecydowanie, trzymając skrzydła blisko ciała. Leciała ciągle w dół, czarna i majestatyczna, nabierając szaleńczej prędkości. Znikła krzyżąc: „To właśnie jest szczęście!”. Jej towarzysze wrócili do pozostałych zwierząt i opowiedzieli, co się wydarzyło. Jednogłośnie zdecydowali, że będą czcić czarną mewę jako bóstwo.

- No więc, panie Gruber, ten kształt, który dostrzegłem w Morzu Martwym, przypomniał mi czarną mewę z tej bajki. Z tego powodu nazwałem go w ten sposób. Czy teraz jest pan usatysfakcjonowany?

Spojrzał na mnie bez przekonania. Dodałem więc:

- Podam panu inne wyjaśnienie. Kiedy stojąc na brzegu obserwowałem to ciało, unoszące się na wodzie z rozpostartymi ramionami, ułożonymi prostopadle do klatki piersiowej, ciemny habit, który z powodu słonej wody wyglądał jakby był jednolitą bryłą porośniętą piórami, odniosłem wrażenie, że przypomina czarną mewę.

- Nie wydaje mi się, żeby taki gatunek w ogóle istniał - skomentował lodowatym tonem Gruber.

Nie chciałem rozpoczynać nowej dyskusji, dlatego, zmieniając temat, zapytałem, czy według niego ten biedny człowiek został zamordowany. Oficjalnym tonem i używając fachowych sformułowań oznajmił, że autopsja wyjaśni przyczynę i czas zgonu. Potem powiedział coś do swoich ludzi i czarna mewa wylądowała w bagażniku białej furgonetki, do której wsiadło trzech agentów Tsometu, niezwłocznie odjeżdżając. Gruber zaproponował, że odwiezie mnie do Jeruzolimy. Nie miałem innej możliwości i byłem zmuszony przyjąć zaproszenie, chociaż zrobiłem to niechętnie. Zająłem tylne siedzenie czarnego volvo, tego samego, który zabrało mnie z Betlejem. Gruber usiadł obok mnie. Samochód pojechał inną drogą niż furgonetka, ale wtedy nie zwróciłem na to uwagi, skupiając się na ponownym przeanalizowaniu całego zdarzenia.

Kierowca Grubera dotarł do Bazyliki Narodzenia Pańskiego o szóstej rano. Poprzedniego dnia wieczorem odprawilem mszę dla uczczenia pamięci naszego mistrza, wielkiego archeologa, ojca Bellarmina Bagatti. Tego dnia mijała kolejna rocznica jego śmierci. Każdego roku wspominałem go w ten sposób. Potem zjadłem kolację razem ze współbraćmi i wyjaśniłem im, w jakim punkcie znajduje się skomplikowana historia klucza.

Kiedy Kuzyni od Ściany oblegali Bazylikę i nasz klasztor, bo schroniło się w nim kilku Przyjaciół ze Skąły, których my uważaliśmy za grupę przestraszonych wiernych, a oni za niebezpiecznych terrorystów, zarekwirowali dwa klucze od Bazyliki. Jeden zabrali nam, a drugi greckim prawosławnym braciom, z którymi dzieliliśmy duchową i materialną odpowiedzialność za to sanktuarium. Te klucze posiadały wyjątkową wartość symboliczną.

Z naszego punktu widzenia doszło do prawdziwych represji w stosunku do Kustodii Ziemi Świętej, postrzeganej jako zbyt łagodna i otwarta wobec ekstremistycznych grup Przyjaciół ze Skąły. Natomiast według Kuzynów od Ściany ten akt stanowił zwyczajny środek bezpieczeństwa. Oblężenie zakończyło się już dawno, a mój poprzednik kierujący Kustodią zmarł z tym strapieniem, bo mimo zdolności dyplomatycznych nie udało mu się odzyskać klucza. Kuzyni od Ściany utrzymywali, że przekazali go na ręce greckich prawosławnych współbraci. Ich patriarcha Aleksy, którego o to zapytałem, powiedział mi, że formalnie rzecz biorąc oddanie naszej kopii leży w gestii Kuzynów od Ściany, chociaż jest ona teraz w jego posiadaniu. Poradził mi, żebym wyjaśnił ten problem izraelskiemu ministrowi spraw religijnych, który z pewnością poprosi o zwrot klucza, a on natychmiast go przekaże. Wtedy odda mi go sam minister. Być może podczas pięknej i wzruszającej, oficjalnej ceremonii, która rozproszy ciemne chmury i usankcjonuje odnowione porozumienie pomiędzy Kustodią Ziemi Świętej i rządem Szarona.

Jednym słowem - zakończyłem - to jedna z tych bezsensownych spraw, ciągnących się bez końca, którymi wypełniona jest historia Ziemi Świętej. Współbracia podziękowali mi za wyjaśnienia, po czym ukłękliśmy, żeby się wspólnie pomodlić o przyszłość pod znakiem pokoju. Zrobiło się późno, dlatego zdecydowałem, że zostanę na noc w Betlejem.

W jaki sposób Gruber dowiedział się, że tam jestem? Nagle to do mnie dotarło: byłem śledzony przez agentów Tsome-tu. Uznałem to za obraźliwe i niepokojące działanie. Gdyby zaszła potrzeba, oficjalnie zaprotestowałbym u samego premiera Szarona. Tymczasem pojawiło się kolejne pytanie,

na które, póki co, nie znalazłem zadowalającej odpowiedzi. O której godzinie Kuzyni od Ściany znaleźli czarną mewę? Morze Martwe na pewno nie było w nocy oświetlone.

Od kilku miesięcy pełniłem funkcję kustosza i zdawałem sobie sprawę, że ten zmarły biedak, którego moja wyobraźnia nazwała czarną mewą, mógł stać się dla nas, franciszkanów, zagrożeniem, gdyby śledztwo potwierdziło, że naprawdę był zakonikiem. Na razie miałem tylko pewność, że nie był naszym współbratem z Kustodii. Nigdy go nie widziałem. Ale mógł przecież należeć do jakiejś innej prowincji franciszkańskiej w Europie lub Ameryce. Prosiłem Boga, żeby się okazało, że czarna mewą była za życia osobą świecką, a nie duchowną. Ogarnął mnie niepokój. Swędzenie końcówki prawego ucha rozniosło się na szyję i na klatkę piersiową i przez moment stało się nie do zniesienia. Potem na szczęście przeszło.

Podróż i opowieść

Wyjrzałem przez okno samochodu, który odwoził nas do Jerozolimy. Uspokoilem się, widząc rzadkie krzewy, wyrastające gdzieś skały, kamienie o przeróżnych kształtach i wielkości. Była to już moja ojczyzna, mieszkałem na tej ziemi od ponad czterdziestu lat i bezgranicznie ją kochałem. Rozmówaniu w wierze z czasem zaczęła towarzyszyć fascynacja archeologią i przekonanie, że każde moje odkrycie, każda mozaika, na którą natrafiałem, są darami, których udziela mi Nasz Pan, sprawiając, by te miejsca stawały się coraz bardziej święte. Przyszło mi na myśl to, co często powtarzał ojciec Bellarmin Bagatti: „Każdy kamień w Ziemi Świętej ma swoją historię. Nie zapominaj o tym, jeśli chcesz odnieść sukces w poszukiwaniach, ale przede wszystkim postępuj tak, by zawsze towarzyszyła ci wiara”.

Uśmiechnąłem się czule do tego wspomnienia. Gruber siedział obok mnie w milczeniu. Być może okazywał szacunek dla moich myśli a może był zbyt pogrążony w swoich. Ja pierwszy przerwałem ciszę, wypowiadając słowa skierowane bardziej do siebie niż do niego.

- Sytuacja w Ziemi Świętej jest skomplikowana.
- Dla wszystkich, wielbny ojcze, czy tylko dla nas, Żydów?

Uchwyciłem w jego głosie polemiczny ton.

- Wczoraj wieczorem w Betlejem - mówiłem dalej - wiatrowi i niskim chmurom towarzystwa dotrzymywały wasze opancerzone samochody, wasze karabiny maszynowe, wasze mundury. Jedyna żywa obecność na tej pustyni. Tylko czasami ktoś w pośpiechu przechodził przez ulicę albo usiłował zatrzymać jeden z nielicznych przejeżdżających tamtędy samochodów, żeby pomóc choremu i odwieźć go do szpitala. Sklepy były zaryglowane, światła w hotelach pogaszone, restauracje zamknięte. Betlejem wydało mi się samotne w swoim nieszczęściu. Sensem tego wszystkiego, Gruber, jest wyłącznie gigantyczna zbiorowa kara, która dotyka wszystkich jednakowo: dzieci, które nie mogą chodzić do szkoły, kobiety, które nie wiedzą, co gotować, bo do sklepów nie dociera mięso i warzywa, szpitale, gdzie brakuje krwi do transfuzji. My, franciszkanie, znieśliśmy w naszych dziejach wiele trudności. Przeżyliśmy osiem wieków islamskiej dominacji i ciągle tutaj jesteśmy. Bez wątpienia jest to najtrudniejszy moment; dzisiaj zagrożone jest życie i utrzymanie naszych sanktuariów. Wojna nie pochodzi z zewnątrz, jak to zawsze bywało, ale rozgrywa się w domu. Ktoś, nie chcę mówić, kto, ma zamiar ograniczyć naszą obecność i sprawić, żebyśmy się zniechęcili. Jest to podła i nikczemna próba. W przeszłości ćwiartowali nas w Jerozolimie i palili na oczach wiernych, ale dzisiaj fantazja tych, którzy źle nam życzą, osiągnęła szczyt. Jakiś biedak, który równie dobrze mógł być jednym z waszych albo wiernym Mahometa, został przebrany za franciszkanina i wrzucony do macerującej soli Morza Martwego. Ale jesteśmy na ziemi Jezusa, panie Gruber, ciągle jesteśmy i zawsze będziemy jej strażnikami.

Westchnął przeciągle i przytakująco skinął głową. Nie wiedziałem, czy się ze mną zgadza. Powiedział:

- Wielebny Ojczy, dawno temu nasz lud składał ofiary na wzniesieniach, bo nie było świątyni ku czci Pana. Kiedy została zbudowana, reszta świata zaczęła się nas obawiać i coraz bardziej nienawidzić. Sześćdziesiąt lat temu wielu naszych braci z Europy zostało stłoczonych w pociągach, jak bydło wiezione na rzeź. Naziści przewieźli ich do Dachau, Buchenwaldu i innych obozów koncentracyjnych, gdzie zostali zgładzeni. Stawiali słaby opór w Polsce, ale w większości przypadków stracili prawa obywatelskie, miejsce pracy, a potem życie.

Spytałem Grubera, dokąd zmierza.

- Proszę pozwolić mi mówić dalej, a zrozumie ojciec, o co chodzi. 4 marca 1947 roku brytyjski sąd wojskowy skazał na śmierć trzech członków Irgunu², którzy wzięli udział w ataku na więzienie Acri. Uwolnili stu dwudziestu żydowskich więźniów. Menachem Begin kazał schwytać dwóch angielskich sierżantów i zapowiedział, że jeśli jego ludzie zostaną straceni, zostaną podjęte odpowiednie kroki. Trzej żołnierze zostali powieszani 29 lipca 1947, a dwa dni później znaleziono zwłoki dwóch sierżantów, zabitych w ten sam sposób. W następstwie tego zdarzenia aresztowano młodego bojownika Irgunu, który przewoził broń. Został skazany na piętnaście lat więzienia i osiemnaście batów. Begin wysłał Anglikom kolejną wiadomość: „Skoro wy okładacie nas batem, my też sprawimy wam ciężki”. Nikt nie wziął tego na poważnie i nasz żołnierz otrzymał wyznaczoną karę. Wtedy Begin rozkazał swoim ludziom porwać brytyjskiego majora i trzech podoficerów i zanim zostali wypuszczeni,

² Irgun Cwai Leumi (hebr. Narodowa Organizacja Zbrojna) żydowska tajna, radykalna organizacja terrorystyczna działająca w latach 1937-1948, której działania skierowane były przeciwko brytyjskiemu panowaniu w Palestynie. W grudniu 1943 roku na jej czele stanął Menachem Begin.

każdy z nich zasmakował osiemnastu uderzeń chłosty. Potem rozesłał taki komunikat: „Jeśli nasi gnębciele ośmielą się w przyszłości dokonać gwałtu na ciele oraz prywatnym i narodowym honorze żydowskiej młodzieży, odpowiemy ogniem”. Od tego czasu Anglicy zrezygnowali z naszych pleców aż do dnia swojego wyjazdu z Ziemi Obiecanej.

- Wielebny Ojciec, każde ludzkie nieszczęście jest inne, dlatego nie ma sensu przyrównywanie jednych do drugich. Ale istnieje uniwersalna prawda o Holokauście. Nigdy więcej, z żadnego powodu nie może się powtórzyć ta haniebna zbiorowa kara. I nie chodzi tylko o nas, ale o wszystkie inne narody. Izrael stał się państwem, ponieważ z biegiem lat powstała silna klasa rządząca o czystym sercu, przepelnionym silnym uczuciem dla żydowskiej tożsamości. Trochę jak Begin, mądry i odważny przywódca, który zawsze przypominał mi filmowe role Jamesa Cagneya.

Chciałem odpowiedzieć, że James Cagney jest podobny do Beginia tylko ze względu na niski wzrost, ale nie zrobiłem tego, pozwalając mu mówić dalej. Powiedział mi, że darzy ogromną miłością tę wyschlą, żółtawą, dziką Ziemię Obiecaną, gdzie woda ma większą wartość niż kopalnia złota. Urodził się tutaj i wyrósł w przekonaniu, że uda mu się, jak wielu innym, zasiać maleńkie ziarna pokoju.

- Moje cele były zawsze takie same, jak ojca.

Chciałem go zapytać, w jaki sposób zdążył je poznać, biorąc pod uwagę, że spotkaliśmy się po raz pierwszy zaledwie kilka minut temu i nie było okazji, by dłużej porozmawiać na ten temat. Ale jak to się często zdarza w podobnych sytuacjach, gdy dwie osoby są zmuszone przebywać w swoim towarzystwie, zgodziłem się, żeby Gruber wkroczył w moją prywatność, opowiadając mi o sobie z zażyłością, którą wydała mi się przesadna.

Studiował muzykę w konserwatorium w Tel Awiwie gdzie uzyskał dyplom z kompozycji. Nie miał jednak zamiaru zostać drugim Beethovenem czy Mozartem. Miał zbyt dużo respektu dla geniuszu, również z powodów rodzinnych, o których dowiedziałem się później. Uważał się co najwyżej za zdolnego wynalazcę nut, a jego najwyższym celem było pisanie ścieżek dźwiękowych do sztuk teatralnych i filmów. Ale w jego kraju nie miał zbyt wielu możliwości pracy, między innymi z powodu niestabilnej sytuacji i ciągłego zagrożenia. Mieszkał na ostatnim piętrze starego budynku przy ulicy Davida Ha Melecha, jakieś dwieście metrów od hotelu King David. Z okien sypialni i gabinetu mógł podziwiać mury Starożytności i Bramę Jafską. Zwykle jadał posiłki u swojej babci Sary, która mieszkała na tym samym piętrze.

Pewnego ranka przed dwoma laty, po nocy spędzonej na pisaniu partytury mającej towarzyszyć *Burzy* Szekspira, którą zleciła mu eksperymentalna grupa teatralna z Tel Awiwu, postanowił, że uczci swoje nowe dzieło, pozwalając sobie na kawę w hotelu King David. Mniej więcej o siódmej trzydziści wyszedł z domu, rozkoszując się rześkim powietrzem i bezchmurnym niebem. Doszedł do hotelu i usiadł przy stoliku na tarasie, na wprost basenu. Zamienił kilka zdawkowych słów z kelnerem, potem z satysfakcją pomyślał, że być może skomponował kawałek niezłej muzyki. Kiedy popijał kawę, zauważył starszego mężczyznę, który właśnie wyszedł z basenu, i znacznie młodszą od niego kobietę. Założyli białe szlafroki i zajęli miejsce przy stoliku, który znajdował się nieopodal. Zamówili dwie kawy, jajecznicę, biały chleb i zaczęli rozmawiać po angielsku. Zrozumiał, że rozmawiają o teatrze, dlatego zaczął im się przysłuchiwać. Wielce poruszony i zdumiony zdał sobie sprawę, że blisko niego siedzi Peter Brook ze swoją córką Iriną.

Gruber przerwał na chwilę i uważnie na mnie spojrział.

- Przypuszczam, że wie ojciec, kim jest Peter Brook.

Ze znużeniem przytaknąłem skinieniem głowy. Nudziło mnie to opowiadanie. Tak naprawdę bardziej ciekawiła mnie stroma droga, coraz cieplejsze powietrze, niewyraźny zapach spalenizny docierający do mnie z niewidocznych stosów jeżyn i zarośli, które ktoś palił, pojawiające się gdzieś tam małe domy, drzewa oliwne, jęczmień, figowce, zakurzone winnice, stada owiec i kóz. Nie znając moich myśli Gruber ciągnął dalej:

- Nie miałem odwagi odezwać się do Mistrza, ojcze. Kiedy wreszcie postanowiłem się przedstawić, oboje wjechali już na górę do swoich pokojów. Wróciłem do domu, rozmyślając o moim braku śmiałości, a potem poszedłem do babci Sary, która jak co rano czekała na mnie ze śniadaniem. Uwielbiałem jej mieszkanie. Jasne pokoje z wysokimi stropami, białe zasłony, które przy odrobinie wiatru wpadającego przez uchylone okna falowały jak żagle statku zwróconego na Stare Miasto.

Tego ranka byłem głodny. Pamiętam, że zjadłem kilka biszkoptów z marmoladą figową, wypilem sok pomarańczowy i opowiedziałem babci Sarze o niedoszłym spotkaniu z Peterem Brookiem. Babcia od razu zadzwoniła do jednej ze swoich najlepszych przyjaciółek, hrabiny de Selle, która dzieliła swoje życie pomiędzy Paryż i Tel Awiw, żeby zapytać, czy zna wielkiego reżysera. W salonie de Selle często bywali różni artyści. Hrabina odpowiedziała, że za dwa dni wydaje kolację dla kilku przyjaciół i prawdopodobnie znajdzie się wśród nich Peter Brook, który od tygodnia był gościem Izraela z powodu jakiegoś projektu. Stwierdziła, że jeśli nie będę zajęty, mogę przyjść i wtedy mi go przedstawi.

Hrabina de Selle mieszkała przy nadmorskiej promenadzie. Jej apartament zajmował całe ostatnie piętro luksusowego budynku ze stali i szkła. Ze względu na dużą ilość zaproszonych gości kolacja odbywała się na stojąco. Nudząc się, zamieniłem kilka pobieżnych zdań z różnymi osobami, kiedy do dużego stołu z napojami podszedł jakiś mężczyzna. Był wysoki, szczupły, jego naznaczona zmarszczkami, opalona twarz w przyjemny sposób kontrastowała z siwymi włosami, ostrzyżonymi na jeża. Wąskie czoło, orli nos i cieniutkie usta nadały mu drapieżnego wyglądu. Miał zielone, błyszczące oczy. Wydawało mi się, że wygląda na jakieś sześćdziesiąt lat, zrobił na mnie wrażenie swoją elegancją. Miał na sobie ciemnoniebieski garnitur, koszulę z białego jedwabiu, błękitny krawat i czarne mokasyny z cielęcej skóry. Zaczął ze mną rozmawiać, mówiąc, że dowiedział się od pani domu, że bardzo chcę poznać Petera Brooka. Wprawdzie Mistrz wyjechał rano do Paryża, ale wróci za miesiąc, by wystawić *Otella* Verdiego w Operze w Telawiwskiej. Przy tej okazji on postara się zorganizować spotkanie. Potem położył sobie prawą rękę na czoło i przeprosił mnie na chwilę, nie zdradzając nawet swojego imienia. Nazywał się Saul Bialik.

Gruber spojrział na mnie, żeby zobaczyć moją reakcję, którą było umiarkowane zdziwienie. Nie można powiedzieć, że Saul Bialik, który pełnił funkcję wicedyrektora Tsometu przed Gruberem, był moim przyjacielem, raczej dobrym znajomym. Po śmierci córki, która być może omyłkowo została zastrzelona przez izraelską policję przy jednym z punktów kontrolnych, odebrał sobie życie. Wszystko to wydarzyło się mniej więcej cztery miesiące wcześniej, w kilka dni po moim wyborze na Kustosza.

Po czterdziestu latach spędzonych w Jerozolimie przywykłem już do wszelkich niespodzianek, tylko coś naprawdę wyjątkowego mogło mnie zadziwić.

Grzecznie wyjaśniłem to Gruberowi, który wydawał się trochę rozczarowany, ale mówił dalej:

- Bialik poprosił, żebym poszedł z nim na taras. Popatrzył na plażę i stwierdził, że kocha każde ziarenko tego piasku, który należy do Żydów na mocy boskiego prawa i krwi przełanej przez nas w ciągu minionych stuleci. Potem długo spoglądał w morze i wyznał mi, że oczami wyobraźni potrafi dostrzec przed sobą inne kraje śródziemnomorskie, Włochy, Grecję, Francję, Hiszpanię, poza krajami arabskimi. Opowiedział mi o swojej długiej znajomości z hrabiną de Selle. Normalnie mieszkała w Paryżu, ale była wielką wielbicielką Izraela i kupiła apartament, żeby przyjeżdżać tu kilka razy w roku i spotkać się z przyjaciółmi. Poza tym hrabina przewodniczyła francuskiemu komitetowi, który zbierał fundusze na rzecz żydowskiej sprawy.

Zadał mi całą serię pytań. Przede wszystkim chciał wiedzieć, czy jestem wierzący. Odpowiedziałem, że oczywiście chadzam do synagogi, ale nie jestem ortodoksyjnym Żydem. Dlaczego chcę się spotkać z Peterem Brookiem? Wytlumaczyłem mu i dodałem, że Mistrz na pewno dobrze znał moje nazwisko. Pięć lat temu reżyserował *Traviatę* pod batutą mojego ojca. Pożegnałem się z Bialikiem, przekonany, że więcej się nie zobaczymy.

Tym razem Gruberowi naprawdę udało się mnie zadziwić. Nie mogłem sobie wyobrazić, że jest synem Bruno Grubera, wielkiego dyrygenta. Moja reakcja sprawiła mu wyraźną satysfakcję, dlatego spytał, czy przypadkiem nie poznałem jego ojca. Odparłem, że osobiście nigdy się z nim nie spotkałem, ale byłem w Asyżu, kiedy z okazji uroczystych obchodów dni

mozartowskich poprowadził wykonanie *Requiem*. A w niedalekiej przeszłości obejrzałem w Operze Telawiwskiej absolutnie nadzwyczajne wystawienie *Don Giovanniego*. Tego wieczoru zrozumiałem, że artysta stojący za pulpitem przekazuje fragment swojej duszy śpiewakom i orkiestrze i uzyskuje wspaniałe efekty. Stwierdziłem, że Bruno Gruber jest człowiekiem, który oddycha muzyką i teatrem.

Mój rozmówca wydał mi się bardziej sympatyczny. Moje zachowanie chyba go zachęciło, bo dalej opowiadał mi o swoim ojcu. Dzięki niemu pokochał melodramat, on nauczył go rozumieć Ansermeta, kiedy wykonywał Debussy'ego i Bruno Waltera, gdy dyrygował symfoniemi Beethovena.

Wytłumaczył mi, że godziny poprzedzające wykonanie koncertu lub opery były dla jego ojca prawdziwym koszmarem. Przede wszystkim ciągle mył ręce, potem spał, a na koniec brał długą kąpiel. Przyjeżdżał do teatru najpóźniej jak tylko było można. Ale najpierw wstępował do ciastkarni, bo cukier dawał mu siłę i wiarę. Nie mógł znieść nawet najmniejszego odcisku na pulpicie i na partyturze. Często zdarzało mu się wymiotować, a od czasu do czasu nękały go krótkie napady biegunki. Uważał, że jedno życie nie wystarczy, by nadać znaczenie swojej twórczości i móc ją zakończyć. Był szczerym człowiekiem z zaraźliwym poczuciem humoru. Nigdy nie bywał w salonach wyższych sfer. Zawsze wolał kontakt z naturą i przebywanie z rodziną.

- Kiedy piętnaście lat temu, wskutek błyskawicznie rozwijającego się nowotworu, umarła mama - w głosie Grubera słychać było wzruszenie - ból sprawił, że mój ojciec nie potrafił już prowadzić stabilnego życia w domu i w mieście. Wystawił na sprzedaż dom, w którym mieszkaliśmy w jednej z dzielnic willowych Tel Awiwu i w którym się urodziłem.

Postanowił, że będę się wychowywał w Jerozolimie u babci Sary, jego matki. Rzucił się w wir zajęć. Potrafił jednego wieczora dyrygować w Genewie, przez dwa kolejne w Nowym Jorku i Los Angeles. To był jego sposób na pokonanie cierpienia, lęku, samotności. Stał się najlepszym klientem luksusowych hoteli połowy świata. Kiedy mama jeszcze żyła, stanowili idealną parę.

Zapytałem Grubera, ile miał lat, gdy stracił matkę.

- Osiemnaście. Wprowadziłem się do mieszkania obok babci, w którym mieszkam do dzisiaj. Kupił je dla nas ojciec. A kiedy rok temu umarła też babcia, połączyłem obydwie domy. Musi ojciec przyjść do mnie kiedyś na kolację. Jestem świetnym kucharzem, potrafię przyrządzić spaghetti i lasagne. Ale opowiadałem ojcu o Maestro. Kiedy było to możliwe, dołączałem do niego i mogę powiedzieć, że odwiedziłem prawie wszystkie wielkie stolicy, od Rzymu przez Paryż, Londyn, Moskwę, po Tokio.

- Kiedy wydarzyło się ta tragedia?

- Minęło dokładnie dwa i pół roku, Wielebny Ojczy.

Powiedziałem mu, że ten wypadek bardzo mną wstrząsnął. Zawsze cierpię, kiedy jakiś artysta traci życie, bo uważam, że to niepowetowana strata dla ludzkości. Popatrzył na mnie z wdzięcznością. Obniżył ton głosu:

- To nie był wypadek. Przypomina sobie ojciec oficjalną wersję? Tę, która pojawiła się w gazetach?

- Wydaje mi się, że tak. Pański ojciec został potrącony przez samochód, gdy przechodził przez ulicę w Jerozolimie, niedaleko Muzeum Holokaustu. Wracał z Filharmonii, gdzie z wielkim sukcesem poprowadził *Symfonię fantastyczną* Berliozą. Mniemam, że byliście tam razem.

Gruber spojrział na mnie błyszczącymi oczami i powiedział, że tamtego wieczoru był unieruchomiony w łóżku,

zaatakowany wysoką gorączką z jakimiś płucnymi komplikacjami. Ojciec towarzyszył mu do ostatnich minut przed rozpoczęciem koncertu. Potem objął go z ogromną czułością i powiedział, że wpadnie później.

Gruber wpatrywał się teraz w pustkę, a na jego twarzy malowały się emocje i wspomnienia. Fizycznie wyczuwałem jego ból i miałem ochotę wziąć go za ręce, by się wspólnie pomodlić. Ale pohamował mnie pewien rodzaj powściągliwości pomieszanej z zawstydzeniem, któremu kapłan nie powinien przecież ulegać. I jakbym chciał się przed nim usprawiedliwić, mimo że nie zwracał uwagi na mój stan ducha, opowiedziałem mu o śmierci mojej matki. W ten sposób mogłem podzielić jego cierpienie i dać mu do zrozumienia, że wiem, co czuje, bo sam tego doświadczyłem, i to całkiem niedawno.

- Dzisiaj - powiedziałem - mija trzydziesty dzień od śmierci mojej mamy. Ona, która nigdy nie podróżowała i nigdy nie ruszyła się z Ginostry, twierdziła, że wyspy, które widziała z naszego domu, Panarea, Salina, Lipari, Vulcano, Filicudi, przedstawiają cały świat. W jej wyobraźni stawały się Amerykami i Indiami.

Kiedy zatelefonowała jedna z moich sióstr, informując mnie, że mama doznała wylewu krwi do mózgu, z pomocą przyjaciela pracującego na lotnisku Ben Gurion w ostatniej chwili udało mi się wsiąść na pokład samolotu do Rzymu. Na Fiumicino czekał na mnie współbrat, miłośnik dużych prędkości, który zawiózł mnie swoim autem do Neapolu. Zdażyłem na ostatni wodolot do Stromboli. Stamtąd motorówka zabrała mnie do Ginostry. Gdy dotarłem do domu, matka już nie żyła. Poprosiłem, żeby zostawili mnie z nią samego. Długo gładziłem jej spokojną, niemal uśmiechniętą twarz. Pomyślałem o ojcu. Ostatnie moje wspomnienie o nim to obraz

wysokiego i postawnego mężczyzny, który powolnym krokiem szedł w moim kierunku. Przez rozpiętą koszulę bez kołnierzyka widać było kawałek masywnej klatki piersiowej. Z rękawów podwiniętych aż do łokci wystawały dwa atletyczne, ciemne, owłosione ramiona, szerokie nadgarstki, silne ręce. Miał dłuższe, rude włosy o świetlistym połysku, nadające jego twarzy niemal królewski wyraz. Gęsta, kędzierzawa broda sięgała mu do piersi. Staliśmy z matką w drzwiach naszego domu, gdy szedł do nas wykopaną ścieżką. Matka wpatrywała się w niego z czułością. Przycisnęła mnie mocniej do siebie. Za kilka dni wyjeżdżałem do Jerozolimy.

Byłem szesnastoletnim chłopcem, Gruber, a Miasto Pokoju miało się stać miejscem moich studiów i mojego ziemskiego życia.

Nie widziałem śmierci mojego ojca, byłem wtedy na pustyni Wadi-Rum i kiedy mnie w końcu znaleźli, minęły trzy dni. Przyjechałem, gdy jego trumna została już zamknięta. Tym razem moje siostry poczekały na mnie z zaplombowaniem wieka i długo się modliłem, gładząc dłońmi twarz mamy.

Po mszy żałobnej, odprawionej przeze mnie z prostotą, której by sobie życzyła, pochowaliśmy ją obok ojca na małym cmentarzu w Ginostrze. Później zszedłem nad morze, wsiadłem do łódki i wiosłowałem do momentu, aż znalazłem się dwieście metrów od brzegu. Przez dłuższy obserwowałem wioskę, którą tworzyły białe domy nierówno przylegające do skały, ale posiadające swoją wewnętrzną harmonię i głośno powiedziałem: „Kocham cię, mamo, pamiętaj, że śmierć nas nie rozdziela, stajemy się tylko niewidzialni”.

- To prawda - z wyraźną ulgą wykrzyknął Gruber - i dotyczy to każdej religii! Wielebny Ojciec, wspólnie przeżywamy naszą żałobę, i to nas łączy.

Chciałem odpowiedzieć, że jeśli istotnie tak jest, chętnie usłyszałbym od niego prawdę na temat czarnej mewy, ale po raz kolejny, powściągliwość i zawstydzenie nie pozwoliły mi przerwać tej wspólnej chwili wzruszenia gwałtownym powrotem do rzeczywistości. Mógł dalej opowiadać o śmierci swojego ojca.

- Ceremonia pogrzebowa była uroczysta, z udziałem najwyższych władz Izraela, a nie zawsze konserwatyści i postępowcy spotykają się razem, by wychwalać zdolności wielkiego artysty, który przysporzył naszemu narodowi sławy i chwały. Pochowaliśmy go obok mamy, na cmentarzu na Górze Oliwnej.

Kilka dni po ceremonii odwiedził nas pierwszy skrzypek Filharmonii Jerozolimskiej. Na początku wydawało się, że to zwyczajna wizyta kondolencyjna, jak wiele innych, które przyjęliśmy. Babcia Sara koniecznie chciała, żebym zawsze był przy nich obecny, być może dlatego, że w głębi serca pragnęła, żebym zdawał sobie sprawę, jak bardzo mój ojciec był kochany i szanowany. Oczywiście nie potrzebowałem tego typu zapewnień, ale jej sprawiało to przyjemność, a ja nie chciałem w tej szczególnej sytuacji powodować w niej najmniejszego niepokoju. Byłem przecież jedyną osobą, która jej została. Po kilku konwencjonalnych zdaniach, stosownych do okoliczności, oczy skrzypka stały się wilgotne, schwycił i ucałował dłonie babci Sary, wykrzykując, że musi opowiedzieć nam prawdę. Dusił ją w sobie i stała się dla niego ciężarem nie do zniesienia.

Tego wieczora kiedy zdarzył się wypadek, zaraz po koncercie poszedł z moim ojcem do włoskiej restauracji, niedaleko Muzeum Holokaustu. Gdy zjedli, napili się czegoś i miło sobie pogawędzili, postanowili się przejść. Mój ojciec uwielbiał spacerować, przede wszystkim w nocy. Skrzypek za-

trzymał się, żeby zawiązać buta. Usłyszał silnik samochodu, który coraz bardziej przyspieszał. Podniósł głowę i z przerażeniem zobaczył, jak czarny mercedes wjeżdża na chodnik i przewraca mojego ojca jak pionek. Człowiek, który prowadził, otworzył drzwi, wysiadł, obejrzał boki auta, sprawdził zderzak, bagażnik, a potem zbliżył się do leżącego bez życia ciała, spojrzął, zapalił papierosa, z powrotem wsiadł do samochodu i spokojnie odjechał. Skrzypek miał czas na zobaczenie jego twarzy, którą przez moment oświetlił płomień zapalniczki. Potem ukląkł przy moim ojcu, by sprawdzić, czy może mu pomóc, ale był już martwy. Powiedział nam, że jest w stanie rozpoznać zabójcę.

Dwa dni po jego wizycie przeczytaliśmy w gazecie, że o świcie znaleziono go martwego przy Ścianie Płaczu. Na głowie miał jarmułkę, a w rękę trzymał Biblię. Był pijany, musiał stracić równowagę i uderzyć głową o jeden z kamieni, które stanowią nawierzchnię tego świętego miejsca. Ale skrzypek był abstynentem. Wiedziałem o tym, bo kiedy babcia Sara zaproponowała mu kieliszek wina, podziękował, mówiąc jej, że nie pija napojów alkoholowych. Poza tym dziwne było, że poszedł się pomodlić pod Ścianę Płaczu o świcie. I wreszcie, skoro upadł na ziemię, jakim cudem udało mu się utrzymać książkę, która była zaciśnięta w dłoni i dlaczego jarmułka nie zsunęła mu się z głowy?

Stwierdziłem, że wątpliwości dotyczące tej śmierci mogłaby wyjaśnić tylko sekcja zwłok. Gruber wyjaśnił mi, że nie było takiej możliwości, bo ciało skrzypka zostało kremowane, zgodnie z jego ostatnią wolą pozostawioną na piśmie, jak nakazywało prawo.

Ogłuszający hałas cmentarzyska

Gruber spojrział na mnie, chcąc zobaczyć moją reakcję. Nie było żadnej. Byłem przekonany, że chwila wzruszenia wywołana przeżywaniem bólu, który dotknął nas z powodu żałoby, minęła już bezpowrotnie. Wzajemnie zwierzenia dobrze wpłynęły na nasze zdrowie i równowagę umysłu, ale teraz musiałem wyjaśnić z moim towarzyszem sprawę czarnej mewy i jej niejasne aspekty, zanim przedostanie się do wiadomości publicznej, stając się zagrożeniem dla Kustodii.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że samochód nie jedzie w stronę Jerozolimy. Powinienem był zorientować się już wtedy, gdy furgonetka wioząca trzech agentów Tsometu i czarną mewę pojechała inną trasą. Teraz nie rozpoznawałem tej stromej, wąskiej drogi, biegnącej między kamieniami i pagórkami. W gwałtowny sposób dałem to do zrozumienia Gruberowi, który mi odpowiedział:

- Jerozolima jest zbudowana w niebie z nagiego kamienia. W Jerozolimie żyjemy wśród przepowiedni, które są jak gęsta chmura dymu po eksplozji.

- To nie oznacza - odparłem - że nie powinienem wracać do Kustodii Ziemi Świętej, do mojego domu w Klasztorze Zbawiciela. Każdy ma swoją Jerozolimę: dla niego stanowiła poetycki i nierealny obraz, moja składała się z braci, którym

dawałem wiarę, modlitwę i chrześcijańską gorliwość. A niewielką ilość wolnego czasu, który mi pozostawał, poświęcałem na archeologię. Gruber zawołał:

- Niech ojciec tylko pomyśli, jaka to wiadomość dla prasy i tego waszego Watykanu: wicedyrektor Tsometu porywa Kustosza Ziemi Świętej!

Potrząsnąłem głową, a on odczytał mój gest jako zachętę do kontynuowania historii, którą zaczął mi opowiadać.

- Wróćmy do Bialika i do okresu sprzed mniej więcej dwóch i pół roku po śmierci mojego ojca i skrzyпка. Upłynęło kilka dni od naszego spotkania u hrabiny de Selle, gdy Bialik zadzwonił i zaprosił mnie na aperitif. Spotkaliśmy się w barze hotelu King David. Przeszedł od razu do rzeczy i oświadczył mi z powagą, że prowadzi śledztwo w sprawie śmierci mojego ojca. Zrelacjonowałem mu przebieg zdarzeń, który przedstawił mi skrzypek oraz dziwny i podejrzany sposób, w jaki zakończył życie. Bialik zwrócił uwagę, że prawdopodobnie ani w jednej, ani w drugiej sprawie nie mieliśmy do czynienia z wypadkiem i podsumował, że obaj byli Żydami, a polowanie na Żyda było na świecie bardzo rozpowszechnioną praktyką i dlatego trzeba się bronić. Potem powiedział, że był ostatnio w Operze Telawińskiej na *Magicznym Flecie*. Z nostalgią pomyślał o pamiętnym wystawieniu tego dzieła pod batutą mojego ojca, które podziwiał w tym samym teatrze. Naprawdę szkoda, podkreślił Bialik, że z winy kogoś, kto nienawidzi Żydów, nie ma już z nami takiego artysty. Zapytałem go, czym się zajmuje. Odpowiedział, że pracuje dla rządu i stara się bronić Izrael przed jego licznymi wrogami. Dlatego powinienem go traktować jako rodzaj teatralnego impresario kierującego grupą o nazwie Tsomet. Czy byłbym zainteresowany jakąś rolą?

Stwierdziłem, że przekwalifikowanie się z muzyka na szpiega stanowi trudny wybór i kto wie, co pomyślałby o tym mój ojciec, gdyby jeszcze żył. Bialik uśmiechnął się i odparł, że na pewno poparłby moją decyzję. Zapytałem, skąd w nim ta pewność. Powiedział, że kiedyś mi to wyjaśni. Niepokoił go fakt, że samochód potracił mojego ojca w pobliżu Muzeum Holokaustu i że zwłoki skrzypka zostały znalezione przy Ścianie Płaczu. Gdybym pracował dla Tsometu, z pewnością nadarzyłaby się sposobność, żebym mógł odkryć winnego. W każdym razie niekoniecznie musiałbym rezygnować ze swojego muzycznego powołania. W pewnych szczególnych sytuacjach mogło nawet stanowić dobry kamuflaż.

Przerwałem Gruberowi, chcąc się dowiedzieć, czy schwytał potencjalnego zabójcę. Odpowiedział, że nie, i wrócił do swojego opowiadania.

- Bialik przypomniał mi, że nasza Ojczyzna stała się więzieniem niechcianej i znienawidzonej wojny, a obowiązkiem młodego Żyda nie jest ukrywanie się tylko walka. Dodał, że powinienem być gotowy na każdą ewentualność.

- Na przykład, żeby kogoś zabić? - zapytałem. Wytłumaczył mi, że z dużą dozą prawdopodobieństwa będę musiał stawić czoła także tej nieprzewidzianej okoliczności. Odparłem, że nie byłbym do tego zdolny. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Na koniec powiedział, że telefonował do Paryża i rozmawiał o mnie z mistrzem Brookiem. Brook wypowiedział pod adresem mojego ojca słowa pełne uczucia i szacunku, określając go „niezapomnianym, wielkim muzykiem”.

Gruber przerwał, spojrzał na mnie i rozłożył ramiona, dając mi do zrozumienia, że skończył opowiadać swoją historię i czekał na moje pytania. To, które mu zadałem, naprawdę go

zaskoczyło. Czy dalej komponował muzykę? Uśmiechnął się i powiedział, że nie. Najwyraźniej jego powołanie nie było tak mocne. Ale znalazł na to więcej niż jedno wytłumaczenie. Z jednej strony wydawało mu się, że jeden geniusz w rodzinie wystarczy, z drugiej był przekonany, że zamilowanie do zawodu powróci, kiedy odkryje zabójcę swojego ojca. Z tych powodów nie nalegał na Bialika, by zorganizował spotkanie z Peterem Brookiem. Potem z dumą dodał, że dzięki licznym sukcesom w walce przeciwko wrogom Izraela, w krótkim czasie zaskarbił sobie szacunek u zwierzchników. Nie spytałem, z ilu zabitych składa się mozaika tych osiągnięć, bo chwila nie wydała mi się odpowiednia, ale w głowie pozostała bolesna ciekawość. Stwierdziłem natomiast, że wydaje mi się dziwne, że nigdy nie uczestniczył w moich spotkaniach z Bialikiem, które nie zawsze były spokojne. Odpowiedział, że Saul chętnie widziałby go przy swoim boku, ale nie było ku temu okazji, bo ścigał wtedy grupę Męczenników Allacha odpowiedzialną za kilka najbardziej krwawych zamachów w ostatnim czasie. Wzorowo wykonywana praca sprawiła, że po śmierci Saula Bialika został awansowany. Od czterech miesięcy był wicedyrektorem Tsometu.

Samochód gwałtownie się zatrzymał. Przed nami znajdował się duży, wykopany w ziemi i pokryty kurzem plac, wypełniony różnego rodzaju złomem. Droga kończyła się w tym miejscu. Dalej była już tylko pustynia. Zerwałem się z miejsca.

- Gdzie jesteśmy?

- Ujmując to jak Schubert: co ojcu podpowiada wewnętrzny poeta? Albo raczej głos sumienia?

Wypowiedział te słowa tonem, który mi się nie spodobał, brzmiały niemal wyzywająco.

- Przywiozłem ojca na cmentarzysko. Zbieramy tutaj autobusy, które Męczennicy Allacha wysadzają w powietrze z naszymi rodakami w środku.

Poprosił, żebym wysiadł z samochodu i poszedł za nim. Wiał chłodny, niezbyt silny, ale dotkliwy i nieprzyjemny wiatr, który unosił piasek. Gruber swobodnie poruszał się między tymi metalowymi, osmaganymi przez płomień wrakami, jakby świetnie znał to miejsce. Pokazał mi poczerniały szkielet autokaru, ciemną, pustą plamę z powykręcaną tylną częścią podwozia i zdeformowanymi stalowymi obręczami. Dziura zrobiona przez bombę robiła wrażenie nadrealistycznej rzeźby, pomnika wojny, w której samobójczy zamach był najbardziej śmiałą bronią.

Szedłem za Gruberem pomiędzy buteleczkami wody mineralnej Neviot, szkolnymi zeszytami, wojskowymi beretami, szarym królikiem Bugsem w rękawicach bokserskich, na wpół strawioną przez ogień książką, różowym grzebieniem, opakowaniem talku...

- To zwykle rzeczy, które należały do zwyczajnych ludzi - mówił Gruber. Proszę spojrzeć na ten aparat fotograficzny, pudełko pasty do butów, dziennik z nadpalonymi brzegami, podręcznik pierwszej pomocy, dwie wideokasety, czarną jarmułkę, żółty podkoszulek, czerwony szalik, naszywki z dystynkcjami kapitana i lejtnanta. Jedynie śmierć tych moich nieszczęśliwych żydowskich braci nie była zwyczajna.

Zamilkł na dłuższą chwilę.

- Proszę spojrzeć na tamten autobus linii 361, który w ogóle nie ma dachu.

Z bliska wyglądał jak wielka, zdeformowana głowa, której eksplozja zerwała gigantyczny kapelusz z blachy.

- Męczennik Allacha - mówił dalej - siedział w siódmym rzędzie. W samym środku. Ocalili ci, którzy zajmowali miejsca z przodu i kierowca. Ciągłe utrzymuje się ten mdławy, unoszący się w połowie wysokości zapach. Czuje go ojciec? To smród krwi i spalonego mięsa.

Mówił teraz przenikliwym, ironicznym głosem.

- W swoim ostatnim przemówieniu, premier Szaron wezwał naszych rodaków do pokazania umiejętności samo kontroli. Tak więc, czy według ojca powinniśmy beczynnie przyglądać się, jak zabójcy raz po raz udoskonalają swoje metody działania, zabijając nas w zamachach terrorystycznych?

Słowa wydostały mi się z ust niemal automatycznie.

- Z tego, co usłyszałem, wynika, że pańska kariera nabrała wyraźnego rozpędu dzięki ściganiu Męczenników Allacha. Ale najwyraźniej nie udało się panu schwytać tych, którzy zniszczyli te autobusy.

- Najwyraźniej, Wielbny Ojciec - odparł poirytowany. I dodał, zmieniając temat:

- Chcę ojcu przypomnieć, że my, Żydzi, jesteśmy uważani za oszczędnych. Zmusiła nas do tego historia. Przywykliśmy do tego, żeby wszystko wykorzystywać i niczego nie wyrzucać. Tylny silnik autobusu 361 jest marki Ford i zostanie odzyskany. Powróci do użytku.

Czułem się nieswojo. Gruber to zauważył, ale udał, że nic się nie stało.

- To wszystko jest nieetyczne! - krzyknąłem.

- Na razie w tej kwestii wiem tylko tyle, że etyczne jest to, co sprawia, że czuję się dobrze, a nieetyczne to, przez co czuję się źle.

Chciałem mu wyjaśnić, że w kraju, gdzie świadectwem pamięci jest prawie osiem tysięcy pomników i sanktuariów, odbierałem to ociekające bólem, smutkiem i wspomnieniami-

mi miejsce jako pełne uczuć. Wraki autobusów z pewnością były jednym z nowych symboli cierpień i łez rozsianych na drogach jego Ziemi Świętej. A przecież w ich potworności tkwiła nadzieja na nieprzewartą chęć pokoju. Nie odezwałem się już jednak ani słowem.

W czasie powrotnej podróży Gruber z uporem maniaka śpiewał piosenkę, której refren brzmiał mniej więcej tak: „Siedzimy w barze i czujemy się zagubieni w tłumie, o czym zapomnieliśmy, gdzie popełniliśmy błąd? Siedzimy w barze i czujemy się jak obcy. O czym zapomnieliśmy, gdzie popełniliśmy błąd?”.

Podejrzałem, że muzykę napisał sam, ale nie zapytałem go o to. Zresztą nie wydawała mi się szczególnie natchniona i zrozumiałem, dlaczego bez wielkiego żalu zarzucił komponowanie. Nie odzywaliśmy się aż do Jerozolimy. Samochód przemierzył Dolinę Cedronu, potem pojechał w górę, w kierunku Starego Miasta, wjeżdżając na ulicę Sułtan Suleiman, biegnącą wokół starych murów miejskich. Przed wejściem do Bramy Damascyńskiej, jak zawsze wypełnionym Przyjaciółmi od Skąty, którzy chodzili tamtędy do muzułmańskiej dzielnicy, żeby zrobić zakupy w zatłoczonym labiryncie sklepów oferujących wszystkie możliwe towary, klęczał kaleki żebrak proszący o jałmużnę. Kiedy przejeżdżaliśmy, pomachał w naszą stronę kulą i nie był to gest powitalny. Siedzące obok niego na chodniku dziecko, które mogło mieć najwyżej osiem lat, wykorzystując całą siłę swoich małych ramion, rzuciło we mnie skórką zjedzonego właśnie banana. Instynktownie cofnąłem głowę, chcąc uniknąć uderzenia. Skórka zostawiła na szybie samochodu żółtawe włókna.

Gruber skrzywił się i powiedział półgłosem: - Pewnie ojciec nie zauważył, że szyby są matowe. Siedząc w środku

wszystko ojciec widzi, ale od drugiej strony wewnątrz wydaje się ciemne. Zapewniam, że ci dwaj Palestyńczycy nie odkryli ojca obecności w nieprzyjacielskim wozie. Nie wiedzą, że jest ojciec moim gościem. Proszę się nie martwić o swoją reputację, nie ucierpi.

Jego ton przybrał ironiczną barwę. Po chwili krzyknął ze złością:

- Ten mały kandydat na Męczennika Allacha pobrudził mi auto!

- Myślę, że wyczyszczenie tego nie będzie dla pana trudne.

- Jasne, że nie będzie - westchnął. - Wielebny Ojcze, tutaj w Jerozolimie, my, Żydzi, jesteśmy dla Palestyńczyków jak psy dla ślepców. W dzień towarzyszymy im, pomagając unikać zagrożeń, wieczorem czekamy na ich resztki. Wydaje się to ojcu sprawiedliwe?

- Panie Gruber, jeśli pies znajdzie w ogrodzie węża, jego właściciel daje mu w nagrodę najlepszy kawałek mięsa, który ma w lodówce. Według pana w Świętym Mieście więcej jest psów czy węży?

Spojrzał na mnie zakłopotany i nie odpowiedział.

Mówiłem dalej: - Czytałem o pańskim ojcu pewną historię. Dyrygował noworocznym koncertem w Wiedniu. Na koniec zbliżył się do mikrofonu, żeby złożyć tradycyjne życzenia. Z powodu jakichś technicznych problemów sprzęt nie zadziałał. „Rok zaczyna się naprawdę świetnie” - zawołał na cały głos, powodując salwę śmiechu w pierwszych rzędach, a po chwili całej publiczności. Odtąd każdy dyrygent wymyśla jakąś dowcipną kwestię. Czy ta anegdota jest prawdziwa?

- Tak, ale nikomu nie udało się powtórzyć jego spontaniczności. Wszyscy ci mistrzowie batuty wypowiadają wyuczone wcześniej zdania.

Ulica była teraz niemal pusta, zmieniła nazwę na Ha Tsankhanim, ponieważ wyjechaliśmy już ze Wschodniej Jerozolimy. Minęliśmy Notre Dame i Bramę Nową, wjechaliśmy do chrześcijańskiej dzielnicy Starego Miasta. Po jakichś dwustu metrach znaleźliśmy się na dziedzińcu Klasztoru Zbawiciela.

Gruber odezwał się do mnie:

- Proszę zaspokoić moją ciekawość. Dlaczego tak jak ja, nosi ojciec kurtkę, sweter i spodnie, a nie jest ubrany w swój regulaminowy uniform, habit?

- Dla wygody - odpowiedziałem oschle.

Dodałem, że mam do niego kilka pytań dotyczących sprawy czarnej mewy, bo wiele kwestii nadal pozostawało niejasnych. Gruber rozdziawił usta w najgrzeczniejszym uśmiechu z możliwych, wysiadł z samochodu, podszedł z mojej strony, otworzył drzwi i podając mi wizytówkę z numerem swojego telefonu komórkowego, zapewnił, że możliwie najszybciej odwiedzi mnie, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości. Na koniec spytał:

- A tak przy okazji, czy wie ojciec, co znaczy moje imię, Nadav?

Spojrzałem mu w oczy i uśmiechając się powiedziałem:

- Szlachetny. Ale jeszcze nie wiem, czy pan taki jest.

ROZDZIAŁ 4

Mozaiki z Gazy

Wszedłem do mojego mieszkania, mieszczącego się na drugim piętrze Klasztoru Zbawiciela. Składało się z sypialni, gabinetu i obszernej łazienki. Od razu wziąłem długi prysznic. Gorąca woda i szorstkie, pachnące mydło, którym kilka razy potarłem ciało i głowę, sprawiły, że odsunąłem od siebie duchowy i fizyczny chłód tego poranka.

Nie byłem pewny, czy natychmiast zwoływać Dyskretorium, które w naszym środowisku, z zachowaniem właściwych proporcji, może przypominać rodzaj Rady Ministrów.

Tworzy ją sześciu Dyskretów, z których każdy reprezentuje jedną wspólnotę językową: włoską, angielską, francuską, niemiecką, hiszpańską, arabską. Zanim zostałem wybrany na Kustosza Ziemi Świętej, byłem Dyskretem najliczniejszej wspólnoty włoskiej i ze względu na moje kompetencje zajmowałem się sprawami kulturowymi. W rzeczywistości dalej uprawiałem swój zawód archeologa, wypełniając jednocześnie specjalne misje, które od czasu do czasu powierzał mi mój poprzednik stojący na czele Kustodii.

Ostatnią z nich było nawiązanie stosunków z tajnymi służbami Kuzynów od Ściany, a szczególnie z Saulem Bialikiem, wicedyrektorem Tsometu.

Teraz musiałem zdecydować, czy opowiedzieć Dyskretom o tym, co się wydarzyło. Znowu poczułem swędzenie w

prawym koniuszku prawego ucha. Wyszedłem spod prysznicą bardzo zdenerwowany. Wytarłem się mocno, pocierając ręcznikiem o skórę, na której zostały mi czerwone ślady. Włożyłem białą koszulę, granatowy sweter i sztruksowe spodnie tego samego koloru. Zapach czystości był krzepiący. Wszedłem do gabinetu i zacząłem schodzić po malutkich, kręconych schodach ukrytych z tyłu wielkiego portretu Św. Franciszka, który wisiał za moim biurkiem. Prowadziły one do prywatnej kaplicy, znajdującej się na parterze. Wystarczyło przycisnąć przycisk na ramie obrazu, który przesuwiał się o czterdzieści centymetrów, robiąc miejsce potrzebne do przejścia niezbyt korpulentnej osobie. Ani ja, ani mój poprzednik nie mieliśmy tego problemu.

To właśnie on kazał zbudować te schody. Cierpiał na zaburzenia krążenia w nogach, a dzięki temu skróтови, który prowadził bezpośrednio do kaplicy, mógł uniknąć długiego i męczącego przemierzania klasztornych korytarzy. Poza współbraćmi lubił zapraszać na mszę znamienitych gości. Był to utarty zwyczaj, który został przeze mnie przerwany, bo nie chciałem, żeby spotkanie z Bogiem stawało się światowym wydarzeniem. Z drugiej strony wiedziałem, że w pewnym sensie sytuacja wymusiła na nim ten wybór. Choroba uniemożliwiała mu poruszanie, przez co nie mógł często wychodzić z klasztoru i wykonywać licznych obowiązków przynależnych funkcji kustosa. Kiedy jego sekretarz zapraszał mnie na mszę do prywatnej kaplicy o ósmej rano, wiedziałem już, że Wielebny Ojciec chce mi coś przekazać albo powierzyć jakąś szczególną misję.

Na szczęście moje nogi były jeszcze w dobrej kondycji, dlatego moje zwyczaje były inne. Odprawiałem mszę sam, a potem koncentrowałem się na modlitwie, by przeżyć głęboki i wyjątkowy moment zjednoczenia z Panem. Uważałem ten

czas odosobnienia za niezbędny dla mojej wewnętrznej harmonii, gdyż pozwalał mi łączyć pamięć z rozsądkiem, fantazję z uczuciem. Był to podarunek, który sobie robiłem, pozwalający mi zastanowić się nad śmiercią, nie poddając w wątpliwość wiary kapłana. Było to niezbędne dla mojej równowagi i dobrego nastawienia wobec spraw, którym musiałem sprostać każdego dnia.

Ten nowy zwyczaj samotnego przebywania w kaplicy nie był dobrze widziany przez moich współbraci. Uważali go za niepotrzebną oznakę odosobnienia. Jedyнным odstępstwem, na które sobie pozwoliłem, była sporadyczna obecność ojca Vidigala, bibliotekarza Kustodii. Był to brat posiadający rozległe i głębokie doświadczenie, stary, serdeczny przyjaciel potrafiący odczytać moje stany ducha, pierwszy franciszkanin, którego poznałem po przyjeździe do Jerozolimy i który przez te wszystkie lata zawsze doradzał mi i wspomagał swoją mądrością. Uważałem go za swojego anioła stróża.

Usłyszałem za sobą jakiś hałas. Odwróciłem się i zobaczyłem ojca Giancarlo, mojego sekretarza. Spojrzałem na niego surowym wzrokiem. Przeprosił mnie i powiedział, że pozwolił sobie mi przeszkodzić podczas modlitwy, bo chyba zapomniałem o spotkaniu w Gazie, oddalonej o trzy godziny jazdy, a biorąc pod uwagę natężenie ruchu i ilość punktów kontrolnych, już byłem spóźniony. Podziękowałem mu. Ojciec Giancarlo wyszedł z kaplicy. Znowu zostałem sam. Podjąłem decyzję dotyczącą sprawy czarnej mewy. Na razie nie będę o niej rozmawiał z dyskretami. Wprowadzanie atmosfery niepokoju nie było potrzebne. Musiałem najpierw poznać tożsamość zmarłego. I w ten sposób, przekonany, że znalazłem najlepsze rozwiązanie, złożyłem Panu dziękczynienie za to, że mną pokierował, z radością odetchnąłem atmosferą ołtarza i spokojniejszy wyruszyłem do Gazy.

Za każdym razem, gdy oddalałem się od Jerozolimy - a zdarzało się to często - odczuwałem niepokój. To miasto, które tak kochałem, było dla mnie wąskim trójkątem, które tworzyły Wzgórze Świątynne, Ściana Płaczu i Bazylika Grobu Pańskiego. Rzeczy święte były tam nagromadzone warstwowo. Różne wyznania, rasy, obyczaje stykały się ze sobą, udając, że nic o sobie nie wiedzą. Jego mury z historyczną obojętnością wznosiły się nad wąwozami, grzebiąc inne mury wznoszące się nad innymi wąwozami i umarłych wszystkich czasów i religii.

Mój poprzednik porównał Święte Miasto do statku, który stale przybija do nadbrzeża i odpływa. Kościoły i minarety są jego wałami, synagogi kominami, wzgórze falami oceanu, po którym statek pływa tam i z powrotem, bez żadnego przystanku, a załoga na pokładzie jest tak liczna i mówi tyloma językami, że bardzo trudno nią kierować. Podróżował od tysięcy lat, nigdy nie tonąc, bo kto na tym statku nie wierzył w cuda, nie był realistą. I z tego powodu przetrwał najazdy, tortury, okropieństwa.

Lubiłem wieże Jerozolimy i opierające się na sobie jedna na drugiej kopuły, jakby dziecko rzuciło na ziemię swoje najdroższe zabawki i pomieszało je ze sobą, malując ulubionymi kolorami: złotym, ametystowym, zielonym, żółtym, czarnym, srebrnym.

Dominującymi cechami mojej Jerozolimy było matowe, delikatne światło i kamień. Kamienne place, góry z kamienia, groby z kamienia, domy z kamienia, szkoły z kamienia, synagogi z kamienia, kościoły z kamienia. Stary Testament jest wypełniony kamieniami. Były narzędziem, którym zadawano śmierć mężczyznom i kobietom. Jakub użył kamienia jako poduszki, żona Lota zamieniła się w słup soli podobny do kamienia, z nieba spadał deszcz kamieni, Bóg

wrzucił jeden do oceanu i na nim uformował się świat z Jerozolimą w środku. Aby pokonać pragnienie, kapłani wylewali przebłagalną wodę na ołtarze z kamienia. Z kamieni budowano mosty, zawsze był jakiś kamień, na którym siedywali i modlili się prorocy. Stosy kamieni leżały wszędzie, na trawie i na rogach ulic, jakby stanowiły coś na kształt ozdób. Szare, drobnoziarniste, nazywane przez murarzy *Miziya'hud*, nakrapiane na czerwono - *mizi ahmam* i błyszczące - *mizi hizón*.

W czasie podróży do Gazy moją uwagę przyciągnęły punkty kontrolne. Fantazja Kuzynów od Ściany było nieograniczona. Gdyby komuś przyszła ochota, mógłby urządzić wystawę ich dzieł. Zobaczyłem sześciennie bloki cementu z błękitnym obramowaniem i czerwoną barierkę w środku, równoległością z zielonej sklejki wysokie na ponad dwa metry, żółte plastikowe pojemniki wypełnione wodą, a obok nich puste, łatwe do przesunięcia, białe półokrągłe konstrukcje, za którymi schowany był wartownik, worki z piaskiem przed starym pojazdem ustawionym w poprzek, który miał tworzyć niespodziewaną przeszkodę.

Zostałem zaproszony do Gazy przez Ahmeda Husseina, dyrektora Instytutu Archeologii miejscowego uniwersytetu, który chciał zasięgnąć mojej opinii o kilku niedawno znalezionych rzymskich mozaikach. Miałem zdecydować, czy warto było je odrestaurować.

Dotarłem do punktu kontrolnego Przyjaciół ze Skały, mniejszego i skromniejszego od tych, które budowali Kuzyni od Ściany: złamane krzesło i stojący obok policjant o zmęczonym wyrazie twarzy i niezbyt zainteresowany tymi, którzy wjeżdżali i wyjeżdżali. Czekala tam na mnie wysoka, szczupła, piękna, młoda dziewczyna o ciepłym i ujmującym uśmiechu. Skierowała w moją stronę życziwie:

- Witaj Abuna Mateo.

Abuną, co po arabsku znaczy ojciec, nazywali mnie moi przyjaciele, a w każdym razie ci, którzy dobrze mnie znali. Nie wydawało mi się, żebym kiedykolwiek spotkał tę dziewczynę, chociaż jej twarz, a zwłaszcza zielone, głębokie i błyszczące oczy w niejasny sposób sprawiały wrażenie znajomych. Przeprosilem za spóźnienie, ale ona pospiesznie odparła, że najważniejsze jest to, że się zjawiłem. Potem dodała, że najlepiej by było, gdybym zostawił swój samochód na parkingu obok punktu kontrolnego i wjechał do Gazy razem z nią. Jeździła starym fiatem Uno, którego karoseria była w opłakanym stanie. Środek nie wyglądał lepiej, tapicerka była podarta w kilku miejscach. Dziewczyna zapewniła mnie jednak, że hamulce są sprawne. Usiadłem obok niej. Na tylnym siedzeniu rozłożył się najgrubszy kot, jakiego kiedykolwiek widziałem, z biało-czarnym, miękkim futrem, okrągłym pyszczkiem i wyjątkowo długimi wąsami. Miauknął bez cienia serdeczności, kiedy dostrzegł moją obecność.

- Ma na imię Dimmitu. Proszę się nie przejmować, jest towarzyski, ale musi czuć się kochany.

Wyjaśniła mi dalej, że profesor Ahmed Hussein nie mógł mnie powitać z powodu nieprzewidzianych zajęć, których nie dał rady przełożyć i poprzez jej osobę prosi o wybaczenie. Jeśli nie mam nic przeciwko, to ona będzie moim przewodnikiem. Zapytałem ją, czy jest uczennicą Husseina.

- Ja też zajmuję się archeologią - odpowiedziała.

Uśmiechnąłem się kurtuazyjnie. Dziewczyna nastawiła radio na lokalną stację. Nadawali rap w wykonaniu Szarbama Abdela Kerima. Powiedziałem jej, że w jednej z gazet widziałem zdjęcie tego Egipcjanina, który pracował w pralni, zanim osiągnął nieoczekiwany sukces. Miał we włosach pełno żelu,

kilka kilogramów nadwagi, ubierał się w dość ekscentryczny sposób: bransoletki na nadgarstkach, złoty naszyjnik, rozpięta koszula z jedwabiu w czerwone, zielone i złote wzory, ukazująca tłustą i białawą klatkę piersiową. Szarbam wyrażał się w agresywny sposób na temat Kuzynów od Ściany. Teraz słychać było w radiu takie słowa: „Nienawidzę Izraela. Zawsze będę to mówił, nie boję się śmierci ani więzienia. Nienawidzę Izraela, ludzi z bronią przeciwko ludziom z cytrynami”.

Dziewczyna chciała wiedzieć, co o nim sądzę. Stwierdziłem, że uważam go za przeciętnego piosenkarza. Uśmiechając się, odpowiedziała, że mimo tego jest patriotą, potrafi rozmawiać z ludźmi i jest bardzo popularny w Gazie. Nie widziałem potrzeby kontynuowania tego tematu, ponieważ lubiłem zupełnie inny rodzaj muzyki. Chyba odgadła moje myśli, bo wyłączyła radio, a Dimmitu zamiauczał, jakby chciał wyrazić, że się ze mną zgadza.

Minęliśmy minaret jednego z najstarszych meczetów Środkowego Wschodu - Al Omari. Przejechaliśmy przez kilka wąskich, niewyafaltowanych uliczek, zostawiając za sobą domy, w których ubóstwo mieszało się z niechlujstwem. W chaotycznej zabudowie pojawiały się tu i ówdzie obiekty posiadające niezaprzeczalną wartość architektoniczną, jak publiczne łaźnie Al-Samrah, meczet Kateb, greko-prawosławny kościół św. Porfiriusza, pierwszego biskupa Gazy po zakończeniu prześladowań chrześcijan ze strony Rzymian w czwartym wieku. Dziewczyna uprzejmie poinformowała mnie o tym wszystkim, jakbym pierwszy raz był w tych stronach. Pomyślałem, że chce zrobić na mnie dobre wrażenie i z przyjemnością przyjąłem jej słowa.

- Dobrze znam pańską pracę, Abuna Mateo - powiedziała w pewnym momencie. - Byłam w Umm-er-Rasas.

Mówiła dalej, coraz bardziej mnie zadziwiając.

- Ruiny Umm-er-Rasas były bardzo rozległe, kiedy ojciec odkrył je przez przypadek na jordańskiej pustyni. Z oddzielnego, niezręczystego bezkresu leżących kamieni wylaniały się tu i ówdzie nadal stojące łuki, kolumny i kościoły, jak ten wzniesiony w 586 roku za czasów biskupa Madaby - Sergiusza. Na terenie jego diecezji znajdowało się Umm-er-Rasas. Powstanie dzieła finansowo wsparli najzamożniejsi członkowie społeczności. Darczyńcy zostali sportretowani w scenach nawiązujących do rolnictwa i łowiectwa, którymi mozaicyści ozdobili nawę główną. W VIII wieku, gdy regionem od ponad stu lat zarządzali kalifowie omajjadzcy z Damaszku, zbudowany został nowy kościół, usytuowany na południowy wschód od poprzedniego. Chrześcijanie z Umm-er-Rasas poświęcili go pierwszemu męczennikowi, św. Szczepanowi.

Byłem zdumiony.

Dziewczyna zacytowała z pamięci mój ostatni artykuł, który ukazał się na łamach czasopisma wydawanego przez Studium Biblicum Franciscanum i docierającego niemal wyłącznie do specjalistów z dziedziny. Podziękowałem jej za zainteresowanie, które poświęcała moim badaniom. Uśmiechnęła się do mnie z zadowoleniem, a Dimmitu odezwał się po kościemu.

W końcu dotarliśmy do centrum Gazy, w pobliżu ogrodzonego terenu archeologicznego, gdzie znajdowały się mozaiki, które miałem obejrzeć. Moja diagnoza była natychmiastowa. Były w opłakanym stanie. Wymagały zdecydowanych zabiegów. Dziewczyna powiedziała mi, że nie ma wystarczających funduszy na ich odrestaurowanie, ale wszyscy we mnie wierzą. Nie zapytałem, kim są ci wszyscy.

- Teraz, Abuna Mateo, zabiorę ojca na Uniwersytet. Czeka ją tam na ojca.

Nie pojechaliśmy na Uniwersytet, ale na piechotę udaliśmy się w stronę zrujnowanego budynku, który kiedyś mógł być kinem. Dziewczyna wyczuła moje wahanie i wyjaśniła, że jest to tymczasowa siedziba Instytutu Archeologii. Właściciel zaferował ten lokal profesorowi Husseinowi, który, nie mając do dyspozycji funduszy umożliwiających zakup lub wynajęcie czegoś lepszego, przeznaczył go na spotkania, sympozja i konferencje.

W sali znajdowała się jakaś setka studentów. Siedzieli, gdzie się dało, większość na zakurzonej podłodze. Dziewczyna przedstawiła mnie jako Abuna Mateo, największego archeologa Ziemi Świętej. Szepnęła mi do ucha, że teraz mogę już mówić. Odpowiedziałem jej cicho, że nie miałem w planach konferencji, ale ona błagalnie poprosiła, żebym coś powiedział, bo nie chciała rozczarować swoich przyjaciół. Po tem zmrużyła oczy, jakby coś jej dokuczalo, a na jej twarzy pojawił się grymas bólu. Chciałem ją zapytać, co się dzieje, ale znowu się do mnie uśmiechnęła i zaczęła bić brawo. Studenci przyłączyli się do niej z entuzjazmem. Poczułem, że coś muska mnie w nogi. Był to Dimmitu układający się między moimi stopami, jakby on też chciał mnie posłuchać.

Dziewczyna, cały czas przyzymkając oczy, powiedziała do mnie głośno:

- Abuna Mateo, zanim zaczniesz ojciec mówić, chcę zadać pytanie, na które - mam nadzieję - uzyskam od ojca odpowiedź. Dotyczy ono czegoś, co jest troską wszystkich tu obecnych. Myślę, że jest to nasze wspólne odczucie.

Uśmiechnęła się, wzięła oddech i ciągnęła dalej:

- Jest ojciec nie tylko wielkim archeologiem i badaczem geografii biblijnej, ale też Kustoszem Ziemi Świętej. Czy

według ojca ktoś z nas mógłby dzisiaj powtórzyć podróż Jezusa Chrystusa?

Ta dziewczyna zadziwiła mnie coraz bardziej z powodu poprawności języka i okazywanej kultury. Postanowiłem odpowiedzieć z punktu widzenia profesora.

- Gdy jest mowa o drodze, którą przebył Odkupiciel, od razu przychodzi mi na myśl Świątynia Jerozolimska, a później, naturalnie, Nazaret, Kafarnaum, miasta Galilei i jej wioski z uprawami winogron, fig, migdałów, granatowców, oliwek, jęczmienia, pszenicy.

Dziewczyna skinęła w moją stronę, jakby chciała mi przerwać. Zapytałem:

- Chcesz coś powiedzieć?

- Tak, Abuna Mateo. Jakiś czas temu jadłam kolację z kanadyjskim fotografem. Przyjechał w te strony zaciekawiony zdjęciami naszych dzieci z bronią w ręku. Powiedział mi, że nie rozumie, dlaczego nie możemy się zdecydować, żeby na poważnie podpisać traktat pokojowy. Próbowалаm wyjaśnić, skąd bierze się w nas gniew, a on odparł, że jest sposób na pokonanie wroga, możemy stworzyć palestyńskie kibuce³. Przypomniałam mu, że Izraelczycy mają po swojej stronie Amerykanów, a my jesteśmy pozostawieni sami sobie. Z pewną dozą arogancji stwierdził, że naszą siłą są idee, ale musimy nauczyć się z nich korzystać. Spytałam go więc, czy uważa, że ktoś z nas byłby dziś w stanie powtórzyć podróż, nie kończąc z kulą w głowie lub godzinami tkwiąc przy punkcie kontrolnym. Nie potrafił mi odpowiedzieć. Abuna Mateo, kiedy ktoś z nas będzie mógł bez zakłóceń odbyć tę podróż,

³ Spółdzielcze gospodarstwo rolne w Izraelu, w którym ziemia i środki produkcji są własnością wspólną.

to miejsce będzie można znowu nazwać Ziemią Świętą. Zgadza się ojciec?

Przytaknąłem, chociaż żywiłem przekonanie, że od dnia męczeńskiej śmierci naszego Pana ta ziemia w większym stopniu jest zropanczona niż święta.

ROZDZIAŁ 5

Ser

W sali panowała absolutna cisza. Głos zabrała niziutka, ładnie zbudowana dziewczyna o promiennej twarzy. Miała czarne, długie, proste włosy, bursztynową skórę, czerwone usta. Duże, ciemne, lekko skośne oczy wyrażały poczucie siły. Miała na imię Fatima. Powiedziała, że urodziła się w wiosce Al Azarekh. Kiedy ją opisywała, jej głos wyrażał wzruszenie, niemal czułość.

- Wyobraźcie sobie czerń namiotów wylaniającą się z od dali w blasku słońca. Potem nagle, za zakrętem drogi biegnącej z północy na południe przez pustynię Genew, pojawia się moja wioska; wiele namiotów z kilkoma barakami z blachy, mnóstwo dzieci, bezładnie zaparkowane, stare samochody, wielbłądy i kozy, które próbują coś oskubać, psy szczekające na wiatr. Kable, którymi płynie prąd na pustynię Negew przebiegają właśnie tędy, ale nasze namioty nie są połączone z liniami wysokiego napięcia. Al Azarekh liczy trzy tysiące mieszkańców. Ale Izraelczycy nie uznają tej osady. Oznacza to, że oficjalnie nie istniejemy, czyli nie możemy korzystać z usług publicznych. Dla państwa jesteśmy tylko nomadami, mimo że ta ziemia należy do nas od wieków. Efekt jest taki, że gdybyśmy nie rozpalali ognia, korzystając z niewielkiej ilości opału, jaką udaje nam się znaleźć, zimą umarlibyśmy z chłodu. Poza tym musimy się obyć bez bieżącej wody,

kanalizacji, publicznych środków transportu, dróg. A przecież dwaj beduińscy żołnierze, zabici miesiąc temu przez bojowników Hamasu w małym forcie trochę na południe od Betlejem, pochodzili z mojej wioski. Tych dziesięć minut wymiany ognia wyznaczyło nową jakość. Po raz pierwszy wszystkie ofiary, zarówno z jednej, jak i z drugiej strony, były Palestyńczykami.

Abuna Mateo, chce ojciec wiedzieć, dlaczego dwaj palestyńscy Beduini zostali ustawieni w pierwszej linii, mając na sobie mundur z gwiazdą Dawida? Odpowiedź jest przepełniona goryczą.

Jako Palestyńczycy i muzułmanie jesteśmy automatycznie zwolnieni ze służby wojskowej. Izrael nie ma wystarczającego zaufania, żeby powierzyć nam broń. Możemy się zaciągnąć tylko jako ochotnicy. Każdego roku średnio stu naszych zostawia namioty i wielbłądy, żeby zameldować się w izraelskich koszarach. Robią to, żeby uciec od biedy lub z powodu dumy, pragnienia sukcesu, szacunku. Izrael chętnie przyjmuje naszych chłopców z wyraźnie określonego powodu: są niezawodnymi tropicielami śladów, potrafią odczytać to, co kryje powierzchnia pustyni.

Zrobiła pauzę.

- A potem dzieje się tak, że któryś z nich zostaje zabity przez swoich własnych towarzyszy, a w rodzinnej wiosce uważa się go za zdrajcę. Abuna Mateo, jednym z tych dwóch żołnierzy był mój brat, a moi rodzice nie chcieli go pochować.

Wbrew wszelkim przewidywaniom spotkanie zamieniało się w polityczną debatę. Drżącym ze wzruszenia głosem powiedziałem, że kiedy o zachodzie słońca patrzę z wysokości góry Nebo na pierwsze światła Jerycha w dolinie Jordanu, a potem Jerozolimy i Betlejem w Górach Judejskich, rozmy-

ślając o zbrodniach, które są popełniane w blasku tych lamp, nie jestem w stanie nazwać tej ziemi naprawdę świętą.

W ciągu czterdziestu dwóch lat mojej bytności w Jerozolimie doświadczyłem wszystkich możliwych sytuacji, począwszy od karabinu maszynowego, który młodzieńki izraelski spadochroniarz wycelował w moją klatkę piersiową podczas wojny sześciodniowej. Dostał się do Klasztoru Biczowania, w którym wtedy mieszkałem i studiowałem, przez okno korytarza na pierwszym piętrze. „Jeśli jeszcze kiedyś pokażesz się w tych stronach - stałem przed drzwiami mojego pokoju - zastrzelę cię” - wykrzyczał mi w twarz. Jako wolontariusz Czerwonego Krzyża towarzyszyłem później ludzkiemu potokowi biednych i przerażonych Przyjaciół ze Skąły, długiemu jak odległość dzieląca Jerozolimę od brzegu Jordanu, który dzień po dniu zmierzał pod czerwcowym słońcem na południe, w poszukiwaniu schronienia. Na przedmieściach i pustyni znalazłem wiele niepogrzebanych ciał; spaliłem je, bo nie byłem w stanie zapewnić im godnego pochówku. Słyszałem okrzyki nieszczęścia i nienawiści wśród rodzin wpędzonych z domów w dzielnicę muzułmańskiej pod wielkie meczety. Buldożery zrównały z ziemią wszystkie budynki, żeby w ciągu trzech dni przygotować płaski teren, na którym Kuzyni od Ściany mogliby się spotykać na modlitwę. Widziałem bomby spadające w czasie wojny Jom Kippur, sfotografowałem ich wybuchy i ogień, i dym, który unosił się z zaatakowanych nocą syryjskich rafinerii Holms. Nie mógłbym zapomnieć o żadnej z tych rzeczy.

- Pokoju - zakończyłem - nie da się zaprowadzić karabinami i wywłaszczeniami, wymaga to sprawiedliwości i wzajemnego szacunku. Trzeba robić takie ważne gesty, jak pewna para Kuzynów od Ściany, posyłająca dwójkę dzieci

do szkoły, w której uczą wspólnego życia z Przyjaciółmi ze Skały. Kilka dni temu byłem u nich na kolacji. Starszy z synów wyciągnął z kieszeni jabłko, które dostał rano w klasie od swojego kolegi z ławki - Palestyńczyka. Każdy z nas zjadł maleńki kawałek, długo rozpuszczając go w ustach, jakby był hostią.

Westchnąłem. Potem powiedziałem jeszcze:

- Pamiętajcie, że nawet najsilniejszy nigdy nie jest na tyle mocny, żeby mógł na stałe pozostać władcą, o ile nie przekształci siły w prawo, a posłuszeństwa w obowiązek.

Długo mnie oklaskiwali. Głos zabrała moja towarzyszka:

- Przez pewną część roku Abuna Mateo mieszka w cudownym miejscu, które nazywa Balkonem na Świat. To góra Nebo w Jordanii. Znajduje się tam Memoriał Mojżesza, kościół, który kryje mozaiki z duszą.

Miała łzy w oczach. Jej wzruszenie wydało mi się trochę przesadne, bo nie sądziłem, żeby kiedykolwiek była na górze Nebo.

Zwróciłem się do studentów:

- Wielu z was z pewnością jest obdarzonych zmysłem obserwacji. W waszej pamięci zapisuje się wszystko to, co się wokół was dzieje. Spośród tego, co dostrzeżliście, wybierzcie najważniejszą rzecz. Większość ludzi nie przywiązuje uwagi do swoich własnych życiowych spraw, nie wspominając o otaczającej ich rzeczywistości. Rozwijanie zdolności uwagi wymaga wysiłku, czasu, chęci do systematycznego ćwiczenia. Do znalezienia mozaiki potrzebny jest właśnie ten rodzaj czujności. Ważne, żeby zrozumieć, w jaki sposób patrzeć, słuchać, w większym stopniu odbierać piękno niż brzydotę. Pomyślcie: kwiat, liść, pajęczyna, rysunki mrozu na szybie są zawsze takie same, bez względu na to, z jakiej pozycji na nie patrzycie. Ale wraz ze zmianą waszych odczuć,

zmienia się ich ocena. Nazywam to wrażliwą uwagą, która pozwala odkryć duszę stojącej przed wami osoby i zrozumieć, że ma w sobie skłonność do światła, a nie do ciemności.

W odniesieniu do mozaiki element ten sprawia, że budzą się w was emocje. Jeśli macie wrażliwe serce, wzruszycie się, kiedy przy pomocy kielni odkopiecie warstwę ziemi skrywającą ją przed światem i historią i poczujecie jej zapach. Dopiero wtedy będziecie mieć okazję, żeby zostać zdolnymi archeologami.

Znowu zabrzmiały długie oklaski. Potem moja towarzyszka przypomniała, że prowadząc wykopaliska w Umm-er-Rasas, znalazłem kościoły zbudowane podczas panowania Omajjadów. Tak więc, skoro kiedyś ludzie żyli na tych ziemiach w pokoju, dlaczego nie jest to możliwe teraz? Podsumowała, że wina leży po stronie Izraelczyków, a nie Palestyńczyków.

W tym momencie zauważyłem:

- W Piśmie Świętym jest mowa, że początkiem mądrości była bojaźń Boża. Myślę, że ludzie mają coraz mniej tej mądrości i widzą w Panu zbyt abstrakcyjną Istotę. Powinni Go bardziej kochać, okazując to sercem i uczuciem.

Spotkanie dobiegło końca. Dziewczyna, która przedstawiła się jako Fatima, podeszła do mnie i zaprosiła na spektakl w Jerozolimie. Byłem zaskoczony. Zapytałem, czy jest aktorką czy reżyserem? Odpowiedziała, że należą do niej obydwie role, potem uśmiechnęła się, zmarszczyła czoło, jakby dopadła ją jakaś zła myśl, i spojrzała na moją towarzyszkę, która przecierała sobie oczy z grymasem bólu na twarzy. Ta z kolei zawołała:

- Abuna Mateo, wszystkie szczęśliwe chwile są do siebie podobne. Każde nieszczęście jest inne.

Pożegnałem studentów, obiecałem Fatimie, że ją odwiedzę i wróciliśmy z moją przewodniczką do samochodu. Dimmitu podążył za nami, zwinnie drepcząc pomimo swoich okazałych rozmiarów. Położył się jak poprzednio na tylnym siedzeniu. Powęszył w powietrzu, miauknął przeciągle i zaczął mruczeć z zadowoleniem. Dziewczyna uprzedziła mnie:

- Abuna Mateo, zwykle czas przejazdu przez punkt kontrolny zależy od humoru żołnierza, który akurat pełni wartę. Może ojca zatrzymać na wiele godzin i dopiero po długich namowach pozwoli przejechać.

Przyznałem jej rację; podczas tych niekończących się i absurdalnych postojów zdarzyło mi się widzieć przychodzące na świat dzieci, które chrzcilem, nie zastanawiając się nawet przez moment, czy są chrześcijanami, Kuzynami od Ściany lub Przyjaciółmi ze Skały.

Pożegnaliśmy się i zanim wsiałem do swojego auta, dziewczyna podarowała mi wielki blok sera dla współbraci, wyjaśniając przy tym, że według niej ser z Gazy jest absolutnie najlepszy w całej Ziemi Świętej. Zrozumiałem wtedy, dlaczego Dimmitu z taką lubością węszył powietrze.

Kuzyn od Ściany zatrzymał mnie w swoim punkcie kontrolnym na przeszukanie. Gdy odkrył ser, powiedział, że popełniam przestępstwo, bo wywożenie towarów z Gazy jest niedozwolone. Poinformowałem go, że chodzi o prezent i że jestem Kustoszem Ziemi Świętej. Spojrzał na mnie powątpiewająco. Nie wiedział, że jestem przełożonym franciszkanów. Uznałem, że nie warto mu tego tłumaczyć. Powtórzył, że nie mogę przewieźć sera. Spytałem, czy przypadkiem go nie chce, skoro nie pozwoli mi zawieźć go braciom. Stwierdził, że jego też obowiązują przepisy. A poza tym izraelski ser jest lepszy, bardziej aromatyczny i zdrowszy.

Przedstawiłem nową propozycję. Chciałem zostawić ser na drodze, skąd na pewno zabrałby go ktoś potrzebujący. Wartownik odparł, że takie rozwiązanie również nie wchodzi w grę, bo to nielegalne i musiałyby aresztować tego, kto wszedłby w posiadanie sera; bez wątplenia byłaby to kradzież.

Odniosłem wrażenie, że wyczerpały mi się pomysły. Właśnie wtedy zobaczyłem taksówkę. Był w niej tylko kierowca. Powiedziałem żołnierzowi, że mógłbym podarować ser taksówkarzowi.

Kuzyn od Ściany stwierdził, że może przystać na taką ewentualność, ale wszystko musi się odbyć poza zasięgiem jego wzroku. Poprosiłem więc kierowcę taksówki, żeby jechał przede mną i zatrzymał się na wysokości punktu kontrolnego Przyjaciół ze Skały, bo otrzyma ode mnie prezent. Zdziwił się bardzo, ale zrobił tak, jak powiedziałem, a kiedy dałem mu ser objął mnie i ucałował mi dłonie. Był ojcem siódemki dzieci i dzięki mojemu podarunkowi w jego domu będzie tego wieczora panował istic świąteczny nastrój. Chciał, żebym był jego gościem. Podziękowałem za zaproszenie, bo koniecznie musiałem wrócić do Jerozolimy. Pożegnał mnie ze łzami w oczach.

Przy punkcie kontrolnym Kuzyn od Ściany sprawdził moje auto jak za pierwszym razem. Potem pokazał mi, że mogę przejechać, lekko się uśmiechając. Kiedy zmierzałem w stronę Jerozolimy, zadając sobie pytanie, po co tak naprawdę pojechałem do Gazy, uświadomiłem sobie, że dziewczyna, która była moją przewodniczką, nie podała mi swojego imienia. Znałem tylko imię kota: Dimmitu.

ROZDZIAŁ 6

Dyskrecci

„Pomyśl, że sprzedawca owoców zawsze dokłada jedno jabłko więcej do kilograma, który ci sprzedaje. Twój dzień na pewno będzie lepszy”.

Mama zawsze powtarzała mi to zdanie, gdy widziała, że jestem smutny albo muszę rozwiązać jakiś problem. Przez te wszystkie lata jej słowa były dla mnie pociechą w trudnych chwilach. To, co przeżywałem teraz, było wyjątkowo ciężkie. Sprawa czarnej mewy spadła na mnie w szczególnym momencie. Od niedawna pełniłem funkcję kustosa. Ciężko znośiłem przejście od swobodnej pracy archeologa do siedzącego trybu życia, którego rytm wyznaczały ściśle określone i biurokratyczne terminy. Jednym słowem, wcale nie czułem się dobrze w tej roli.

Uważałem na przykład, że nie muszę przyjmować współpraci, siedząc za biurkiem. Jednak ta mało tradycyjna postawa przysporzyła mi pewnej niechęci. Niektórzy, jak ojciec Benjamin, twierdzili nawet, że postępując w ten sposób uchylam oficjalnemu charakterowi stanowiska. Stałem się kustoszem prawie jednogłośnie. Nie głosowali na mnie tylko Francuzi, ale wpłynęła na nich, nazwijmy to, pewna różnica zdań, która powstała pomiędzy mną a ojcem Benjaminem, ich dyskretem.

Kilka miesięcy przed moim wyborem prowadziłem seminarium pod tytułem *Chrześcijańska archeologia i badania biblijne*, które odbywało się we Franciszkańskim Studium Biblijnym z siedzibą w Klasztorze Biczowania. Uczestniczyli w nim naukowcy z różnych stron świata, a pod koniec głos zabrał ojciec Benjamin. Chciał poinformować zebranych o swoim ważnym odkryciu. Kamienna głowa, znaleziona w czasie wykopalisk prowadzonych przez naszych archeologów w twierdzy Acheront, była według niego dokładną repliką głowy Jana Chrzciciela, którego ścięto w tym miejscu. Powiedziałem, że nie istnieje żaden naukowy dowód na poparcie tej tezy. Nie licząc pogaduszek, które ojciec Benjamin usłyszał prawdopodobnie w którejś z jerozolimskich kawiarni. Zakończyłem żartobliwie, z przesadnym impetem, którego od razu pożałowałem: „Archeolodzy amatorzy szkodzą sobie samym i badaniom. Radziłbym, żeby poświęcili się innym zajęciom, jak ogrodnictwo i pszczelarstwo”.

Ojciec Benjamin odparł, że jeśli chodzi o rośliny, to lubi je oglądać, a miodu używa do kawy zamiast cukru. Zakończyłem tę wymianę zdań stwierdzeniem, że spodziewałem się po nim więcej poczucia humoru, a przede wszystkim więcej pokory.

Był jeszcze inny powód mojej reakcji. Ojciec Benjamin był niesympatyczny, a jego wygląd działał na mnie drażniąco. Doskonale wiedziałem, że nie mogę go winić za krótkie nogi, wystający brzuch, rzadkie kępki posiwiałych włosów na głowie. Jednak z pewnością miał wpływ na towarzyszący mu nieznośny odór, który zawdzięczał sporadycznym kontaktom z wodą.

Krótko przed naszymi wyborami ojciec Benjamin przypomniał współbraciom epizod z głową Jana Chrzciciela i mój brak powściągliwości. Istotna wada u kandydata na kustosza.

Po mojej nominacji podarował mi kawiarkę, do której dołączył nieco banalny bilecik: „Odrobina gorącej Italii w Ziemi Świętej z życzeniami owocnej pracy dla naszego kustosza”.

Kawiarka nie działała tak, jak powinna. Być może miała jakąś wadę fabryczną, bo nie robiła takiej kawy, jaką lubię, gęstej i kremowej. Napój zawsze wychodził za słaby.

Kiedy ojciec Benjamin przychodził do mojego gabinetu, nie tylko zatykałem sobie nos w taki sposób, żeby tego nie dostrzegł, ale za każdym razem musiałem celebrować rytuał parzenia kawy. A potem sączyć ją, udając przyjemność i zadowolenie. Myślałem wówczas o tym, że bracia zrobiliby lepiej, dzielając jego wątpliwości i nie wybierając mnie.

Z formalnego punktu widzenia moje stosunki z dyskretnymi były poprawne, żaden z nich nie skierował pod moich adresem słów krytyki czy protestu, ale wyczuwałem dystans. Prawdopodobnie traktowałem moją funkcję zbyt osobiście. Poza tym mój poprzednik mógł do niektórych delikatnych misji wykorzystać mnie, a ja nie miałem takiego ojca Mateo do rozwiązywania trudnych kwestii.

Jedynym przyjacielem był ojciec Vidigal, ale wiek i liczne obowiązki często ograniczały jego dyspozycyjność. Mój sekretarz, ojciec Giancarlo, młody, chudy, wysoki i nieustannie zatroskany brat, zamiast mnie uspokajać zawsze zarażał mnie pewną dozą niepokoju. Wybrałem go, bo był prostodusznym człowiekiem, jednak od razu zrozumiałem, że za bardzo.

Poza tym nie przyzwyczałem się jeszcze do nowego mieszkania w Klasztorze Najświętszego Zbawiciela. Wydawało mi się zimne i niewygodne. Wyposażenie pokoju, który zajmowałem w Klasztorze Biczowania do dnia nominacji, stanowiły porzrzucone wszędzie książki, wartościowe

przedmioty z wykopalisk używane jako przyciski do papieru, stare mapy Jerozolimy i Ziemi Świętej zawieszane na ścianach obok zdjęć mozaik z Umm-er-Rasas i Góry Nebo, podgrzewacz do kawy stojący obok starej Biblii. Poza tym przechowywałem skarb, cenną i unikatową kolekcję złotych monet rzymskich. Była zamknięta w drewnianej skrzynce ukrytej pod łóżkiem, bo nie miałem pieniędzy, żeby na parterze muzeum Studium Biblicum Franciscanum na parterze zainstalować elektroniczny system antywłamaniowy.

Mandat kustosza obejmował okres sześciu lat i nie zdecydowałem jeszcze, czy przenieść te różne drobiazgi do Klasztoru Najświętszego Zbawiciela, czy zostawić tam, gdzie były. Czytałem gdzieś o wielkim uwodzicielu, który na pewnym etapie życia zakochał się w róży ze swojego ogrodu. Usiłował jak najdłużej utrzymać ją przy życiu. Gdy zwiędła, zamroził ją i przechowywał do swojej śmierci, z nikim nie rozmawiając. Ja nie mogłem zamrozić przedmiotu mojego zamiłowania, bo archeologia istnieje dzięki ciągłym działaniom i obecności.

Wydarzenia, które doprowadziły mnie do tego stanowiska - nagła śmierć mojego poprzednika i wybór kandydata ponad podziałami - dawały mi swobodę, a jednak były źródłem trosk. Największą z nich, którą dotkliwie odczuwałem, była kwestia mojego autorytetu. Miałem wrażenie, że współbracia szanują mnie jako archeologa, ale nie zostałem jeszcze zaakceptowany jako kustosz. Oczekując na spotkanie z dyskretkami, poszedłem się pomodlić do prywatnej kaplicy. W całym klasztorze nie było takiego miejsca, w którym czułbym się swobodniej. Byłem też przekonany, że tylko modlitwa może pokonać niepokoje i uczucie skrępowania, które ogarnęły mnie po wyborze. Od jakiegoś czasu klękałem po mszy przed ołtarzem, pozostając tak przynajmniej dziesięć minut.

Ale nie mogłem tam przebywać stałe, nie do pomyślenia było poświęcanie całego dnia modlitwie, żeby uciec od rzeczywistości, w której coraz trudniej przychodziło mi łączenie pracy kustosza i archeologa. Odmówiłem *Ojciec nasz* za ojca Benjamina.

Potem pomyślałem o dziwnym zdarzeniu sprzed kilku dni, kiedy odwiedził mnie ojciec Bernard, nowy asystent naszego przełożonego generalnego. Był mężczyzną średniego wzrostu, o masywnej budowie ciała i zwyczajnej, niczym nie wyróżniającej się twarzy. Tylko jego oczy wywarły na mnie wrażenie. Były błękitne, małe i nieszczerólnie piękne, ale wyrażały poczucie siły i wytrwałości. Jego głos brzmiał przekonująco i krzepiąco. Przekazał mi, że przełożony generalny chciałby, żebym zorganizował wystawę na temat dziejów Kustodii Ziemi Świętej, wykorzystując najlepsze eksponaty z muzeum Studium Biblijnego, wśród których znajdowała się cenna kolekcja złotych monet, w epoce rzymskiej wybijanych w miastach Syrii.

Wyjaśniłem mu, że ten archeologiczny skarb jest majątkiem Zakonu i chciałbym otrzymać od naszego przełożonego generalnego dwa zadania oficjalnej prośby na piśmie. Ojciec Bernard zapewnił mnie, że dostanę list jak najwcześniej, uważał moją prośbę za całkowicie uprawnioną. Poszedłem z nim później do Klasztoru Biczowania, bo wyraził chęć obejrzenia złotych monet. Pokazałem mu, gdzie je ukryłem i skorzystałem z okazji, żeby trochę ponarzekać. Nie było nikogo, kto chciałby mi pomóc w znalezieniu pieniędzy potrzebnych do zabezpieczenia tego skarbu i umieszczenia go w odpowiednio chronionym miejscu na terenie muzeum Studium Biblijnego. Wyjaśniłem, że często zdarza się, że pielgrzymi zabiera na pamiątkę jakieś przedmioty z wykopalisk i bałem się, że tak samo stanie się z monetami. Dlatego trzymałem je w skrzynce

pod łóżkiem, gdzie były bezpieczne.

Podziwiając kilka unikatowych egzemplarzy i ich wyrafinowany grawerunek, Ojciec Bernard zapewnił mnie, że przedstawi ten problem przełożonemu generalnemu, gdyż podziela moje racje. I na pewno dotrze do mnie jakieś wsparcie finansowe. Podziękowałem mu za zainteresowanie, ale oprócz najwyższych władz Zakonu o całej sytuacji wiedzieli też najbardziej wpływowi przedstawiciele Kurii i Sekretariatu Stanu w Rzymie, a jednak nic się nie zmieniło.

Ojciec Bernard uznał, że moje rozczarowanie jest uzasadnione i poprosił, żebym mu zaufał. Pożegnałem go z pewną dozą sceptycyzmu zamaskowanego uśmiechem i obietnicą rychłego spotkania, może tym razem w Rzymie. Przypomniałem mu jeszcze o kilku słowach od przełożonego generalnego. Położył prawą rękę na sercu, a palcem wskazującym i środkowym pokazał literę „V”, jak w geście zwycięstwa, który nie wydał mi się typowy dla braci zakonnych. Musiałem przyznać, że również u nas zagościły czysto świeckie obyczaje.

Wróciłem do teraźniejszości. Zrobiłem znak krzyża, wszedłem po kręconych schodach i dotarłem do gabinetu. Dyskretni już na mnie czekali. Przyjęli mnie, stojąc, więc ja też nie usiadłem. Przywitałem się z nimi i powiedziałem:

- Pamiętajcie, istnieje wiara, a obok znajdują się upokorzeni. Musimy sprawić, żeby wiara zaszczepiała sprawiedliwość i przynosiła ludziom ulgę w cierpieniu.

Czekałem na ich reakcje. Nie było żadnych, więc mówiłem dalej:

- Kuzyni od Ściany ograniczyli swobodę przemieszczania się dwóm milionom Przyjaciół ze Skały mieszkającym na Zachodnim Brzegu Jordanu. W rzeczywistości zastosowano wobec tych biednych ludzi areszt domowy. Praktycznie

niemożliwy stał się dla nich wyjazd poza granice swoich miast lub wsi. Przyjechałem do Jerozolimy, mając szesnaście lat. Dzisiaj mam prawie sześćdziesiąt. Kiedyś to miasto było bardziej religijnym miejscem. Widziałem wczoraj brudnego i obdartego staruszka, który nie miał już nawet siły zebrać i nikt się nie zatrzymał, żeby mu coś dać. Potem natknąłem się na kobietę, która spała przed wejściem do Bramy Nowej. Była przykryta stosem bezkształtnych łachmanów. Obudziła się, wstała, podeszła do wiadra pełnego wody, rozebrała się z godnością i umyła. Potem założyła ubranie i odeszła. Oboje, staruszek i kobieta, byli przyzwoici, dumni i samotni. Nie potrafię wam powiedzieć, czy byli to chrześcijanie, Kuzyni od Ściany, czy Przyjaciele ze Skały. Tak naprawdę mało mnie to interesuje. Z pewnością stanowią smutne świadectwo tego, jak bardzo kurczy się obszar Ziemi Świętej.

Ojciec Rafael, dyskret z Włoch, czterdziestoletni, wysoki, szczupły, zawsze uśmiechnięty Florentczyk powiedział, że szanuje i podziela moje przemyślenia.

Potem głos zabrał ojciec Benjamin. Na moją prośbę udał się do spotkania z Eliah Szamirem, bliskim współpracownikiem premiera Szarona. Uśmiechając się szeroko, ojciec Benjamin przypomniał, że mieszka w Jerozolimie dłużej ode mnie i sądzi, że zna to miasto co najmniej tak dobrze, jak ja. Pomyślałem, że to dokładne określenie nie było komplemencem. Przyszło mi do głowy, że może chciałby zająć moje miejsce na stanowisku kustosza, ale od razu odpędziłem tę przykrą myśl. Także z tego powodu, że krótko przedtem modelłem się za niego i nie chciałem stracić dobrodziejstw płynących z tego aktu pokory.

Ojciec Benjamin stwierdził, że Szaron staje się z wiekiem spokojniejszy. Eliah Szamir wyjaśnił mu, że śmierć żony Lili

wywołała w generale pozytywną zmianę. Lili wszędzie widziała wrogów i w ten sposób podsyciała jego wewnętrzną zapalczywość, która uniemożliwiała mu przebaczenie. Była przekonana, że gdyby Przyjaciele ze Skąły ustanowili kiedyś własne państwo, w pierwszej kolejności zestrzeliliby wszystkie samoloty linii El Al⁴. Szaron nie znosił Arafata, uważał go za terrorystę i gdyby tylko nie obawiał się narodowych konsekwencji, już by się go pozbył. Eliah Szamir zakończył spotkanie, opowiadając ojcu Benjaminowi o tym, jak kilka lat temu generał udał się z wizytą do Egiptu i codziennie dzwonił do żony, pytając o jej zdrowie i o kondycję krów w ich gospodarstwie rolnym, a ona, żegnając się z nim, zawsze mówiła: „Kochanie, jesteś jeszcze u Arabów? Pamiętaj, nie wierz w nic, co ci mówią”.

Dyskret z Hiszpanii, ojciec Ramon, sześćdziesięcioletni Katalończyk, który był łysy i otyły, ale - w odróżnieniu od ojca Benjamin - czysty i schludny, stwierdził, że obecna sytuacja nie wróży możliwości poprawy.

Pomyślałem, że wyciąga oczywiste wnioski. Uśmiechałem się do niego, chcąc dodać mu otuchy. Popatrzył na mnie pytającym wzrokiem.

Właśnie na to czekałem, żeby znowu zabrać głos:

- Drodzy bracia, nowy porządek świata znalazł się w koszu na śmieci, a czekająca nas przyszłość rysuje się wyraźniej. Zmierzch ideologii nie przyniósł pokoju, zmienił się tylko charakter wojen. Potyczki strategiczne zastąpiły konflikty, których podłożem są bogactwa naturalne. Z wielu stron jest to powrót do normalności. Ideologiczne walki dwudziestego wieku były zdecydowanie odchyleniem od normy. W swojej historii człowiek zawsze walczył o złoto i diamenty, żyzne

⁴ Israel Airlines - państwowe izraelskie linie lotnicze.

ziemię i wodę. Pomyślcie tylko, że w dzisiejszym świecie półtora miliarda naszych braci cierpi pragnienie. Kuzyni od Ściany źle wykorzystują wodę w Ziemi Świętej. Osiemdziesiąt procent zasobów przeznaczają się na rolnictwo, piętnaście na użytek domowy, a tylko pięć zużywa przemysł. I dzieje się tak pomimo tego, że niewielu ludzi znajduje zatrudnienie w rolnictwie i wnosi ono jedynie dwa procent do produktu krajowego brutto.

W łatwy sposób można by lepiej spożytkować wodę, ale tak się nie stanie dopóki Kuzyni od Ściany pozostaną przywiązani do swoich mitów i symboli, będąc przekonani, że nawet piasek Pustyni Negew jest Ziemią Obiecaną, a uprawianie jej - choć mało wydajne - jest koniecznością religijną. Przepisy dotyczące wykorzystywania zasobów wodnych są odzwierciedleniem przywiązania do symboli. Woda należy do państwa, a własność ziemi nie obejmuje posiadania zasobów wodnych występujących na tym obszarze.

Chcę opowiedzieć wam pewną historię. Jakiś czas temu mój sekretarz, ojciec Giancarlo, wrócił do Klasztoru Najświętszego Zbawiciela po dwóch miesiącach pracy na pustyni Wadi-Rum, gdzie racjonowano wodę nie tylko do mycia, ale i do picia. Przez sześćdziesiąt dni codziennie pił tylko jeden kubek. Współbracia przywitani go w refektarzu i zasypali pytaniami.

Ojciec Giancarlo wyjaśnił, że na środku pustyni, gdzie przebywał, była tylko jedna studnia, a wokół niej gromadzili się mężczyźni, kobiety i dzieci usiłujący wyciągnąć z niej trochę wody przy pomocy osłów i wielbłądów. Nad otworem studni była podpórka z drewnianych belek z przymocowanym metalowym krążkiem, po którym biegła zniszczona już lina. Do sznura przywiązany był worek z syntetycznego włókna, służący za wiadro. Kiedy napełniał się wodą, najstarszy

mężczyzna, będący głową rodziny, przywiązywał koniec liny do uzdy wielbłąda, którego jedno z dzieci prowadziło tak daleko, aż napełniony worek pojawił się na powierzchni. Studnia była bardzo głęboka i wielbłąd musiał przejść co najmniej sto metrów, żeby worek pojawił się na górze z nieco mulistą, ale niezbędną do życia zawartością.

Gdy skończył jeść obiad, syty i zadowolony podniósł się z miejsca i wyszedł z refektarza. Ale nie minęła nawet minuta, gdy pojawił się znowu i zaczął wypijać wodę, która pozostała w szklankach. Niektóre były prawie pełne, w innych został niespełna jeden łyk. Zapytałem brata Giancarlo o powód tego wielkiego pragnienia. Odpowiedział, że nie chciało mu się pić, ale nie mógł pozwolić, żeby taka dobra woda została wyłana.

Właśnie to zdarzenie spowodowało, że wybrałem go na mojego sekretarza, chociaż teraz tego żałowałem z powodu jego przesadnej emocjonalności. Ale o tym nie powiedziałem dyskretnie.

W tym momencie ojciec Benjamin zadał mi pytanie, na które czekałem. W uprzejmych słowach przypomniał wszystkim, że od dawna prowadzę badania nad starą mapą, na której zostało zaznaczonych dwanaście miast Ziemi Świętej, które w rzeczywistości musiały być dwunastoma wielkimi studniami. Jednym słowem, chodziło o ogromne pokłady wody. Czy coś odkryłem? Na jakim etapie jest odczytywanie mapy?

Przymknąłem oczy na kilka sekund. Potem szeroko je otworzyłem i zabrałem głos. Stwierdziłem, że chrześcijańska obecność w Jerozolimie stale się zmniejsza; że nasza parafia Najświętszego Zbawiciela w 1948 r. liczyła dwadzieścia cztery tysiące wiernych, w 1967 r. dwanaście, a dzisiaj tylko pięć tysięcy. RamAllach było kiedyś miastem w większości

zamieszkanym przez chrześcijan, teraz stanowią oni mniej niż połowę ludności. Podobnie w Betlejem i Beit Sahur. Przyczyną była emigracja na Zachód. Do tego dochodził problem nielicznych powołań, a jego pozytywne rozwiązanie wymagałoby zaangażowania całej wspólnoty kościelnej. Zakończyłem:

- Jesteśmy kapłanami. Śmierć nie budzi w nas lęku, kres ciała jest dla nas serdecznie witany światłem i pomaga nam przezwyciężyć smutek, który jest jedną z największych anomalii naszego umysłu.

Włożyłem rękę do kieszeni i wyjąłem jabłko z Keraku. Powąchałem je z przyjemnością.

- Wiecie dlaczego jabłka z Keraku są takie pachnące? Bo w tamtych stronach nie używa się nawozów. Musicie być jak te jabłka.

Tym zdaniem zamknąłem nasze spotkanie. Twarze dyskretoń nie wydały mi się wrogie, ale nie wyrażały też zbytniego entuzjazmu. Wyszli w ciszy. Został tylko ojciec Benjamin. Uśmiechnął się ujmująco i powiedział, że nie odpowiedziałem na jego pytanie dotyczące rozszyfrowywania mapy. Rozłożyłem tylko ręce. Potem zniżyłem wzrok na leżące na biurku dokumenty, chcąc dać mu do zrozumienia, że nic więcej nie powiem. Wtedy ojciec Benjamin wyciągnął z kieszeni koperkę. Otworzył ją. W środku było zdjęcie. Pokazał mi je. Zobaczyłem człowieka, którego nazwałem „czarną mewą”.

Ból

Ojciec Benjamin cały czas obracał fotografię w rękach, nie odzywając się ani słowem. Potem mi ją podał. Długo na nią patrzyłem. Została zrobiona z góry. Czarna mewa leżała na ziemi, ale na pewno nie był to brzeg Morza Martwego. Ciało znajdowało się na gładkiej, lekko porowatej powierzchni. Przynajmniej tak mi się zdawało. Po chwili doznałem olśnienia. Była to droga, położyli zwłoki na asfalcie i sfotografowali. Postanowiłem, że zachowam to odkrycie dla siebie. Jak najszybciej chciałem wyjaśnić sprawę z Gruberem. Ojciec Benjamin delikatnie zakaszłał, chcąc zwrócić moją uwagę. Czekał, że coś powiem; nie mogłem mu oczywiście przyznać się, że już widziałem zmarłego w innym miejscu. W milczeniu rozłożyłem tylko ramiona. Odczytał mój gest jako zachętę do mówienia. Właśnie tego chciałem.

- Osoba uwieczniona na zdjęciu bez wątplenia jest martwa. Ma na sobie habit a więc jest naszym współbratem. Nie pamiętam jednak, żebym kiedykolwiek go widział. Czy Wielebny Ojciec go poznał?

Odetchnąłem głęboko i kiwnąłem głową przecząco. Potem powiedziałem:

- Czy zauważył ojciec, że ten ktoś przypomina wielką czarną mewę?

Spojrzał na mnie osłupiały.

- Wielebny Ojczy, szczyrze mówiąc, jeśli nie brać pod uwagę twarzy, bo mewy mają dziób, a nie nos, można się dopatrzeć pewnego podobieństwa.

Nie podejrzewałem ojca Benjamina o zdolność do ironii dlatego uznałem, że odpowiedział mi poważnie, po bacznej ocenie moich słów. Zawołałem więc, nadając słowom patetyczny ton:

- Czasem możemy napotkać prawdę, ale w większości przypadków nie zdajemy sobie z tego sprawy!

Wiedziałem, że to zdanie zawiera banalne i oczywiste treści, ale tylko takie przyszło mi do głowy. Być może przez podniosły sposób, w jaki je wypowiedziałem, nabrało bardziej nobliwego charakteru. Ojciec Benjamin wydawał się czytać w moich myślach, bo tym razem przemówił oficjalnie, jak prawdziwy i rzetelny dyskret:

- Mam nadzieję, że Wielebny Ojciec wykorzysta cały swój autorytet i prestiż, by dokonać odpowiednich analiz w celu ustalenia tożsamości tego człowieka, który na pierwszy rzut oka wygląda na współbrata i którego Jego Eksce-lencja Kustosz nazwał „czarną mewą”, i zaradzić uzasadnionym niepokojom w Dyskretorium.

Uznałem za niewłaściwie odwołanie się do mojego autorytetu i prestiżu. Co miały do rzeczy w tej sytuacji? Nie zaprotestowałem, żeby nie odniósł wrażenia, że chcę go sprowokować do polemiki. Przyjmując swobodny ton, powiedziałem mu natomiast, iż z jego słów wnioskuje, że inni dyskrety też dostali tę fotografię. Odpowiedział twierdząco i odniosłem wrażenie, że z zadowoleniem przyjął moje zakłopotanie. Uśmiechnąłem się i myśląc sobie w duchu, że ojciec Benjamin jest wyjątkowo antypatyczny, stwierdziłem, że poczynię odpowiednie kroki i jak najszybciej poinformuję Dyskretorium o efektach moich działań.

Na szczęście nie zadał pytania, którego się obawiałem, czy też dostałem tę samą fotografię. Być może chciał je zachować na inną okazję, by postawić mnie w kłopotliwym położeniu. Pożegnaliśmy się z chłodną uprzejmością.

Gdy tylko wyszedł, zorientowałem się, że zostawił na biurku zdjęcie. Może z powodu roztargnienia, albo - co bardziej prawdopodobne - chcąc mnie sprowokować i przypomnieć o moich obowiązkach. Byłem kustoszem, a więc musiałem rozwiązać ten problem, a gdybym nie zdołał tego zrobić, jedynym wyjściem dla mnie byłaby dymisja. Taką wiadomość starał mi się przekazać ojciec Benjamin. Ponownie spojrzałem na czarną mewę. Zdjęcie zostało zrobione przez zabójcę, zanim wyreżyserował znalezienie ciała w Morzu Martwym. Ale gdzie zabił ofiarę? I dlaczego już wtedy była ubrana w habit? Najwyraźniej dopiero potem została przeniesiona do wody. Dlaczego? Jeśli habit miał oznaczać udział w sprawie Kustodii, jakie znaczenie mogła mieć woda? To zabójstwo miało silny wydźwięk symboliczny.

Pukanie do drzwi przerwało moje rozmyślenia. Odezwałem się, zapraszając gościa, żeby wszedł. Był to ojciec Vidigal.

- Stukałem kilka razy, ale nie odpowiadałeś.

Powiedziałem mu, że nie słyszałem.

Zawołał trochę serio, trochę żartobliwie:

- Za dużo myślisz, Mateo!

Podrapał się w głowę. Miał w ręku identyczną kopertę jak ta, którą zostawił ojciec Benjamin.

- Jest lekka! - zauważył.

- Do pewnego momentu - odparłem.

I dodałem, że nie znam jeszcze jej zawartości. Wziąłem ją, otwarłem i zobaczyłem to samo zdjęcie. Ojciec Vidigal

poinformował mnie, że oprócz niego i ojca Benjamina, którego widział wychodzącego z mojego gabinetu, dostali je również inni dyskreści. Powiedziałem mu, że zostałem już o tym powiadomiony i zacząłem się śmiać. Zebranie, które z nimi odbyłem, było z tego punktu widzenia całkowicie zbyteczne i trochę groteskowe. Dyskreści oczekiwali, że zreferuję im sprawę czarnej mewy i przedstawię jakieś wyjaśnienie, a tymczasem mówiłem o czymś zupełnie innym. Wypadłem jak kompletny ignorant, ku uciesze ojca Benjamina. Vidigał odpowiedział, że wcale tak nie było, a dyskreści o nic mnie nie zapytali z szacunku dla moich dociekań, które w ich odczuciu cechuje ostrożność i dyskrecja. Potem podzielił się jeszcze ze mną taką refleksją:

- Nasi przodkowie mieli zdrowy sposób na przeżywanie czasu. Młodość kończyła się w wieku trzydziestu siedmiu, dojrzałość czterdziestu dziewięciu lat, potem do sześćdziesiątego pierwszego roku życia był wiek, który moglibyśmy nazwać proroczym, po nim następowała faza inspiracji, trwająca do sześćdziesięciu trzech lat, wiek mądrości do osiemdziesięciu pięciu i starość od osiemdziesięciu pięciu do dziewięćdziesięciu siedmiu lat.

Stwierdziłem więc, że skoro jestem w wieku proroczym, a on w fazie mądrości, od teraz ma obowiązek zawsze być w moim pobliżu, żebym uniknął popełnienia zbyt wielu błędów.

- Czy to oficjalna prośba?

- Oczywiście - odpowiedziałem.

Przytaknął głową, zadowolony. Opowiedziałem mu, że dzisiaj rano wpadłem na pomysł, który poprawił mi humor, podniósł mnie na duchu i sprawił, że ciężka atmosfera, w której żyłem, stała się możliwa do przyjęcia. Postanowiłem poświęcić mój nowy kalendarz Morzu Martwemu.

Przewodnimi tematami poprzednich były Ziemia Święta, Etiopia, Egipt, Sudan i zostały przyjęte wieloma wyrazami aprobaty. Przyjaciele z Fundacji Massolini, którzy finansowali moje podróże archeologiczne i którym przekazywałem zdjęcia i teksty, wykorzystywali ten materiał w przygotowywanym co roku kalendarzu, który z okazji świąt Bożego Narodzenia rozdawali klientom swojego przedsiębiorstwa. Jednak już teraz mieli natłok zamówień, którym nie byli w stanie sprostać. Uważałem te kalendarze za przygody mojego umysłu, które stawały się potem kolorowymi obrazami świadectwa wiary. Fotografowałem duszę pustyni, którą uważałem za nieśmiertelną i dlatego nie bałem się podążać drogą w nierozzerwalny sposób łączącą ludzką egzystencję z religią.

Chciałem pokazać czarno-białe zdjęcia Morza Martwego, każdego miesiąca przedstawiając wybrzeża zarówno części jordańskiej, jak i izraelskiej. Oryginalność kalendarza będzie wpływała z duchowej postawy odbiorcy, który będzie patrzył na różnorodność czarno-białych zdjęć. Dwanaście obrazów mojej duszy z dwunastoma bramami, przez które można do nich wejść, pomyślałem szczęśliwy.

Ostatni kalendarz, na temat Sudanu, został w szczególny sposób doceniony między innymi dlatego, że dotyczył kraju obfitującego w jeszcze mało znane miejsca. Nie chciałem jednak, żeby przyczynił się do wzbudzenia masowego zainteresowania i poprosiłem Massolinich o wydrukowanie ograniczonej liczby egzemplarzy, które mogliby podarować osobom prowadzącym osiadły tryb życia. Czyli takim, którzy chcieliby poznać Afrykę ze zdjęć i nie zdecydowaliby się tam pojechać w towarzystwie butelki coca-coli.

Ojciec Vidigal, który był bezwarunkowym wielbicielem moich kalendarzy, stwierdził że pomysł z czarno-białymi

zdjęciami jest sugestywny, bo daje absolutną swobodę spojrzenia i sposobu myślenia, a wybór Morza Martwego, po brzegi wypełnionego solą i pozbawionego przejrzystości jest z tego punktu widzenia doskonały. Powiedziałem mu, że jego opinia dodaje mi otuchy i że sprawiłby mi przyjemność, dostrzymując mi towarzystwa w teatrze. Nie wiedziałem, na co idziemy, zostałem zaproszony przez Fatimę podczas mojej wczorajszej wizyty w Gazie. Trochę niechętnie, ale się zgodził. Zapytałem, czy ma ochotę się przejść. Vidigal zrozumiał. Odpowiedział, że tak. Mimo że niedawno skończył osiemdziesiąt lat, jego drobne i chude ciało pozwalało mu zachować wyjątkową zwinność. W młodości był dobrym długodystansowcem i brał udział w licznych zawodach.

Przed wyjściem próbowałem dodzwonić się do Grubera, ale włączyła się sekretarka, więc zostawiłem mu tylko wiadomość. Musiałem się z nim spotkać.

Z Klasztoru Najświętszego Zbawiciela poszliśmy w stronę Bramy Nowej, potem w prawo, do Bramy Damasceńskiej, a na jej wysokości skręciliśmy w lewo, na Derekh Szakhem, dalej Ibn Al-As i na skrzyżowaniu z Salach A-Din znaleźliśmy się przed palestyńskim Teatrem Wielkim.

Vidigal, jakby wiedziony nagłą myślą, która właśnie przyszła mu do głowy, zapytał:

- A kto właściwie zaprosił cię do Gazy?

Odpowiedziałem, że był to profesor Hussein.

Vidigal szczerze się zdziwił.

- Hussein? Ahmed Hussein?

- Tak, dokładnie on.

- Dziwne. To mój dobry przyjaciel, dzwonił do mnie trzy dni temu z lotniska w Tel Awiwie, żeby się pożegnać. Był w drodze do Paryża, gdzie spędzi cały miesiąc, uczestnicząc w całej serii konferencji.

Stwierdziłem, że najwyraźniej zostawił to zadanie swojej uczennicy, która czekała na mnie przy punkcie kontrolnym i nawet nie poznałem jej imienia. Vidigal zauważył, że Kustosz Ziemi Świętej nie powinien tak sobie wszędzie jeździć, konieczna jest większa czujność w przyjmowaniu zaproszeń. Ale z czasem się tego nauczysz, zakończył pojednawczo. Zmienił temat. Uważał, że muszę poprawić moje stosunki z ojcem Benjaminem, bo w mojej nowej roli powinienem zapewnić wszystkim uśmiechy, spokój, sympatię i poczucie bezpieczeństwa. Zgodziłem się z nim. Ale przecież znał pewne cechy mojego charakteru. Łatwo się irtowałem. Zapytałem go:

- Vidigal, czy według ciebie jestem w stanie pełnić funkcję kustosza?

- Tak Mateo, ale w mniejszym stopniu szukaj nieskończoności, bo przyjmując tę misję, podpisałeś z Panem umowę, że pod Jego przewodnictwem będziesz służył skończoności.

Weszliśmy do teatru. Zarezerwowano dla nas dwa miejsca w pierwszym rzędzie. Sala była pełna. Vidigal stwierdził, że tytuł *Siostry rodzone czy przyrodnie* nie wydaje mu się specjalnie obiecujący. Mruknąłem, że przecież już jesteśmy na miejscu, a spektakl na pewno nie potrwa długo. Na scenę weszła Fatima, która grała Kuzynkę od Ściany i właścicielka Dimmitu jako Przyjaciółka ze Skały. Miały związane nadgarstki, co zmuszało je do siedzenia blisko siebie, prawie się dotykając. Nagle Fatima gwałtownie wstała.

- Nie słyszałaś gwizdzącego ekspresu do kawy? - zapytała poirytowana przyjaciółka.

- Nie obchodzi mnie to. Nie ruszyłaś się, kiedy hałasował odkurzacz.

W tym momencie rozpoczęła się długa kłótnia o drobne, codzienne sprawy, która doprowadziła dziewczyny do próby rozdzielenia się, ale bez powodzenia, bo ciągle miały powiązane ze sobą nadgarstki.

Vidigal szepnął mi do ucha:

- To ma silny wydźwięk symboliczny i dokładnie odda je poczucie beznadziejności sytuacji, w której znajdują się tutaj ludzie. Podoba mi się to przedstawienie.

W wyniku szamotaniny Fatima i właścicielka Dimmitu stanęły plecami do siebie. Wreszcie wydawały się zadowolone. Jednak również ta pozorna chwila spokoju okazała się ułudą. Doskwierała im fizyczna bliskość. Nie mogły żyć razem, a tym bardziej oddzielnie. Nie wiedziały już, co robić. Zwróciły się więc do publiczności. Po arabsku, hebrajsku, angielsku, francusku.

- Czy ktoś wie, jak nam pomóc?

Jakiś żeński głos zawołał:

- Szalom.

Inny:

- Salam.

Trzeci:

- Peace.

Czwarty:

- Paix.

Właścicielka Dimmitu spojrzała na mnie, jakby czekała, że coś powiem. Nie odezwałem się jednak. Dziewczęta patrzyły zdeglustowane na publiczność i chórem krzyknęły, że „Szalom” dla Żydów, a „Salam” dla Palestyńczyków nie oznaczają tylko pokoju, ale również pożegnanie. Szybkim ruchem przełożyły sznur łączący ich nadgarstki na szyję i powiesiły się, z palcem skierowanym w publiczność.

Vidigal zaczął klaskać z entuzjazmem, podnosząc się z siedzenia. Ja zareagowałem z większą powściągliwością. Wy-

dawało mi się, że podczas podziękowań Fatima pomachała do mnie, a właścicielka Dimmitu odwróciła głowę w drugą stronę. Być może było to tylko subiektywne odczucie.

Vidigal był zmęczony i wezwał taksówkę. Ja wolałem pójść piechotą. Wracałem tą samą drogą, idąc wzdłuż murów Starego Miasta. Przed Bramą Nową natknąłem się na Przyjaciela ze Skały, który poruszał się żwawym krokiem i jakby podążając za wewnętrznym rytmem, podnosił i opuszczał prawe ramię. Zatrzymał się przede mną i, nie patrząc mi w oczy, kilka razy pochylił i uniósł głowę. Wyciągnął z kieszeni kopertę, podał mi ją i oddalił się, cały czas w ten sam sposób poruszając prawym ramieniem. Ciekawość sprawiła, że natychmiast ją otworzyłem. Była pusta.

W nocy śniłem, że jestem iluzjonistą i otaczają mnie błyszczące, różnokolorowe poduszki, utrzymywane w locie na błękitnym niebie dzięki zręczności magika. Obudziłem się wcześniej niż zwykle, natłok myśli wywołał we mnie niepokój. Odczuwałem też dyskomfort. Nie byłem w stanie dobrze się wyspać w tym łóżku. Próbowałem zrozumieć, czym się różniło od tego w Klasztorze Biczowania. Przecież obydwie konwenty były franciszkańskie, z takimi samymi łózkami.

Do dnia mojej nominacji mieszkałem w Studium Biblijnym, które miało swoją siedzibę w Klasztorze Biczowania, na wysokości drugiej stacji Drogi Krzyżowej. Kustodia Ziemi Świętej znajdowała się w najbardziej rozległym i podzielonym Klasztorze Najświętszego Zbawiciela, prawie na przeciwległym krańcu Starego Miasta, w dzielnicy chrześcijańskiej. Wnętrza obydwu klasztorów niewiele się różniły, pomijając kaplicę przeznaczoną dla kustosza. W ich skład wchodziły długie korytarze, wzdłuż których znajdowały się pokoje, przestronny refektarz w kształcie prostokąta, kościół z ławkami z ciemnego drewna. Być może w Klasztorze

Biczowania można było zakosztować większego spokoju, na pewno miałem tam więcej przestrzeni i możliwość przebywania w samotności. W Klasztorze Najświętszego Zbawiciela byłem pochłonięty obowiązkami związanymi z zarządzaniem Kustodią, musiałem starać się rozwiązywać liczne problemy współbraci, a w międzyczasie poświęcać uwagę skomplikowanym relacjom z innymi wyznaniem.

Pomyślałem o moim poprzedniku i o naszych rozmowach w gabinecie, który teraz należał do mnie. Wówczas nie podejrzewałem, że zasiądę za jego biurkiem. Zawsze wydawało mi się niewygodne przez tę półokrągłą linię, a teraz, kiedy było moje, nie mogłem zaprzeczyć temu wrażeniu.

Zmęczenie i trud poprzedniego dnia obciążły moją głowę i ramiona wielkim, bezgłośnym ciężarem. Przypominałem sobie spojrzenia dyskretnych spodziewających się, że opowiem o sprawie czarnej mewy i szybkie potrząsanie głowami, kiedy zawiodłem ich oczekiwania, mówiąc o Jerozolimie. A na koniec nie byłem w stanie właściwie zrozumieć sensu ich rozmów.

Oczywiście, zanim stałem się kustoszem nie odczuwałem tego rodzaju skrępowania, którego teraz doświadczałem, bo nawet w najgorszych momentach czas okazywał się dla mnie łaskawy. Archeologia i odkrycie jakiejś mozaiki dostarczały mi takich chwil radości, że wszelkie nieprzyjemności były zaledwie lekkim muśnięciem. Teraz nieustannie słyszałem wokół siebie głosy przeszłości i wystarczył jakiś przedmiot lub ruch, żeby mi o nich przypomnieć. Postrzegałem siebie jako wiekowego człowieka, bo właśnie z powodu starości zapominałem o różnych rzeczach. Ostatnio, na przykład, zostawiłem monety w kieszeniach spodni. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Pomyślałem, że w młodości zawsze wiedziałem, co mam w kieszeni; a dzisiaj nosiłem na sobie pełno zagubio

nych przedmiotów. Powiniennem zabronić sobie wykonanych wcześniej gestów i wypowiedzianych już słów. Ale czy to było możliwe? W młodości każde słowo jest odkryciem. Potem stopniowo odkrywasz wszystkie inne słowa, odkrywasz wszystkie gesty, a kiedy dochodzisz do końca, liczysz je z bezgranicznym smutkiem. Tylko wiara i modlitwa mogły mi pomóc. Przyjrzałem się mojemu ciału. Nigdy przedtem tego nie robiłem. Popatrzyłem na fałdy na brzuchu, nogi z kilkoma wyraźnie zaznaczonymi żyłami, ręce, które nie były już całkowicie nieruchome, pożółkłe zęby, brodę pokrytą białym zarostem, zamglone, mało wyraziste oczy. Wyobraziłem sobie nawet, że poświęcam się czyszczeniu ścian mojej sypialni. Bardzo starannie, bo może się zdarzyć, że w nocy moje palce otrą się o nią. Bo staremu człowiekowi może się przytrafić nocą wiele różnych beznadziejnych rzeczy. Poczułem się jak ktoś, komu nagle tłumaczą, że jest martwy, choć jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

Ale ja nie byłem martwy i nie byłem byle staruszkciem, lecz trochę posuniętym w latach Kustoszem Ziemi Świętej. Przyszła mi do głowy myśl, do której się uśmiechnąłem i która sprawiła, że dzień stał się przyjemniejszy: Boga naprawdę mało obchodziły moje fałdy na brzuchu.

Kiedy tylko mogłem, zwykle wcześniej rano w sobotę, zakładałem dres i wychodziłem pospacerować. Przemierzałem Stare Miasto, szedłem Drogą Krzyżową, z nostalgią mijałem Klasztor Biczowania, wychodziłem Bramą św. Szczepana i kierowałem się w stronę Doliny Cedronu, do Grobu Dziewicy i ogrodu Getsemani. Z Dominus Flevit⁵ docierałem do Bazy

⁵ Łac. „Pan zapłakał”. Kościół wzniesiony na skale na Górze Oliwnej, gdzie Jezus płakał nad Jerozolimą.

Liki Wniebowstąpienia, a potem skręcałem w prawo, do hotelu Seven Arch, z którego rozciągał się wspaniały widok na całą Jerozolimę. Jeśli jakiś dobroczyńca podaruje mi kiedyś kawałek ziemi, zbuduję tam, poniżej, drugą siedzibę Kustodii, nazywając ją Mały Klasztor pod Wiśnią z powodu wiśniowego drzewa zasadzonego przed wejściem. Po prawej stronie wyobrażałem sobie stumetrową ścieżkę pomiędzy magnoliami i cyprysami. W środku droga z ubitej ziemi z kilkoma dębami po obu stronach, prosto do palestyńskiej wioski, położonej na szczycie góry. Pragnąłem, żeby klasztor był pełen roślin, motyli, słowików. Z zewnątrz powinien mieć skromny wygląd. W środku byłby nowoczesny, ale bez przesady. W sali refektarza pięć okien, a w kuchni wielki piec. Drewniane schody, gabinet, sypialnia, pokoje dla Vidigala i ojca Giancarlo, i pięć innych dla współbraci, którzy chcieliby się z nami pomodlić. Poza tym łazienki, a na wyższych piętrach taras z widokiem na Stare Miasto i drogie mi miejsca kultu. Na tarasie kaplica z jednym oknem, które powinno wychodzić na ogród Getsemani. Klasztorne korytarze urządziłbym w niezwykły sposób. Na przykład, ozdobiłbym je etruskimi naczyniami z VII wieku, kopiami - bo na oryginały nie mógłbym sobie pozwolić - Antinousa Gargalla, Sfinksa Knopffa, trzech braci Spillaerta. A w moim gabinecie widziałbym dębowe biurko ozdobione arabeskami, kupione od jakiegoś arabskiego handlarza.

Uśmiechnąłem się na myśl o reakcji naszego Przełożonego Generalnego, gdybym zakomunikował mu taką nowinę. A w Sekretariacie Stanu na pewno stwierdziliby, że zwariowałem.

W przeciwieństwie do wielu, lubiłem wybiegać myślą w przyszłość i czekałem na to, co się może zdarzyć, bo każdą

egzystencję, nie wyłączając swojej, traktowałem jak wielki utwór muzyczny, ważną symfonię, a przebiegające przez nią emocje nie miały ani początku, ani końca. Dla większości z nas tragedia dojrzałości nie wynika z zaawansowanego wieku, ale z tego, że kiedyś byliśmy młodzi. Czerpałem z życia pełnymi garściami i ciągle miałem zamiar z niego korzystać, bo uważałem, że jest ono długim, niezmiernym dźwiękiem. Nawet odważny człowiek często boi się swoich pragnień. Próbuje je stłumić, sprawia, że krążą potem w jego ciele, jak trucizna, i stają się wezbranymi falami tęsknot. Należy więc ulegać pokusom, bo jeśli zbyt się opierasz, chorujesz z pragnienia tego, czego sobie zakazałeś.

Moje pokusy miały niewiele wspólnego z ciałem. Po jednej stronie były mozaiki i ich rzeczywistość, złożona z historii i materii, po drugiej - chęć jak najlepszego zrozumienia siebie. Oznaczało to codzienne, dogłębne przyglądanie się mojej relacji z wiarą. Ale ona potrzebowała moich wykopalisk, byłem pewien, że to właśnie one wzbogacały i czyniły moją wiarę coraz głębszą.

Umyłem się, ubrałem, wszedłem do gabinetu i zastałem w nim Vidigala, który na mnie czekał. Powiedział, że jakaś Męczennica Allacha wysadziła się w powietrze. Na szczęście nikt nie zginął, bo nie zdążyła dotrzeć do swojego celu.

Spojrzałem na niego bez szczególnego zdziwienia. Niestety, ten przerażający gest stał się nader częsty. Przynajmniej tym razem nie było innych ofiar - pomyślałem. Vidigal zniżył głos i przejęty wyjaśnił mi, że Męczennicą Allacha była Fatima, którą ubiegłego wieczora oglądaliśmy na scenie w teatrze. Dodał też, jakby oba fakty były ze sobą powiązane, chociaż wcale mi się tak nie wydawało, że w arabskiej dzielnicy, blisko naszego Klasztoru Biczowania, kilku Kuzynów od Ściany zmusza Przyjaciół ze Skąły do opuszczenia swoich

domów. Przed 1948 rokiem mieszkania te należały do Kuzynów od Ściany, ale dopiero teraz, po ponad pięćdziesięciu latach, żądali ich zwrotu.

Podążając za sugestią Vidigala, wezwałem ojca Benjamina. Wszedł jak zwykle ostrożnie, z półśmieszkim wyrytym na ustach i wiecznie towarzyszącym mu smrodem. Przedyskutowaliśmy sprawę zamachu, ucieszyliśmy się z tego, że oprócz samobójczyni nie było żadnych ofiar. Potem powiedziałem mu o wizycie ojca Bernarda i o wystawie na temat historii Kustodii, której życzy sobie Przełożony Generalny. Postanowiłem powierzyć mu zadanie utrzymywania kontaktów z Bernardem. Wysłuchał mnie z szacunkiem, jednak nie dał mi odczuć, czy to zajęcie sprawi mu przyjemność, czy nie.

Nagle z impetem pojawił się mój sekretarz i o mały włos nie wpadł na ojca Benjamina. Zatraskany powiadomił mnie, że komendant Gruber chce się ze mną spotkać.

Zdenerwowałem się. Nie przyjmowałem osób z zewnątrz bez wcześniejszego uzgodnienia. Nie pozwalała mi na to moja funkcja. Tym bardziej, jeśli chodziło o wicedyrektora Tsome-tu, którego wizyta miała charakter urzędowy. Faktycznie, wczoraj go szukałem, bez rezultatu, ale powinien był umówić się telefonicznie, zanim pojawił się w Kustodii.

Jednak odpowiadanie na jego brak wyczucia w równie niegrzeczny sposób nie wydawało mi się uprzejme. Zawahałem się, czy kazać mu poczekać kilka minut, potem powiedziałem ojcu Giancarlo, żeby go wprowadził do mojego gabinetu. Poprosiłem Vidigala, żeby zostawił nas samych.

Zmartwienia Grubera

Gruber był lepszy i szybszy ode mnie. Nie pozwolił mi przemówić jako pierwszemu i zaprotestować w ten sposób przeciwko jego nieuprzejmościom. Przyjął zasmucony wyraz twarzy i powiedział, że stanął w obliczu nieprzyjemnej sytuacji przesłuchania mnie - rzecz jasna z zachowaniem należącego szacunku - w sprawie pewnego przykrego zdarzenia, którego stałem się głównym bohaterem.

Wstrzymał oddech, spojrzał na mnie z żalem i powiedział, że nie rozumie, dlaczego udałem się do palestyńskiego teatru, by swoją obecnością uznać nędzny występ zabójczyni. Odparłem, że otrzymałem tylko zaproszenie na spektakl i nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że jedna z aktorek jest Męczennicą Allacha, która dzień później wysadzi się w powietrze. Pomyślałem, że w zręczny sposób chce mnie zbić z tropu, korzystając z niezaprzeczalnej przewagi, jaką miał teraz nade mną w dyskusji. Zapewnił, że naprawdę mu przykro, że w jego komórcie odezwała się sekretarka, ale realizował wtedy akcję humanitarną. I wygłosił jedno ze swoich efekciarskich zdań, które przyjąłem bez specjalnych emocji.

- Czy Wielebny Ojciec wie, że na moim pastwisku pojawia się głód?

Wyjaśnił mi, że izraelscy żołnierze często mogli zjeść porządny posiłek tylko w koszarach. Tak więc tego dnia, w którym telefonowałem, z zaprzyjaźnionym oficerem załadował ciężarówkę chlebem, konserwami, jajkami, warzywami, owocami, mlekiem, ciastkami i rozdzielił tę żywność pomiędzy rodziny kilku rekrutów, odwiedzając ich mieszkania. Właśnie dlatego nie mógł odebrać telefonu.

Potem spytał mnie oficjalnym tonem:

- Czy ma ojciec coś do powiedzenia o tej drugiej Męczennicy Allacha?

Odpowiedziałem, że nie rozumiem, o kim mówi. Krzyknął, że dobrze wiem; chodzi mu o drugą aktorkę, którą podziwiałem w palestyńskim Teatrze Wielkim.

Uznałem, że wyczerpał już w tej dyskusji swoją przewagę i stanowczo stwierdziłem, że w moim odczuciu niewybaczalne jest to, że kazał mnie śledzić. Powiedział mi, że troszczy się tylko o moje bezpieczeństwo. Od sprawy z czarną mewą nie czuł się spokojny.

Nietrudno było wysunąć argument, że również w Betlejem jeden z jego ludzi obserwował z ukrycia każdy mój krok, zanim jeszcze odnaleziono czarną mewę. Wyliczyłem wszystko to, co budziło moje wątpliwości i było powodem telefonu, na który nie mogłem odpowiedzieć.

Między innymi problem godziny. Ponieważ nocą na Morzu Martwym panują zupełne ciemności, ciało musiało zostać znalezione około szóstej, kiedy jest już wystarczająco światła i dobra widoczność. Z moich ustaleń wynika, że słońce weszło tego rana o piątej czterdzieści osiem. Czyli o szóstej agenci Tsometu zdali sobie sprawę, że mają do czynienia z franciszkaninem, o szóstej poinformowali swojego wicedyrektora Grubera i o tej samej porze Kustosz Ziemi Świętej został oderwany od modlitw i swojej mszy.

Jedyne wiarygodne wytłumaczenie jest takie, że mieliśmy do czynienia z gigantycznym przedstawieniem. Ci sami agenci Tsometu musieli wrzucić czarną mewę do Morza Martwego i być może to właśnie oni przebrali ją za brata zakonnego. Ale co mogło popchnąć wicedyrektora Tsometu do tego, by zdyskredytować Kustodię Ziemi Świętej? A może to wszystko było częścią przygotowanego wcześniej spisku, a on wypełniał tylko rozkazy?

Gruber zareagował inaczej niż się spodziewałem. Na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego żalu i cicho wyszeptał:

- Wielebny Ojcze, jeśli wyznawałbym tę samą religię, poprosiłbym ojca o spowiedź. Popełniłem wobec ojca grzech. Ale jest on całkowicie powszedni i zasługuję na rozgrzeszenie.

Powiedziałem, że nie w jego gestii leży określanie jakości grzechu i decydowanie o ewentualnej pokucie. Przyznał mi rację i poprosił, żebym go wysłuchał. Nie uznał za konieczne poinformować mnie, jak się sprawy mają, bo nie zmieniało to istoty wydarzeń. Około piątej rano jego biuro, działające z oczywistych powodów przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, otrzymało anonimowy telefon z informacją, że w Morzu Martwym, blisko archeologicznego obszaru Qumran, unosi się ciało franciszkanina. W tym momencie uruchomione zostały procedury objęte klauzulą najwyższej tajności i podczas gdy on jechał w stronę Morza Martwego, agent, który pilnował mnie w Betlejem dla zapewnienia mi nietykalności - co mocno podkreślił - poprosił, żebym się z nim udał.

- Taka jest prawda, Wielebny Ojcze.

Odparłem, że nawet jeśli to prawda, mamy jeszcze poważny problem z tym, że on czy też Tsomet kazał mnie

śledzić, mimo że nie jestem pospolitym przestępcą, a tym bardziej terrorystą, tylko Kustoszem Ziemi Świętej.

Z lekkim znużeniem w głosie Gruber kolejny raz powtórzył, że on i jego rząd mieli na uwadze przede wszystkim moje bezpieczeństwo, a do mojej ochrony musiał oddelegować swojego kierowcę, nie pierwszego lepszego agenta. A potem przedstawił mi swoją teorię: że jego ojciec, skrzypek i czarna mewa zginęli z tej samej ręki.

Niepokoił go fakt, że jego ojciec został zamordowany w pobliżu Muzeum Holokaustu, skrzypek przed Ścianą Płaczu, a ktoś chciał, żeby czarna mewa została znaleziona w Morzu Martwym. W historii i kulturze Izraela te trzy miejsca miały silny wydzźwięk symboliczny. Reasumując, instykt policjanta podpowiadał mu coś strasznego, intrygę skierowaną przeciwko jego państwu. Poza tym, ostatnio dowiedział się, że pewien nowozelandzki matematyk rozebrał się przed Ścianą Płaczu i oddał moc na święte kamienie.

Wtedy Gruber po raz kolejny wprawił mnie z zdumienie. Na moim biurku, w widocznym miejscu, stał koszyk jabłek z Keraku. Współbracia wiedzieli, że był to jedyny luksus, na który sobie pozwalałem i żaden z nich nigdy nie poprosił nawet o jedno. Nie chcąc wprawiać mnie w zakłopotanie, Gruber przypomniał mi, że w Qumran wyjąłem z kieszeni kurtki identyczne jabłko jak te w koszyku i zjadłem je ze smakiem. Dodał też - a ja podziwiałem jego zmysł obserwacji - że wyчуł, że chciałem wypluć gdzieś pestki, ale nie zrobiłem tego, bo powstrzymała mnie sytuacja i miejsce. Teraz chciał spróbować jabłka.

Opowiedziałem mu wtedy, umyślnie przyjmując dydaktyczny ton, że rodzina Favezów, pracująca dla mnie na Górze Nebo, będąc po trosze strażnikami małego konwentu i zakrystianami Memoriału Mojżesza - zgodnie z tradycją taką

nazwę nosiło sanktuarium - posiadała kawałek ziemi obsadzony jabłonią w okolicy zamku krzyżowców Kerak, który wznosił się w miejscu, gdzie Morze Martwe bardziej się zwięża. Kiedy nadchodził odpowiedni czas, Omar Falez, głowa rodziny, wyruszał z Nebo na południe, żeby zebrać jabłka. Kiedy wracał, odprawiano krótką ceremonię, która za każdym razem była wzruszającą, mimo że od lat wyglądała tak samo. Omar, jego żona i ósemka dzieci, szli w procesji do sanktuarium, przechodząc drogę, która od momentu położenia asfaltu z powodu wzrastającej liczby turystów przyczyniała się do zakłócania świętej niedostępności Nebo. Przybyło nieuważnych spojrzeń na unikatowe mozaiki, które znalazłem i odrestaurowałem. I zwiększyła się ilość puszek coca-coli, aparatów fotograficznych i kamer wideo.

Chciałbym postąpić jak ortodoksyjni żydzi, którzy deptanie świętej ziemi Placu Świątyni uważają za świętokradztwo, bo gdzieś pod spodem mogą być Tablice Prawa, uniemożliwiając stopom turystów kontakt z kamieniami świętego miejsca. Ale gdybym nie kazał naprawić drogi, jordański rząd, faworyzujący zorganizowane wycieczki, a także sami współbracia więliby mnie za mało franciszkańskiego.

Gdy członkowie rodziny Fayezów docierali na wielki plac przed Świątynią, nazywanego przeze mnie Balkonem na Świat, z którego Mojżesz mógł przed śmiercią oglądać Ziemię Obiecaną, skręcali w lewo, otwierali bramkę, do której były tylko trzy klucze: ich, mój i Garba, mojego syryjskiego asystenta, i schodzili w kierunku klasztoru. Tam, pod drzewami i blisko znalezisk do odrestaurowania, co roku ofiarowywali mi trzy kosze pełne jabłek, które musiały mi wystarczyć do następnych zbiorów.

Oto powód, dla którego byłem taki oszczędny i unikałem dzielenia się nimi. Dodałem, że kiedy byłem mały, rywalizo-

wałem z moimi nielicznymi kolegami ze szkoły o to, kto dalej plunie pestkami z małych jabłek, które rosły na wyspie i stanowiły nasz zwykły i codzienny podwieczorek.

Ustanowiłem rekord: pięć metrów. Pestki jabłek z Keraku były bardziej wrzecionowate od tych z Ginostry i podejrzewałem, że szybsze, ale nie udało mi się tego sprawdzić, bo nigdy nie znalazłem przeciwnika, z którym mógłbym się zmierzyć. Tak naprawdę nikomu nie pozwoliłem zjeść ani jednego mojego jabłka.

Jeśli jednak sprawa czarnej mewy zakończy się w zadowalający dla Kustodii sposób, podaruję Gruberowi koszyk tych cennych owoców ziemi Keraku pod warunkiem, że znajdziemy czas na pojedynek i lepszy z nas na pewno pokona granicę pięciu metrów.

W czasie, gdy Gruber małymi kawałkami degustował jabłko, powiedziałem mu, że podobieństwo między śmiercią jego ojca, skrzyпка i czarnej mewy wydaje mi się całkowicie przypadkowe. A co się tyczy nowozelandzkiego matematyka, może zaszkodził mu nadmiar liczb. Gruber nie roześmiał się z mojego żartu i odpowiedział, że to Bialik podsunął mu teorię o symbolicznym znaczeniu i analogiach między pierwszymi dwoma zgonami. Prowadził w tej sprawie śledztwo, ale popełnił samobójstwo, zanim przekazał mu jego wyniki. Gdyby żył, sprawa czarnej mewy jeszcze bardziej utwierdziłaby go w słuszności tej hipotezy. Był tego pewien. Miałem ochotę uświadomić mu, że w takim razie nie znamy tej hipotezy, ale nic nie powiedziałem.

Gruber wykrzyczał, że symbole i zbiegi okoliczności są w życiu każdego z nas czynnikami determinującymi. Przywiązywał do nich wielką wagę. Gdyby, na przykład, nie zmoęła go gorączka i poszedł na koncert, prawdopodobnie jego

ojciec nie zostałby zamordowany. Spytałem, czy naprawdę jest tego pewien. Uśmiechnął się i rozłożył ręce.

- Gdybym szukał pewności, byłoby tak, jakbym odciął sobie nogi i ręce, żeby zastąpić je sztucznymi kończynami, które nie sprawiają mi żadnego bólu.

Nasza rozmowa była zakończona. Żadna z moich wątpliwości nie zniknęła, ale Gruber wydał mi się szczerzy. Żegnając się ze mną, zapewnił, że jabłko z Keraku było najlepszym, jakie kiedykolwiek jadł w swoim życiu.

Religijne spotkania

Mój poprzednik wezwał mnie kiedyś, żeby przekazać mi kilka wskazówek na temat metod postępowania, które powinienem obrać, gdybym otrzymał nominację na kustosza. Nie okazałem należytego szacunku i zacząłem się śmiać, a on, kręcąc głową i wyrażając dezaprobatę, zapytał o powód mojej reakcji. Powiedziałem mu, że była to dla mnie bardzo odległa perspektywa, a poza tym prawie niemożliwa do zrealizowania.

Odparł, że chce opowiedzieć mi pewną historię, która wydarzyła się w czasie jego pobytu w Argentynie, gdzie był kimś w rodzaju powiernika Sekretariatu Stanu. Mieszkał w Buenos Aires i w celu zebrania informacji spotkał się z Egipcjaninem o nazwisku Selim Pasza, który zamieszkał na ostatnim piętrze tego samego budynku.

Selim miał jakieś pięćdziesiąt lat, był wysokim, otyłym mężczyzną z wodnistymi oczami i czarnymi wąsami. Jako cieszący się szacunkiem prątał zaprosił go na obiad, motywując to chęcią nawiązania dobrych relacji z sąsiadem. Selim miał dwie córki, równie otyłe co on, które uwielbiały tańczyć tango.

Selim Pasza rozpoczął rozmowę, mówiąc, że Egipt ma ważne cele, mój poprzednik odpowiedział, że żywił wiele sympatii dla słusznych w jego mniemaniu aspiracji tego du-

żego i liczącego się kraju afrykańskiego i środkowowschodniego. W istocie kolacja okazała się niepotrzebna i zaraz po kawie Selim wyszedł, wyraźnie niezadowolony.

Jego córki miały włoską guwernantkę, pannę Bono, starszą kobietę z twarzą naznaczoną zmarszczkami i włosami ufarbowanymi na trudny do określenia odcień czerwieni. Zawsze się malowała. Jej policzki były zbyt blade, a usta przesadnie czerwone. Nosiła dziwaczne ubrania w żywych kolorach, które wyglądały jak kupione przypadkowo w sklepie z używaną odzieżą. Nie można było jej nie zauważyć. Wyglądała tak groteskowo, że zamiast rozbawienia, wywoływała zakłopotanie. Portier opowiedział mu, że panna Bono nie była we Włoszech odkąd Selim Pasza zatrudnił ją jako guwernantkę dla córek, to znaczy od piętnastu lat. Gdy po raz pierwszy spotkał ją w windzie, na znak szacunku lekko pochylił głowę, a potem mówił jakieś komunały, próbując nawiązać rozmowę. Panna Bono potraktowała go z obojętnym chłodem.

- Nie życzę sobie rozmów z nieznajomymi.

W każdym razie po nudnej kolacji z Selimem Paszą mój poprzednik położył się do łóżka, przeczytał opowiadanie Borgesa i zasnął. Obudził go dzwonek do drzwi. Założył szlafrok, otworzył i zobaczył szwajcarską pokojówkę Selima, która z niepokojem w głosie powiedziała: „Stara Włoszka, panna Bono, nie czuje się dobrze i domaga się, żeby przyszedł ojciec do jej pokoju”.

Pomyślał, że chciała się wypowiedzieć i poszedł do biadaczki, która wydawała się już martwa. Na miejscu był lekarz, który poinformował go, że kilka razy wymówiła jego imię i uspokoiła się dopiero wtedy, gdy poszli go poszukać.

W pokoju panował duszący upał, okna i okiennice były szczelnie zamknięte. Panna Bono otworzyła oczy, zauważyła

go i uśmiechnęła się, jakby w końcu odczuła zadowolenie. Mój poprzednik był zakłopotany. Nie rozumiał. Zapytał lekarza, czy zawiadomiono córki Selima Paszy. Ten odparł, że dziewczęta na pewno były w klubie tanga, a Selim wyszedł pograć, wróci późno.

W tym momencie mój poprzednik dostrzegł w oczach panny Bono cień wyrzutu pod jego adresem. Być może dlatego, że rozpytywał o ludzi, którymi ona wyraźnie pogardzała.

Lekarz wyjaśnił, że na tym etapie niewiele można zrobić. Uważał też, że nie ma sensu umieszczać pannę Bono w szpitalu. Pożegnał się i wyszedł. Pokojówka powiedziała mu, że jeśli sobie tego życzy, może mu towarzyszyć, ale rano musi wczesnie wstać. Odesłał ją na spoczynek.

Został sam z panną Bono, starą, umierającą kobietą, która odezwała się do niego tylko jeden raz, nie okazując żadnej sympatii. Nie rozumiał czego może od niego chcieć, ale miał zamiar się tego dowiedzieć. Usiadł obok łóżka i wziął ją za rękę. Panna Bono słabo ją zacisnęła. Może chciała mu coś powiedzieć, być może dotyczyło to Selima Paszy i jego powiązań z Arafatem. Panna Bono musiała słyszeć wiele różnych rzeczy, nie wykluczone, że poznała też jakąś tajemnicę. Kobieta zebrała wszystkie możliwe siły, żeby przemówić. Udało jej się nawet trochę podnieść na łóżku, bez korzystania z jego pomocy. Przenikliwym głosem kogoś, kto ma w sobie resztkę sił, zawołała:

- Wiem, że jest ojciec franciszkaninem i pragnie pokoju. Pewnego dnia stanie się ojciec w Jerozolimie głową swoich braci. Proszę wtedy przypomnieć sobie o mnie i walczyć o sprawiedliwość dla mojego narodu. Jestem Żydówką!

A potem, zanim zamknęła oczy, resztą głosu, która została jej w gardle, wymamrotała:

- Shalom Izrael.

Mój poprzednik lekko zakaszał i powiedział mi:

- Ojcie Mateo, skoro panna Bono tak dokładnie odczytała moją przyszłość, dlaczego ja nie mogę tego zrobić w stosunku do ciebie? Proszę zawsze pamiętać, że wiara bierze swój początek tam, gdzie kończy się rozum.

Potem, przyglądając mi się, stwierdził, że abym mógł spełniać w Jerozolimie tę skomplikowaną rolę, którą jego zdaniem przyniesie mi wiara, a nie rozum, powinienem wyobrazić sobie, że jestem aktorem, który wobec najbardziej złożonych wydarzeń zachowuje się w oryginalny sposób, od razu wymyślając właściwe emocje. Na przykład okazywać oburzenie, kiedy inni spodziewali się obojętności, i tak dalej. Za odniesienie mógł mi posłużyć wielki Garrick, który odgrywając w teatrze Drurylane monolog Antoniusza, był przekonany, że wypowiedzianymi słowami ryzykuje nie tylko karierę, ale nawet życie.

Powinienem być przenikliwy i czujny, oczyma rozumu patrzeć na twarze ewentualnych przeciwników i pamiętać, że motywy naszego zainteresowania terenem Jerozolimy są inne i znacznie się różnią od tych, które przyświecają Kuzynom od Ściany i Przyjaciołom ze Skały.

Dla nas, chrześcijan, było to miejsce nauczania Jezusa, Jego męki i zmartwychwstania. Odbycie pielgrzymki, fizyczne znalezienie się w Świętym Mieście jest dla naszej religijności prawie tak samo ważne, jak udawanie się tam duchem.

Przyjaciele ze Skały czcili Al Quds, Święte Miejsce, jako miasto proroków Abrahama, Salomona i Jezusa i, oczywiście, miejsce, w którym Mahomet zatrzymał się podczas *isra'*, cudownej podróży do nieba. Istotne było, abym miał na uwadze, że ta tradycja opiera się na jednym fragmencie Koranu, w którym nie wymienia się nazwy Jerozolimy, ale wspomina po

prostu o Meczecie Dalekim, gdzie Allah zaprowadził nocą swojego sługę. Odbłyło się wiele nudnych, doktrynalnych dyskusji, mających na celu ustalenie, czy doświadczenie Mahometa było rzeczywiste, czy też była to wizja. Ale legenda ma zdolność podsuwania religijnej tradycji pewnej metafory. Dlatego każdy wierzący interpretuje ją zależnie od swojej wrażliwości. Być może Jerozolima stała się świętym miastem islamu również ze względów politycznych. Albo też sułtani damasceńscy zapragnęli zmienić kierunek bogatego przemysłu pielgrzymkowego, którego ośrodkiem była Mekka, dla osobistych korzyści majątkowych.

Niewątpliwie w historii Jerozolimy polityka i religia zawsze szły ze sobą w parze. Również związek Kuzynów od Ściany ze Świętym Miastem był mętną, choć silnie naznaczoną religijnymi i politycznymi uczuciami mieszaniną. Mimo że wstąpienie Mahometa do nieba z Góry Świętynnej było metaforą, dla Przyjaciół ze Skały stanowiło dzisiaj równie zasadniczy element jak Wyjście dla Kuzynów od Ściany, a dla nas kult Maryi, głoszony w epoce krucjat.

Wszystko to oznaczało, że kiedy zostanę kustoszem, będę musiał wykazywać się nieprzerwanym i pełnym szacunku zainteresowaniem wobec argumentów jednej i drugiej strony. Na tym zakończył, mówiąc mi jeszcze, że miał sposób, żeby się przekonać, czy może ufać napotkanym osobom. Porównywał je w wyobraźni z postaciami z historii Cesarstwa Rzymskiego.

Musiał uważać na Cynceronów, bo za ich uśmiechem kryło się oszustwo. Tyberiusze byli zdolni, ale ich inteligencja była ukierunkowana na zło. Neronowie byli szaleni. Klaudiusze przebiegli, podobni do Katyliny gwałtowni, Antoniusze odważni i sympatyczni, ale rujnowały ich złe nawyki.

Ufał tylko Grakchusom, którzy byli bohaterami i Brutusom, którzy byli przyzwoitymi ludźmi. Spytałem:

- A ja, Wielebny Ojciec, do której kategorii należę?

- Na pewno do Brutusów. Nie wiem jeszcze, czy do Grakchusów.

Umarł, nie przenosząc mnie do wyższej kategorii. Nie wiedziałem, czy zabrakło mu na to czasu, czy też nie uważał mnie za wystarczająco dojrzałego.

Tego ranka miałem w planach serię spotkań z Wielkim Muftim Sulejmanem Rantisim, z Moshe Halevym, głównym rabinem odpowiedzialnym za działania religijne przy Ścianie Płaczu, greko-prawosławnym patriarchą Alekosem, wielbnyim Lahanem, biskupem melchickim i wielbnyim Turianem, biskupem armeńskim.

Chciałem ich przekonać do uczestnictwa w koncercie na rzecz pokoju na Górze Nebo. Ich obecność miałaby dobitne znaczenie symboliczne.

Najpierw złożyłem wizytę mojemu staremu przyjacielowi Lahanowi, który miał tyle lat, co ja i był do mnie podobny: średni wzrost, masywna budowa ciała, ciemne włosy bez śladu siwizny, brązowe oczy. Przyjął mnie w swoim gabinecie nad małym kościółkiem melchickim. Usiedliśmy w dwóch fotelach naprzeciwko siebie. Sącząc lemoniadę, mówiliśmy z podziwem o tych wiernych, którzy po tym, jak Konstantyn uczynił chrześcijaństwo oficjalną religią cesarstwa, uciekli na egipskie i syryjskie pustynie przerażeni, że perspektywa męczeństwa stała się niemożliwa. Dotąd zawsze żyli pod pręgierzem prześladowań, a ta nagła gotowość władzy do wyrozumiałości, zaufania, sprawiedliwości powodowała odłączenie ich wiary, zbudowanej i poświęconej przez swoją krew i ofiarę innych wierzących. Ci pierwsi chrześcijanie zajmowali

jaskinie, kopali kryjówki w górach, drążyli korytarze podobne do olbrzymich uli i oddawali się modlitwie, postowi, czuwaniu, pracy ręcznej. Panowało wśród nich rygorystyczne milczenie, jakby stanowiło to przywilej, z którego nie można było zrezygnować.

Lahan zwrócił mi uwagę, że dzisiaj bardzo trudno jest odnaleźć to nadzwyczajne poświęcenie, ale ich przykład powinien być dla nas inspiracją w stosunkach międzywyznaniowych. W pełni i z przekonaniem zgodził się na koncert na rzecz pokoju.

Byłem zadowolony z przebiegu rozmowy, bo choć Lahan mógł liczyć na wąskie grono wiernych, cieszył się wielkim, uznanym, powszechnym szacunkiem. Gdy zbierałem się do wyjścia, chwycił mnie za ramię, mówiąc, że musi mi coś pokazać. Podeszedł do biurka za fotelami, otworzył szufladę i wyciągnął z niej kopertę. Bez słowa pokazał mi zawartość. Było to znajome mi już zdjęcie czarnej mewy. Czekał na moje wyjaśnienia. Pamiętałem o radach mojego poprzednika i powiedziałem:

- Czasem człowiek potyka się o prawdę, ale w większości przypadków podnosi się i idzie dalej swoją drogą. W tym wypadku prawda nie jest taka, jak się wydaje, i cały czas jej szukam. Ale potrzebuję twojego zaufania.

Objął mnie, nie mówiąc ani słowa. Pożegnałem go z wdzięcznością i udałem się do Sulejmana Rantisi, Wielkiego Mufti. Skierowałem się do Bramy Jafskiej, a stamtąd - ulicą Dawida - doszedłem do Bas as-Silsilek⁶. Zostałem skontrolowany przez patrol Kuzynów od Ściany i pełniących funkcję dozorców Przyjaciół ze Skały, po czym wszedłem na Al Ha-

⁶ Brama Łańcucha w pobliżu Ściany Płaczu, przez którą na Wzgórze Świątynne mogą wchodzić niemuzułmanie.

ram ash Sharif, czcigodny dziedzic, jak nazywają go Przyjaciele ze Skały.

Wielki Mufti, straszny mężczyzna z białą brodą o wciąż energicznej sylwetce, przyjął mnie w swoim skromnym mieszkaniu, które znajdowało się w jednym z budynków w obrębie Wzgórza Świątynnego. Wszystkie okna wychodziły na Meczet Skały ze złotą kopułą będącą świadectwem materialnego i duchowego bogactwa, które od dawna było w Jeruzolimie tylko wspomnieniem. Podzieliłem się tą myślą z Wielkim Mufti, który poważnym tonem stwierdził, że całkowicie się ze mną zgadza. Potem poprosił, żebym podszedł do jednego z okien i powiedział:

- Wielebny Ojcze, proszę spojrzeć w dół, na naszych wiernych, którzy modlą się, spacerują, rozmawiają ze sobą - rozumieją, że są braćmi.

Potem przypomniał mi, że pewna stara sefardyjska legenda, która przez długi czas podsyciała wrogość między muzułmanami a żydami, mówiła o tym, że kalif Omar po zdobyciu Jeruzolimy w 638 roku, zapytał Żydów, gdzie wznosiła się ich Świątynia zburzona przez Rzymian, a potem - na złość - ustalił, że jest to jedyne odpowiednie miejsce do zbudowania meczetu Kopuła na Skale. Oczywiście było to kłamstwo. Ale stale wywoływało nieprzyjemne konsekwencje. Izraelski minister spraw religijnych, poddając się dawnemu zakazowi Majmonidesa, kazał rozlepić na terenie Starego Miasta ulotki, informujące o zakazie odwiedzania Wzgórza Świątynnego przez muzułmanów, bo ich stopy mogłyby przez nieuwagę naruszyć miejsce, które dawniej było *sancta sanctorum* dla tablic dziesięciorga przykazań, które Mojżesz zniósł z Góry Synaj. Tylko najwyższy kapłan miał prawo wejść do *sancta sanctorum* i tylko raz w roku, z okazji Jom Kippur.

Potem powiedział mi, że było też coś, co zakłócało stosunki z chrześcijanami. Sprawa Bramy Mesjasza, która znajdowała się blisko jego domu. Jezus miał przez nią wejść do Jerozolimy, obwieszczając dzień Sądu Ostatecznego. Fałszywa sefardyjska legenda mówiła, że w trzynastym wieku naśladowcy proroka zamurowali bramę dla uniknięcia zagrożeń. Ale to nieprawda. W jego głosie słychać było głębokie oburzenie.

Powiedziałem więc:

- Wszystkie te opowieści wzięły się z odmętów krwi i strachu.

Wielki Mufti rozłożył ręce i uśmiechnął się. Ale nie patrzył w moją stronę tylko na Meczet Skały, widoczny z okna gabinetu. Zrozumiałem, że chciał mi przekazać swoją ogromną miłość dla tego miejsca, miłość, której nigdy by się nie wyrzekł.

Poprosił, żebym usiadł obok niego na kanapie i poczęstował lemoniadą. Chciał zadać mi pytanie. Od razu zorientowałem się, o co chodzi i gdy tylko pokazał mi zdjęcie, powtórzyłem te same słowa, które wcześniej wypowiedziałem u Lahana. Efekt był taki sam.

A nawet większy. Gran Mufti objął mnie, mówiąc:

- Jest ktoś, kto nas łączy, Wielebny Ojcie. To wasz św. Franciszek, który był sufim. Udał się do Egiptu, żeby nas nawrócić, ale został oświecony i poznał sufizm. Po powrocie do was napisał „Kwiatki”.

Nie odpowiedziałem mu, że jego teorie są czystymi wymysłami. Zamiast tego posłałem mu szczerą, pokrzepiającą uśmiech, a on, żegnając się ze mną, powiedział:

- Proszę pamiętać, Wielebny Ojcie, że Allah jest zawsze po stronie tolerancyjnych, pod warunkiem, że okazują cierpliwość i zimną krew.

Wyszedłem z mieszkania Wielkiego Mufti, odetchnąłem zapachami i spokojem Al-Haram. Jacyś Przyjaciele ze Skały - podejrzewałem, że byli studentami - poznali mnie i pozdrowili z szacunkiem. Potem poszli dokonywać swoich ablucji.

Cofnąłem się do Bab as-Silsileh, przeszedłem sto metrów i znalazłem się przed Ścianą Płaczu. Biuro głównego rabina znajdowało się blisko łuku Robinsona. Był to słabo nasłoneczniony pokój z poplamionymi ścianami i wypełnionym książkami biurkiem, za którym siedział Moshe Halevy. Odniosłem wrażenie, że studiuje jakieś dokumenty. Był niskim mężczyzną z rzadkimi włosami przykrytymi jarmułką, miał małe, ciemne i czujne oczy. Ruchem głowy pokazał, żebym usiadł na jedynym wolnym krześle. Na pozostałych pełno było map i książek.

Nie odzywając się słowem i nie podnosząc głowy, podał mi zdjęcie czarnej mewy, najwyraźniej oczekując ode mnie jakiejś odpowiedzi. Uspokoilem go w podobny sposób, jak pozostałych, ale dodałem jeszcze coś.

Wspomniałem, że dla jego narodu na ruinach Jerozolimy spoczywała w zamyśleniu żywa obecność Boga. A nieustanna pamięć o Świętym Mieście dawała siłę rozproszonemu, przesładowanemu narodowi, który żył nadzieją powrotu. Z tą daleką przeszłością łączyła wygnańców religijna wyobraźnia i miłość do utraconej Jerozolimy. Ale wszyscy jesteśmy dziećmi Adama, a co za tym idzie, mamy te same prawa i obowiązki.

Ostatnie zdanie można było poddać różnym interpretacjom i właśnie jego wieloznaczność mogła zadziałać przekonująco. Na to stawiałem. Moshe Halevy uśmiechnął się do mnie i zauważył, że niebiańska Jerozolima jest w tradycji hebrajskiej czymś wyjątkowo ziemskim, niemal materialnym.

Odpowiedziałem, że nasze niebiańskie miasto jest bardziej eteryczne, nie wymaga słońca ani księżyca, bo oświetla je blask bijący od Boga. Żydowska Jerozolima niebiańska jest natomiast dokładną reprodukcją ziemskiej. Zgodził się ze mną i dodał:

- Wielebny Ojciec dobrze wie, że na przestrzeni wieków Jerozolima zawsze była w nierozzerwalny sposób związana z naszą egzystencją. Nie moglibyśmy przetrwać bez tego mistycznego punktu odniesienia. Jerozolima jest obecna w naszym życiu każdego dnia tygodnia, o poranku, popołudniu, w nocy.

Zrobił przerwę i wyrecytował:

- Moje serce jest na Wschodzie, a ja na krańcach Zachodu. Jak mogę poczuć słodki smak pożywienia? Jak wypełnię moje śluby i obowiązki, gdy Syjon jest ciągle w kajdanach Edomu, a ja tutaj, wśród ujarzmionych Arabów?

Stwierdziłem, że Jehuda Halevi napisał te słowa kilka wieków temu i - co ważne - w innym miejscu, w Hiszpanii, a od tego czasu sytuacja zdecydowanie się zmieniła. Odpowiedział, że diaspora żydowska była duchowym zobowiązaniem ze stolicą w Jerozolimie. Żydzi zwracali się w jej stronę, modląc się i śpiewając, nie zapomnieli o niej nawet wtedy, gdy przyswoili obyczaje Greków, Arabów, Hiszpanów, Niemców.

Uznałem, że nadszedł czas, by przedstawić mu swoją propozycję. Powiedziałem, że przedstawiciele innych religii już się zgodzili, także prawosławni, z którymi wprawdzie nie rozmawiałem, ale wiedziałem, że rabin nigdy się z nimi nie skontaktuje. W Jerozolimie nikt z nikim nie rozmawiał bezpośrednio, a w pewnym okolicznościach mogło się to okazać korzystne.

Przyglądał mi się dłuższą chwilę w milczeniu, po czym poprosił mnie o przysługę. Miałem przyjąć pewną osobę,

która złoży mi wizytę. Potem przekaże mi ostateczną odpowiedź w sprawie koncertu.

Spotkanie z prawosławnym patriarchą Alekosem, dawnym towarzyszem podróży do Egiptu i Syrii, miało uroczystą oprawę. Alekos, mój równolatek, był ode mnie wyższy, miał czarną, kędzierzawą brodę, atletyczną sylwetkę i duże, zielone oczy z nutką melancholii. Przyjął mnie w sali audiencyjnej. Liczna grupa kapłanów zajmowała długie przylegające do ścian ławki. Po jego prawej i lewej stronie siedzieli biskupi. W powietrzu czuć było silny zapach kadzidła. Zrozumiałem, że Alekos chciał mi przekazać wiadomość i powinienem odpowiedzieć w ten sam sposób. Nasze spotkanie było oficjalne i może zrobiłbym lepiej, zabierając ze sobą kilku dyskretnych. Ale byłem sam, więc zmieniłem przygotowaną w głowie kwestię, by dostosować się do nowej sytuacji.

- Kościół katolicki jest obecny w Ziemi Świętej w postaci rozlicznych kościołów lokalnych należących do różnych liturgii. Wśród nich jest Kustodia, która zgodnie z funkcją nadaną jej przez Stolicę Apostolską, reprezentuje Kościół powszechny z racji tego, że sanktuaria nie podlegają takim czy innemu obrządkowi, ale należą do całego Kościoła.

Dostrzegłem zatroskanie na twarzach kilku biskupów. Mówiłem dalej:

- Międzynarodowy charakter Kustodii jest wynikiem wyraźnych wytycznych Stolicy Apostolskiej. Pracują wśród nas bracia franciszkanie pochodzący ze wszystkich kontynentów. To wielonarodowe braterstwo jest świadectwem jedności wiary w Chrystusa i ostatecznym przewyciężeniem - w Duchu Świętym - podziałów i różnic pomiędzy ludźmi wynikających z ich wspólnoty etnicznej. Jest to zwycięstwo Zesłania Ducha Świętego nad Wieżą Babel. W Kustodii Arab i Żyd, Egipcjanin i Syryjczyk, Anglik i Ir-

landczyk, Chilijczyk i Hiszpan, czarny Afrykańczyk i biały Południowoafrykańczyk żyją w pokoju i braterstwie, które we wspólnocie wiernych przywrócił Chrystus Zbawiciel.

Miałem poczucie, że dałem się ponieść retoryce, ale było już za późno - słowa zostały wypowiedziane. Alekos odpowiedział:

- Przede wszystkim chciałbym podziękować Wielebne mu kustoszowi za wizytę. Nasz Zbawiciel Jezus urodził się w betlejemskiej grocie, żeby ocalić nas od grzechu. Na tej ziemi dokonywał cudów, został ukrzyżowany, pogrzebany i zmartwychwstał. Jego obecność nie zna granic czasowych, a tym bardziej geograficznych. W świętych miejscach dochodziło w ciągu wieków do różnych wydarzeń. Obecnie sytuacja uległa poprawie, jednak nadal podejmujemy ogromną i zaangażowaną walkę o ochronę naszych wiernych przed ateizmem i o pokój na świecie. Z tego powodu wspinamy się na Golgotę z krzyżem na plecach. Wszyscy wierzący mają prawo przebywać na tej świętej ziemi, gdzie narodził się pierwszy Kościół naszego Pana. Jako głowy chrześcijańskich wspólnot jesteśmy przedstawicielami wszystkich chrześcijan na świecie. Tylko dzięki miłości i błogosławieństwu Boga odnajdziemy wytyczoną przez Niego drogę.

Wtedy uznałem, że nadszedł właściwy moment na przedstawienie mojej propozycji.

Alekos długo mierzył mnie wzrokiem i powiedział:

- Śmierć ukrywa się w radosnych rozmowach.

Spojrzałem na niego zdumiony. Co chciał przez to powiedzieć? Dokończył:

- Każde słowo powiedziane na temat dobra materialnego jest plotkowaniem.

Poczułem się urażony jego słowami. Dałem to do zrozumienia w uprzejmy, ale stanowczy sposób. Alekos wspominał

wtedy o pożarze, który w nocy z 11 na 12 października 1808 roku wybuchł w kaplicy ormiańskiej i błyskawicznie się rozprzestrzenił, niszcząc znaczną część Rotundy Grobu Pańskiego i przyległego Chóru Greków. Wielka kopuła padła łupem płomieni. Runęły kaplice; łuki, kolumny, marmurowe posadzki zostały doszczętnie zniszczone. Stwierdzono, że przyczyną pożaru było podpalenie, a Ormianie i franciszkanie zrzucili winę na prawosławnych.

- W dalszym ciągu - podsumował patriarcha - czujemy urazę do was i do Ormian.

Alekos pożegnał mnie nic więcej nie dodając i unikając mojego wzroku. Byłem osłupiały. Nic nie odpowiedziałem. Wyszedłem z Patriarchatu. Uświadomiłem sobie, że zrobiło się późno. Musiałem przełożyć wizytę u ormiańskiego biskupa Sulejmana na inny termin. Wróciłem do klasztoru Najświętszego Zbawiciela. Czekał na mnie asystent Sekretarza Stanu, który od kilku dni przebywał w Jerozolimie i wstąpił przywitać się ze mną, oraz przeorysza klasztoru Urszulanek z Perugii.

Nie byłem nieuprzejmy wobec moich gości, ale też nie okazałem im szczególnej serdeczności. Przeorysza powiedziała mi, że słyszała o moich archeologicznych odkryciach. Być może oczekiwała, że oprowadzę ją po którymś wykopalisku albo przynajmniej muzeum Studium Biblicum. Dziękując jej, pomyślałem, że nie wiem, za co.

Pożegnałem się z nimi, nie proponując nawet kawy. Miałem nadzieję, że zrzucą to na karb tradycyjnej, franciszkańskiej oszczędności. Naprawdę nie miałem ochoty angażować się w czcze rozmowy. Wypiłem którąś z kolei lemoniadę. Moją głowę zaprzętały dwa pytania: Dlaczego Alekos nie zapytał mnie o zdjęcie czarnej mewy? Może go nie dostał?

W willi Szejka

Jakiś czas przed moją nominacją na kustosza zdarzyło mi się prowadzić konferencję w londyńskim British Museum, której przedmiotem były moje wykopaliska w Umm-er-Ra-sas. Ilustracją i wyjaśnieniem mojego wykładu jak zwykle były slajdy z miejsc, o których mówiłem. Po konferencji wyszedłem z British Museum i piechotą wróciłem do hotelu położonego w dzielnicy teatrów. Dogonił mnie zasapany chłopak, który oddał mi torbę ze slajdami: zupełnie o nich zapomniałem. W ramach podziękowania - te zdjęcia były zapisem dwóch lat pracy - zaprosiłem go na herbatę.

Miał na imię Paul i żeby opłacić studia archeologiczne na uniwersytecie, pracował jako chórzysta i statysta w musicalach na West Endzie. Powiedział, że może podarować mi bilet na ten wieczór, bo występował w *Nędznikach*, opartym na powieści Victora Hugo spektaklu, który cieszył się ogromnym powodzeniem i był wystawiany od kilku lat. Zgodziłem się. Po przedstawieniu długo biłem brawo. Kupiłem libretto i płytę, wzruszałem się, słuchając piosenki o śmierci Fantine. Odkryłem musical. Dwa razy obejrzałem *Upiora w operze*, cztery razy *Miss Sajgon*, trzy razy *Chicago*, pięć razy *Koty*. Fragment ze *Starym Deuteronomym*⁷ pod nosił mnie na duchu.

⁷ Postać Starego Kota Proroka (Old Deuteronomy) w musicalu „Cats”.

Kiedy śpiewak rozpoczynał niskimi dźwiękami, ogarniały mnie emocje. Ta muzyka wydawała się pochodzić z głębi duszy, wyrażała miłość i braterstwo.

Słuchałem tej piosenki przed zejściem do kaplicy na moją poranną mszę. Czekał na mnie Vidigal. Po obrzędach i komunii wróciliśmy kręconymi schodami do mojego gabinetu. Najwyraźniej chciał ze mną porozmawiać. Wypił kawę, uśmiechnął się i powiedział:

- Grzechem Jerozolimy jest niezgoda między trzema wielkimi religiami monoteistycznymi Zachodu. Patrząc na Święte Miasto, Bóg nie wie, jak postąpić od dwóch tysięcy lat. Ale chociaż jest w tej kłopotliwej sytuacji, ciągle przecież jest Bogiem. Ty natomiast postaraj się jak najszybciej dociec, kim była czarna mewa, bo wśród braci narasta niepokój i z troskanie.

Zapytał mnie, na jakim etapie jest śledztwo Grubera. Streszcziłem mu jego opowieści, podejrzenia i wątpliwości. Wspólnie przeanalizowaliśmy fotografię, żeby sprawdzić, czy nie umknął nam jakiś szczegół, który mógł mieć duże znaczenie. Vidigal stwierdził:

- Naprawdę nie znam tej twarzy. I nie mam pojęcia skąd mogłaby pochodzić. Jest anonimowa. Zabójcy często są anonimowi.

Odparłem, że ten biedak jest ofiarą. A on, uśmiechając się, powiedział:

- A kim był wcześniej? Być może zabójcą?

Rozłożyłem ręce. Chciałem go pożegnać, a on wziął mnie za ramiona i spojrzał mi prosto w oczy.

- Mateo, wiesz dlaczego tu jestem?

- Żeby porozmawiać ze mną o czarnej mewie.

- Nie - odpowiedział - żeby ci przypomnieć, że czekają na ciebie.

Byłem zdezorientowany. Potem sobie przypomniałem. Vidigal uspokoił mnie:

. - Mateo, przeżywasz ostatnio wiele napięć, to normalne i ludzkie, że nie pamiętasz o wszystkim. Nasze życie byłoby niemożliwe, gdybyśmy zawsze mieli na uwadze każdą sytuację. Musimy przecież wybrać to, o czym chcemy zapomnieć. Chodźmy, odprowadzę cię.

Zeszliśmy do kościoła Najświętszego Zbawiciela na parterze naszego klasztoru, gdzie czekali współbracia z Kustodii.

Kościół nie posiadał szczególnych atrakcji architektonicznych; nieliczne obrazy, białe ściany, ołtarz z marmuru z Carrary, sosnowe ławki do siedzenia. Dla mnie jednak był wyjątkowo piękny. Jego zupełna prostota pozwalała puszczać wodze fantazji, nieskrępowanej złotymi ramami lub ponurymi posągami mistrzów. Miałem odprawić mszę w intencji ojca Francesco Di Vittorio z okazji rocznicy jego śmierci.

Wyczułem silne napięcie wokół mojej osoby dlatego w homilii starałem się zawrzeć roztropne i podnoszące na duchu słowa. Wspomniałem o tym, że ten dobry pasterz nie chciał opuścić swoich duchowych synów i trzydziestu sierot, które przygarnął na misji w Mugiuk Deresi. Turcy wprowadzili go w błąd, zdobyli jego zaufanie i w okrutny sposób zamordowali razem z wiernymi. Zakończyłem stwierdzeniem, że ojciec Di Vittorio był wielkim wzorem franciszkańskiej świętości.

Vidigal pokiwał głową, niezbyt zadowolony, a ja pożegnałem wszystkich i wyszedłem z kościoła. Wsiadłem do samochodu zaparkowanego na dziedzińcu. Kierowałem się w stronę Jordanii, na Górę Nebo. Wyjechałem z uczuciem, że zbyt szybko się pospieszyłem. Minąłem drogę prowadzącą do granicy na rzece Jordan. Na moście Allenby odbywały się tego

dnia długie kontrole. Bywało, że przejazd na drugą stronę zajmował chwilę, innym razem czekało się godzinami. Często zdarzały mi się utarczki z wartownikami, którzy wielokrotnie zachowywali się arogancko. Kiedyś spoliczkowałem nawet jednego, który wystawił na próbę moją franciszkańską cierpliwość.

Podczas podróży zacząłem snuć refleksje.

Pomyślałem, że związek z życiem jest też chęcią przyzwyczajania się do śmierci. A pewność wiary nie pomaga przezwyciężyć lęku. Dlatego mój stosunek do śmierci opierał się na tym, by nie przyzwyczajać się zbyt do życia i przejść przez nie z całą możliwą radością osoby wierzącej, zauważając jego przemijalność.

Ważne było dla mnie to minimum bezpieczeństwa, które zyskiwałem dzień po dniu, zastając moje papiery w tym samym miejscu na biurku. Stanowiło to gwarancję życia. Uwielbiałem przyjmować początek dnia ze słońcem, które smagało moje zmarszczki. A jeśli padało, było jeszcze lepiej, bo nie czułem żalu, że pozostawiam coś pięknego, co bezpowrotnie zostało utracone. Uważałem się za szczęściarza. Miałem pracę, którą lubiłem. Zajmowałem się duszami i przeszłością. A dusze i przeszłość często zamieniały się miejscami. Każda chwila mojego życia mogła zyskać negatywny wymiar, bo bałem się przyszłości zabarwionej nicością. Wiara pomagała mi przezwyciężyć te momenty niepokoju.

Poprzedni kustosz powiedział mi kiedyś, że oczywistym celem w życiu każdego człowieka jest harmonijny rozwój osobowości. Większość uważa go za naturalny, ale tak naprawdę pozwala znaleźć ujście tylko dla ułamka naszej natury. Twierdził, że w rezultacie dusza pozostaje wygłodniała. Dlatego istnieją religie, żeby przekonać ludzi do pełnego

przeżywania duchowej przygody, pokazując wartość i miejsce ich najlepszych uczuć. Jeśli się to uda, efektem jest ożywczy powiew radości, który oddala każde cierpienia, nawet udrękę starości. Zapytałem, czy to częste przypadki. Odpowiedział, że rzadko się tak dzieje i według niego był to jeden z powodów nieszczęścia.

Cieszyłem się, że jadę na Górę Nebo. Nominacja na kustosa oddaliła mnie od pracy archeologa, a świadomość, że muszę z niej zrezygnować choćby na krótki czas, powodowała utrapienie i niepewność w codziennym życiu. Musiałem też sprawić, żeby sprawa czarnej mewy tak bardzo mnie nie dręczyła. Miałem uczucie, że poruszam się po bagnistym terenie, w którym czasem grzęznę, a innym razem udaje mi się pójść naprzód, ale z wielkim wysiłkiem.

Doświadczałem podobnego stanu, gdy każde zdarzenie w moim życiu wydawało się w porządku, a mimo tego podświadomie czułem, że coś jest nie tak, patrzyłem niewidzącym wzrokiem i ogarniał mnie smutek. Miałem ochotę dobrze się poczuć, ale nie udawało mi się. Bolała mnie wiadomość o palestyńskim dziecku zabitym przez pomyłkę przy punkcie kontrolnym i o młodej żydówce, która straciła życie w zamachu przeprowadzonym przez jakiegoś Męczennika Allacha, o zakonnikach, którym Kuzyni od Ściany nie pozwalali wejść do ich konwentów w Jerozolimie tylko dlatego, że urodzili się w Ziemi Świętej, a więc byli traktowani jako potencjalni wrogowie. Kiedyś wyleczyłbym ten brak szczęścia pracą przy wykopaliskach. Archeologia nie tylko pozwalała mi wyobrazić sobie, że się nie zestarzeję, ale umożliwiała silny związek z przeszłością i dawała poczucie, że mam przed sobą piękną przyszłość.

Kiedy znajdowałem mozaikę, czas przestawał być wrogiem. Zwykła główka portretowa z epoki rzymskiej, której

archeologiczna wartość była praktycznie znikoma, dawała mi posmak minionego świata. Czuję, że do niego należę.

Tak bliski człowiekowi temat śmierci, który w przypadku kapłana powinna rozstrzygać pewność zmartwychwstania, był dla mnie powodem ciągłej udręki. Czasem nie zamykałem oczu, bo ciemność kojarzyła mi się z nicością, a ja tak bardzo pragnąłem widzieć światło. Wszystko to nie poddawało w wątpliwość mojej wiary, która nie była ślepa ani tym bardziej racjonalna, ale wspierana miłością wobec istoty transcendentnej, która dała mi życie i rozum.

Po raz kolejny zrozumiałem, że brakuje mi wykopalisk, brakuje mi mojej kielni, ubrudzonych błotem rąk, łamiących się paznokci, ożywających stopniowo kolorów. Potrzebowałem ziemi, żeby być lepszym kapłanem. Droga prowadząca na Nebo biegła przez zielone tereny uprawne i lekko zahaczała o peryferia Ammanu, miasta, które dzięki serii zagranicznych inwestycji rozrastało się w zawrotny i nieuporządkowany sposób. Na wysokości Madaby skręciłem w prawo i po kilku kilometrach ukazała się przede mną Góra Nebo. Poczuję to samo silne wzruszenie, które towarzyszyło mi za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżałem.

Minąłem mieszkanie Fayezów. Przeprowadzili się z Madaby na Górę Nebo wiele lat temu. Przeznaczyłem dla nich dom należący do konwentu, na samym początku drogi prowadzącej do Bazyliki. W ciągu tego czasu sprowadzili na świat gromadkę dzieci. Omar Fayez otrzymywał ode mnie skromną miesięczną pensję, pracując jako dozorca Memoriału Mojżesza i zakrystian. Poza tym miał dodatkowy dochód z datków i handlu małymi pamiątkami i skamielinami, których było pełno w okolicy.

Potem Garbo, mój syryjski asystent, który na Górze Nebo był człowiekiem właściwie od wszystkiego, przekonał mnie,

żeby dać mu pozwolenie na sprzedaż turystom napojów, bo wydatki rodziny wzrosły. Najstarsza córka, której nie widziałem co najmniej od dziesięciu lat, studiowała na Uniwersytecie w Ammanie, a pozostała szóstka uczęszczała do szkół w Madabie.

Omar Fayez starał się, żebym poczuł, że jestem osobą odpowiedzialną za kształcenie jego dzieci i ta strategia przyniosła z czasem efekty. Sprzedaż napojów przekształciła się w jednorodną i ciągłą działalność, której naturalnym skutkiem było otwarcie czegoś na kształt małego kiosku. Na koniec Omar przekonał mnie, że pielgrzymi i turyści powinni kupować bilet wstępu na Nebo. Dotychczas kto chciał, płacił wedle własnego uznania. Ostatecznym argument był taki, że jest to forma wyrażenia szacunku dla świętości miejsca.

Minął jakiś czas i Omar zaprosił mnie na obiad. Było to kilka dni po moim wyborze na kustosa. Oficjalnie wraz z rodziną pragnął uczcić moją nominację, ale okazało się, że chce ode mnie zgody na dwa pomieszczenia, które wybudował. Zganiłem go, bo nic nie wiedziałem o tym przedsięwzięciu. Nadbudówka była nielegalna. Bronił się, tłumacząc mi, że nie niszczy krajobrazu, zarzekał się ze łzami w oczach. Potem z nieco zabawną bezczelnością opowiedział mi o fabryce dywanów w Madabie będącej własnością kilku egipskich przyjaciół, z którymi chciał wejść w spółkę. Dlatego potrzebna mu była pożyczka. A jeszcze lepiej by było, gdybym ja też przystąpił do spółki. Zacząłem się śmiać. Kustosz Ziemi Świętej współnikiem w fabryce egipskich dywanów! Nawet mu nie odpowiedziałem.

Byłem teraz przed parkingiem konwentu. Uprzedziłem Garbo o moim przyjeździe, miał na mnie czekać z obiadem. Postanowiłem pojechać kilka kilometrów dalej i złożyć wizy-

tę Szejkowi, w pewnym sensie mojemu przyjacielowi, który był człowiekiem wielu interesów i sekretów. Miałem z nim dobry kontakt, chociaż do końca mu nie ufałem.

Mieszkał w willi nad Morzem Czarnym. Tytuł Szejka został mu przyznany za dość mętne zasługi przez niezidentyfikowanego beduińskiego przywódcę. Urodził się w Argentynie, miał udziały w kasynie w Jerychu. Kochał sztukę i archeologię i czerpał z tych zainteresowań zyski, których źródło nie zawsze było legalne. Był świetnie poinformowany o wszystkim, co działo się w Ziemi Świętej, ale również w bliższych i dalszych krajach arabskich. Udawało mu się utrzymywać dobre stosunki zarówno z Kuzynami od Ściany, jak i Przyjaciółmi ze Skąły.

Dotarłem do jego posiadłości, bogatej w oliwki i drzewa owocowe. Zaparkowałem samochód na dużym, ubitym placu z tyłu domu, obok trzech Land Roverów: zielonego, czerwonego i żółtego. Pomyślałem, że robi z nich kolekcję, ale mógłby wybrać trochę bardziej stonowane kolory. Przyjął mnie serdecznie. Nie widzieliśmy się od dnia mojej nominacji. Przez te kilka miesięcy schudł co najmniej dziesięć kilogramów i zapuścił brodę. Była miękka, szara, starannie przystrzyżona, dobrze harmonizowała z prostą linią nosa i dużym czołem. Jego twarz była inna niż zazwyczaj, wyrażała teraz pewną melancholię.

Chyba zorientował się, że mu się przyglądam, bo spojrzał na mnie i zrobił prawą ręką dziwny gest, machając nią, jakby była wachlarzem. Uśmiechnął się z lekką goryczą.

- Mateo, gdyby moje zdrowie dorównywało chęciom, wszystko świetnie by się układało, ale nie można odzyskać minionych lat. Wiesz, jaka jest między nami różnica? Ty jesteś księdzem i do kontaktów z Bogiem musisz podchodzić z entuzjazmem. Ja odpowiadam tylko sobie samemu i brak mi

pewności. Chodź, pokażę ci, co nowego tu się pojawiło.

Zapytałem go, czy kolekcjonuje Land Rovery. Naliczyłem trzy. Odpowiedział, że czerwony i żółty są jego własnością. Trzeci, zielony, należał do kogoś, kto przyjechał się z nim spotkać, ale już odjeżdżał.

- Czy to ja zmusiłem go do ucieczki? - zażartowałem. Uśmiechnął się.

- Być może.

Bardzo lubiłem jego dom. Byłem przekonany, że poznałem tylko jego część, a zawsze fascynowały mnie niespodzianki. Z pewnością mieścił w sobie jeszcze wiele tajemnic, jak choćby prywatne podziemne muzeum, które Szejk pokazał mi tylko jeden raz i gdzie przechowywał liczne dzieła sztuki o mało legalnym pochodzeniu.

Drzwi frontowe były polakierowane na zielono, kołatki zrobione z błyszczącego mosiądzu. W środku, na wprost wejścia, znajdowały się marmurowe schody. Dom pachniał herbata. Weszliśmy na pierwsze piętro. Z prawej strony był salon dla gości, a na ścianach wisiały portrety historycznych postaci, prawie wszystkie w perukach. Weszliśmy do gabinetu. Wyszły z niego, nie zaszczycając mnie nawet jednym spojrzeniem, dwa koty perskie: Omar i Selim.

Było to przestronne, kwadratowe pomieszczenie z trzema oknami z widokiem na Morze Martwe. Na wprost okien stała wyglądająca na wygodną szeroka kanapa, po bokach dwa fotele z brązowej skóry. Między kanapą a fotelami był maho niowy stolik ze stosem książek i kilkoma fajkami, które wyglądały na dobrą i starą robotę.

Gospodarz poprosił, żebym usiadł na jednym z foteli. On usadowił się naprzeciwko. Wspomniał, że jego dom pełnił

funkcję laboratorium, miejsca badań i skupienia. Poczęstował mnie herbatą. Była aromatyczna. Zapytał, czy wiem, jaka jest najlepsza herbata ze wszystkich. Nie wiedziałem. Powiedział mi, że Darjeeling. Niestety, w ostatnim czasie była trudna do zdobycia, bo sprowadzająca ją firma zbankrutowała. Stwierdziłem, że ta, którą piję jest doskonała. Szejk pokręcił głową i wyjaśnił mi, że absolutnie nie może się równać z Darjeeling, która jest słodsza, bardziej aromatyczna, ma wyjątkowy smak. A potem wypowiedział zadanie, które wydało mi się trochę banalne: filiżanka dobrej herbaty może zmienić przebieg dnia, ale wie, że należy do kategorii amatorów kawy.

Odpowiedziałem mu, że cenię wszystko, co dobre i wypijając kolejnego łyka, stwierdziłem, że Szejk jest naprawdę oryginalnym człowiekiem. Nie widzieliśmy się kilka miesięcy, a on opowiada mi o jakości herbaty. Po chwili powiedział, że pokaże mi tę część domu, której jeszcze nie znałem. Zaprowadził mnie do szklarni ogrzewanej dla orchidei, paproci i palm. W środku zobaczyłem basen, którego dno całkowicie przykrywała wymyślna, ciemnoniebieska mozaika z motywem połączonych gwiazd, tworząc złudzenie przepastnych i tajemniczych głębin.

Wyjaśnił mi, że uwielbia długie nocne pływanie w tym olbrzymim rzymskim basenie, pomiędzy cieniami posągów, rzucanymi na fioletową wodę przez drżące i rozproszone światło alabastrowych lamp. Główny pomost do skoków, mający kształt łuku, oddzielał właściwy basen od wnęki z kopułą, pod którą poziom wody był niski. Zarówno pod względem formy, jak i wykończenia nawiązywała do mauzoleum Galii Placydii z Rawenny.

Wyprzedził moją reprimendę o to, że nie poradził się w sprawie mozaiki, wyjaśniając, że nie poprosił mnie o pomoc,

bo podejrzewał, że nie mam czasu, a poza tym zajmowałem się starożytnymi, a nie nowoczesnymi mozaikami.

Zaproponował, żebym się wykapał. Spodobał mi się ten pomysł. Dał mi kąpielówki i poszedłem popływać. Byłem już w basenie jakieś pół godziny i w pewnym momencie poczułem, że ktoś mnie obserwuje. Potem do moich uszu dotarły dwa głosy. Jeden z nich na pewno należał do Szejka, ale nie udało mi się zrozumieć, czego dotyczyła rozmowa. Po jakimś czasie usłyszałem warkot silnika i odjeżdżający samochód.

Pojawił się Szejk z uśmiechem na ustach. Zapytałem, czy coś się stało. Przez jego twarz przemknął cień. Nie odpowiedział, ale zgañił mnie, że za długo jestem w wodzie, co może mi zaszkodzić, on zaś martwi się o moje zdrowie.

Wyszedłem z basenu, wziąłem prysznic i włożyłem ubranie. Zaproponował mi aperitif przed obiadem. Wypił lampkę szampana, a ja szklankę wody mineralnej. Zjedliśmy przy basenie, sałatkę z awokado, melona i pieczoną rybę. Opowiedział mi, że do jakiegoś czasu funkcjonował w Turcji dziwny przemysł, który tworzyli sprzedawcy wody w pojemnikach i szklankach. Ci niecodzienni bywalcy tawern mieli rzędy regałów, na których piętrzyły się stosy naczyń pełnych mniej lub bardziej wykwintnej wody.

Woda docierała do Konstantynopola wyłącznie akweduktem Walentyna i była przechowywana w zbiorniku cesarza bizantyjskich, gdzie często nabierała nieprzyjemnego smaku. Dlatego w niektórych sklepach sprzedawano wodę z różnych krajów i roczników.

Najbardziej ceniona była woda Nil, pił ją nawet Sułtan. Była częścią podatków, które otrzymywał z Aleksandrii. Uważano, że sprzyja płodności. Eufrat, zielonkawą i o ciep-

kim posmaku, polecano mało temperamentnym, a Dunaj, z dużą zawartością soli, służyła ludziom energicznym.

W pewnym okresie swojego życia on sam stał się „poszukiwaczem wody”. Blisko mało uczęszczanego morza znalazł obszar bogaty w Dunajską, której nazwę zmienił na Tango. Sprzedawał ją w dwulitrowych butelkach.

Nie uwierzyłem w ani jedno słowo z tej historyjki, ale uznałem ją za elegancki sposób na wprowadzenie tematu mapy z ukrytymi źródłami wody, które znajdowały się w Ziemi Świętej i o które pytał mnie już ojciec Benjamin. Powiedziałem mu, że nie miałem jeszcze czasu, żeby je rozszyfrować. Spojrzał na mnie powątpiewająco.

- Przyszedeś tutaj z jakiegoś powodu. Znam cię.

Zapytałem go, czy przypadkiem nie wysłał mi jakiegoś zdjęcia. Uśmiechnął się i powiedział, że nie jest fotografem. Być może w przyszłości. Stwierdził, że muszę wbić sobie do głowy, że odkąd jestem kustoszem, powiększyło się grono moich wrogów. Ale on będzie nade mną czuwał. W zamian za swoją pomoc chciał obietnicy, że zacznę pracować nad mapą. Sprzedalibyśmy ukryte w niej tajemnice najlepszemu oferentowi, nieważne, czy byliby to Izraelczycy, czy Palestyńczycy. Pieniądz nie znał narodowości ani granic, ponadto wykazywał niewielką troskę o demokrację.

Naturalnie nie przystałem na tak wyrażoną propozycję, ale zapewnilem go, że wkrótce przekażę mu nowiny. Nie wiem, czy mi uwierzył. Potem powiedział, że chce mi coś pokazać. Wziął kopertę, otworzył ją. Była w niej ta sama fotografia czarnej mewy.

- Znasz go? - zapytałem.

Nie odpowiedział.

Jerozolima pragnień

Szejk odprowadził mnie do samochodu. Zielonego Land Rovera już nie było.

- Widzisz, naprawdę zmusiłeś mojego biednego przyjaciela do ucieczki.

- Ale przecież nawet go nie widziałem! - krzyknąłem. I dodałem:

- Dlaczego mi go nie przedstawiłeś? A zresztą, czy to nie był jeden z twoich znajomych?

Szejk nie odpowiedział. Gdy wsiadałem do samochodu, wydawało mi się, że na jego twarzy znów pojawił się wyraz z troskania.

Po kilku minutach dotarłem na Nebo. Garbo przywitał mnie taką ripostą:

- Abuna, widziałem jak przejeżdżałeś i domyśliłem się, że opuścisz obiad, który dla ciebie przygotowałem i powiedziałem sobie: to nie problem, Abuna zje te potrawy na kolację. Nie martw się, podgrzeję je.

Przeprosiłem, że go nie zawiadomiłem. Usiedliśmy przy stole w małym refektarzu obok kuchni. Było to nowe skrzydło konwentu, wybudowane parę lat temu. Dzięki hojności przyjaciół wzbogaciło się w chłodnię, gdzie Garbo przechowywał zapasy i dużą lodówkę na podstawowe produkty. Omówiliśmy kwestię prac remontowych, które trzeba będzie wykonać

latem, między innymi malowanie dwóch zewnętrznych ścian konwentu od strony Morza Martwego, które były najbardziej wystawione na wiatr i opady. Potem Garbo zmusił mnie do wypicia kieliszka passito⁸, które uważał za lepsze od wytwarzanego w Salina. Według mnie było kwaśne, ale nie powiedziałem mu o tym, by go nie zniechęcać. Chciał uruchomić niewielką produkcję i pokazał mi dwie etykiety. Na pierwszej było napisane: „Passito z Góry Nebo”, na drugiej „Passito Memoriał Mojżesza”. Powiedziałem mu, że bardziej podoba mi się pierwsza, bo druga wydawała mi się trochę lekceważąca. Garbo podziękował za radę i stwierdził, że jest bardziej komercyjna, ale szanuje moją opinię i zastosuje się do niej. A kiedy będę miał czas, opowie mi o sposobach produkcji i swoich pomysłach na dystrybucję i promocję.

Spałem w moim dawnym pokoju. Przejrzałem kilka książek, z którymi byłem szczególnie związany: *Ziemię Świętą* ojca Bernardo Rossi, *Klub Pickwick'a* Charlesa Dickensa, *Fikcje* Borgesa, starą i cenną dla mnie *Geografię Biblijną*. Potem po raz kolejny podziwiałem moją kolekcję prehistorycznych toporów. Znalazłem je na pustynnym obszarze w okolicach Umm-er-Rasas, podczas przechadzki. Na pierwszy rzut oka wydały mi się zwykłymi kamieniami, później zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia z naostrzoną, gotową do polowania bronią z pradawnych czasów.

Ponieważ funkcja kustosa sprawowana była przez sześć lat, długo się zastanawiałem, czy przeniesienie tych drogich mi przedmiotów do Klasztoru Zbawiciela będzie dla mnie korzystne. Postanowiłem zostawić je w konwencie na Górze

⁸Słodkie wino z suszonych winogron.

Nebo. Dzięki temu za każdym razem, kiedy tam spałem, czułem się jak w domu.

Klasztor Zbawiciela był dla mnie przejściowym miejscem pobytu. Czułem się tam gościem i musiałem zwalczyć to przekonanie. Nie służyło ono mojej higienie umysłowej i działalności duszpasterskiej. Jednak wyobraźnia bez przeszkód i psychologicznych trudności wybiegała na Nebo, a mój wypoczynek w Klasztorze Zbawiciela był pozbawiony wyrazu i kolorytu.

Tej nocy śniło mi się, że goniłem dzikie konie i polowałem na aligatory, bawiłem się z małymi lwiątkami na sawannie, wskakiwałem na grzbiet najszybszego jelenia w puszczy i uchwycony jego poroża przemierzałem tysiące kilometrów pośród ukrytych i szemrzących niebezpieczeństw, nie odnosząc żadnej rany. Poznałem małą społeczność elfów i uczestniczyłem w ich świętach. Walczyłem przeciwko Dajakom z Borneo, zobaczyłem trzy wschodzące słońca poza obszarem znanych galaktyk, wzruszyłem się, stojąc w ogromnym oknie i obserwując żyjących i umierających ludzi na ziemi.

Sen zakończył się ponurą myślą. Kiedy już Pan zamknie mi oczy, gdzie się znajdę? Wyobraziłem sobie miliardy dusz tłoczących się w niebie. Przyrzekłem sobie, że postaram się dowiedzieć, ile jest tych bezcielesnych istnień. Kwestią problematyczną był rok, od którego powinienem rozpocząć badania.

Obudziło mnie uczucie niepokoju. Coś przerwało mój sen. Może był to obraz umarłych dusz. Poczułem chłód w gardle, ucisk w nosie i ukłucie lodu w oczach. Stan, którego doświadczałem, nazywał się strachem. Po raz pierwszy w życiu odczuwałem go jednak w tak dotkliwy sposób. Czytałem o nim w książkach i zawsze zastanawiałem się, jak smakuje.

Zacząłem wymachiwać rękami wokół siebie, powietrze zrobiło się nagle ciężkie. Mogłem go dotknąć. Widziałem się teraz na wysokiej górze, a wokół tylko szczeliny. Nie mogłem przesunąć stóp w żadną stronę, bo wpadłbym w jedną z nich.

Cierpiałem jak ktoś, komu wokół głowy fruwa stado nietoperzy, ale rankiem, nie w nocy, a on nie wie, jak je przepędzić. Różne uczucia nakładały się na siebie, wydawało mi się, że moja głowa tkwi w lisiej norze, a mieszkające w niej zwierzę zdiera mi skórę z nosa. Fala chłodu rozprzestrzeniła się od nóg po całym moim ciele. Dotarła do serca, ale nie zakłóciła jego pracy. Z trudem znalazłem wyłącznik światła i przez kilka minut siedziałem na łóżku z wytrzeszczonymi oczami. Nie wiem nawet, o której godzinie zasnąłem.

Przypomniałem sobie, jak pewnej zimy, wiele lat temu, wyszedłem z konwentu i udałem się w kierunku Bazyliki. Padał ulewny deszcz, przemokłem do suchej nitki, byłem sam na dziedzińcu, nie wiedziałem, dokąd pójść, kogo poprosić o pomoc. Wydawało się, że te masy wody chcą zawładnąć moimi oczami i całym ciałem. Pomyślałem, żeby zatkać sobie nos i usta, ale lęk przed uduszeniem wywołał atak paniki, który był całkowitym zaskoczeniem. Upadłem na ziemię. Nie wiem, jak długo tak leżałem, trzęsąc się ze strachu, ale w pewnym momencie - i było to dla mnie jak objawienie - znalazła się przy mnie jedna z córek Omara Fayeza. Dziewczynka pogłaskała mnie po mokrej twarzy, wzięła za rękę, pomogła mi stanąć na nogi i zaprowadziła do swojego domu, który znajdował się na końcu ubitej drogi łączącej dziedziniec z parkingiem dla gości. W tym czasie droga nie była jeszcze wyasfaltowana. Omar Fayez dał mi koc, żebym się wysuszył i kazał wypić koniak.

- Abuna Mateo, ma ojciec silny organizm - powiedział Omar - nie będzie z tego nawet bronchitu.

Odczuwałem wtedy ten sam rodzaj lęku, który towarzyszył mi teraz, gdy obudziłem się na Nebo. Wróciłem myślami do spotkania z Szejkiem. Wcałe nie wyglądał na zaskoczonego moją wizytą. Gdy opowiadałem mu o czarnej mewie, westchnął przeciągle i jakby skulił się w swoim fotelu. Zauważyłem, że na stoliku leżała kartka, którą Szejek złożył pospiesznym ruchem i wsunął do kieszeni, wcześniej zapisując coś na niej niebieskim ołówkiem. Miałem wrażenie, że chciał mieć pewność, że nie będę mógł jej przeczytać. Potem wziął koperkę ze zdjęciem i powiedział mi, że dokona szeregu analiz, które pozwolą lepiej zrozumieć sytuację. Następnie podzielił się ze mną swoimi przemyśleniami.

Na przykład, jeśli ktoś ma w głowie plan, należy go chronić. On postępował zgodnie z tą zasadą. Długo się uśmiechał i dodał, że pracuje nad dowcipnym i olśniewającym, a jednocześnie melancholijnym i sentymentalnym projektem i opowie mi o nim we właściwym momencie, mając oczywiście nadzieję, że w międzyczasie uda mi się odczytać mapę wody.

Opowiedział mi, że widział ekipę Kuzynów od Ściany układającą rury nawadniające na polach niedaleko kibucu. Przyjaciele ze Skały przyglądali się z daleka, siedząc na swoich osłach, a gdy tylko ekipa odeszła jakieś sto metrów dalej, w pośpiechu ukradli rury.

- W Gazie udałoby ci się sprzedać używaną szczoteczkę do zębów, a co dopiero rury do nawadniania. Gdybyś znał wodę, wyobraź sobie, jaki to byłby interes!

Dodał jeszcze, że Przyjaciele ze Skały zawsze byli złodziejami wody, było to częścią ich kultury. Odparłem, że częścią ich desperacji.

Ojciec Benjamin też usiłował się dowiedzieć, jaki etap osiągnąłem w deszyfrowaniu mapy. Pomyślałem, że obaj przywiązują nadmierną wagę do wytworów fantazji. Ukryte studnie w Ziemi Świętej nie istniały, odczytałem mapę i chciałem im to zakomunikować we właściwym momencie. Na razie miałem się na baczności.

Garbo poprosił, żebym szybko wracał. Powiedział, że świątynia jest bez mnie smutna, a przyjeżdżający pielgrzymi też odczuwają moją nieobecność. Objął mnie ze łzami w oczach, a potem mocno uściśnął mi ręce i podziękował. Zapytałem, za co.

- Za wino, Abuna, za wino. Skoro ci smakuje, możemy rozpocząć produkcję.

Zostałem zatrzymany przez wartownika w punkcie granicznym na moście Allenby. Zdenerwowałem się i podniesionym głosem wyjaśniłem, kim jestem. Przeprosił mnie, co było miłą niespodzianką. Ci żołnierze zwykle byli źle wychowani.

Jadąc w kierunku Świętego Miasta drogą biegnącą w górę, między wyschniętymi korytami rzek⁹ i skałami, rozmyślałem dalej. W Ginostrze często słyszałem w nocy eksplozje i trzęsła się ziemia. Mimo że wulkan znajdował się bardzo blisko, wybuchy ulegały wyciszeniu i złagodzeniu we wnętrzu góry. Były oznaką jej aktywności. Teraz, w podobny sposób, słyszałem wokół siebie przytłumione grzmoty i chciałem zrozumieć ich znaczenie. Zbyt wiele znaków wskazywało, że wkrótce dojdzie do gwałtownej erupcji, ale bardziej niż mnie martwić, pobudzało to moją ciekawość i oczekiwanie. Po czterdziestu latach spędzonych w Jerozolimie nauczyłem się, że każde zdarzenie kryje w sobie kilka znaczeń i aby przeżyć, należy znaleźć to właściwe.

⁹ Arab. wadi (czyt. uadi).

Kamienie w Ziemi Świętej miały niewzruszony i leniwy wygląd, ale to miejsce spokoju było przez wieki nawiedzane wojnami, zniszczeniami i śmiercią. Rozum podpowiadał, że miejsce to powinno stanowić najwyższą świątynię pokoju, ale było wprost przeciwnie i nie mogłem tego zaakceptować.

Problemem nie był konflikt między Kuzynami od Ściany i Przyjaciółmi ze Skały, wojna była konsekwencją braku woli zrozumienia, że wszyscy powinni żywić szacunek dla ojczyzny Boga. Wtedy wszelkie zbrojne działania zostałyby wprowadzone do poziomu absurdu.

Powiew wieloletniej historii i wspomnienie niezliczonych wybitnych osób, które mieszkały w tych okolicach, powinny wzbudzić rodzaj duchowego obłoku, który zapobiegłby wszelkim przyszłym konfliktom. Grób Święty, Ściana Płaczu, Wzgórze Świątynne, będąc wolne od wojen, mogłyby gościć każdego, bez żadnych ograniczeń. Jerozolima stałaby się ogromnym i wspólnym ołtarzem dla pokoju.

Matka opowiadała mi o pewnej kobiecie z Ginostry, która po 8 września 1943 roku wyjechała do Jugosławii w poszukiwaniu zaginionego męża. Odnalazła go bez nóg i sprowadziła do domu, niosąc na plecach, jakby był dużym dzieckiem. Codziennie z wielką wytrwałością przemierzała krótki odcinek drogi. Udało jej się, bo, jak tłumaczyła mi mama, chęć bierze się z serca, jest początkiem i końcem każdej rzeczy.

Miałem ochotę zrobić to samo z Jerozolimą. Była ranna, a ja położyłbym ją sobie na plecach. Być może było to tylko marzenie, idea, ale jedynie idee pozwalają posuwać się naprzód, zawierają w sobie nadzwyczajne człowieczeństwo, napełniają głowę i serce radością.

Chciałbym przekazać moje refleksje dyskretom, ale przyjęcie ich wymagałoby zaufania do mnie. Z wielkim żalem

musiałem przyznać, że ta szczególna relacja nie wyzwoliła się między nami.

Kolejny raz spojrziałem na niskie pagórki i osiedla Kuzynów od Ściany: białe czworoboki z uporządkowanych, jednakowych domów, wyglądające z daleka jak makiety, które jakieś dziecko sklepiło w swoim pokoju, a potem zostały przeniesione w ustalone wcześniej miejsce, nie zastanawiając się nad tym, czy jest ono właściwe. Robiły wrażenie czegoś opracowanego w zaciszu biura. Poniżej, w wyschniętych korytach rzek, tu i ówdzie, pojawiały się w nieładzie namioty i owce. Ten kontrast zawsze był dla mnie uderzający.

Dojechałem do Klasztoru Zbawiciela, gdzie czekał na mnie Gruber. Pod koniec naszej ostatniej rozmowy obiecałem mu, że zabiorę go do Grobu Świętego. Wyraził chęć odbycia tego spaceru w moim towarzystwie i kontynuowania naszych rozmów. Wiedziony franciszkańską cierpliwością i myślą, że może się to przyczynić do odkrycia prawdy, postanowiłem wykonać ten zbyteczny uczynek.

Powiedział, że zostawił swój samochód na dziedzińcu klasztoru. Z nutą ironii w głosie stwierdziłem, że zdrowiej będzie iść piechotą, bo przecież wybieramy się do dzielnicy arabskiej. Przyznał mi rację. Wyszliśmy z klasztoru, przeszliśmy przez Bramę Nową i dalej, wzdłuż starych murów.

Była to ta sama droga, którą pokonałem z Vidigalem, gdy szliśmy do Palestyńskiego Teatru Wielkiego. Gruber milczał i uważnie obserwował przejeżdżające samochody.

Przed Bramą Damasceńską zatrzymał się nagle i powiedział, że zauważył chłopca, który cisnął skórką z banana. Przyjmując oficjalny ton, spytałem, czy chce go aresztować. Odpowiedział mi poważnie, że wcale nie ma takiego zamiaru, ale chce przynajmniej wytargać go za uszy.

- W sensie przenośnym czy dosłownym? - zapytałem.

Popatrzył na mnie z wahaniem, potem bąknął, że trzeba uczyć dobrego wychowania i nie można tolerować tego rodzaju postępów. Ale jeśli nie chcę rzucać się w oczy będzie zachowywał się dyskretnie. Nic nie odpowiedziałem i wszedłem przez bramę do Starego Miasta, nie patrząc nawet, czy podąża za mną. Bez słowa szedł obok mnie i przyglądał się wszystkiemu z zachwytem i uwagą. Zapytałem, czy po raz pierwszy wszedł do arabskiej dzielnicy. Odpowiedział, że pierwszy raz w tak spokojny sposób i z osobą cieszącą się takim szacunkiem. Przeszliśmy kawałek Via Dolorosa i dotarliśmy przed drugą stacją, gdzie swoją siedzibę miał Klasztor Biczowania. Zdziwił się, że przy dużej, drewnianej bramie, przez którą wchodziło się na klasztorny dziedziniec, nie było dzwonka tylko stara kołatka, której bracia najczęściej nie słyszeli. Pokazałem mu Kaplicę Biczowania po prawej stronie i Kaplicę Skazania po lewej. W miejscu, gdzie stoi pierwsza z nich, Jezus został poddany karze biczowania, tam, gdzie znajduje się druga, Piłat skazał Go na śmierć i kazał nieść krzyż.

Weszliśmy na drugie piętro klasztoru. Pokazałem Gruberowi kolekcję złotych monet w skrzynce pod moim łóżkiem. Wyjaśniłem mu, dlaczego tam się znajdują, a on od razu zaoferował się, że za pośrednictwem swojego biura, znajdzie pieniądze na zainstalowanie skutecznego systemu zabezpieczeń.

Przytaknąłem, podziękowałem i zastanowiłem się nad tym. Bawiła mnie myśl, że Tsomet przyczyni się do ocalenia rzymskiego skarbu. Czy to przypadkiem nie Rzymianie otoczyli Jerozolimę i pokonali Kuzynów od Ściany? Można to było wziąć za następny akt pojednania. Kiedy wyszliśmy, Gruber wyraził chęć odwiedzenia kaplicy Biczowania. Wy-

jątkowo podobały mu się trzy witraże ze scenami biczowania, będące zwieńczeniem łuków, na których opierało się sklepienie prezbiterium. Po wyjściu z klasztoru skręciliśmy w prawo, na Via Dolorosa.

Nie powiedziałem mu, że jest czternaście stacji męczeństwa Jezusa. Bałem się, że poprosi mnie, żebym opowiedział mu o wszystkich. Przypomniałem mu tylko, że do Świętego Miasta można się dostać przez siedem magicznych bram, wprowadzających w tajemniczy labirynt, który wirując świętymi ogniami, zapachami, starożytnymi przyprawami, prowadzi do serca serc - Wzgórza Świętynnego. Stąd prorocy wznieśli się do swojej Świątyni Niebieskiej. Po drodze do Grobu Świętego pokazałem mu tylko pięć stacji drogi krzyżowej, znajdujących się na terenie Bazyliki, w kaplicy Golgoty, a ostatnią w samym Grobie.

Gruber podziwiał Kamień Namaszczenia, dziwiąc się, że turyści kładą na nim różańce i inne przedmioty. Chociaż nie do końca byłem o tym przekonany, wyjaśniłem mu, że wyrażają w ten sposób swoją wiarę.

Potem zwróciłem mu uwagę, jakim luksusem było spędzanie czasu na przechadzce po Jerozolimie, wspólne dzielenie się jej uliczkami, światłami, mistycznymi miejscami, uśmiechami, jej historiami, przypominającymi bajkowe opowieści. To miasto było pasmem równoległych luster, których ustawienie powodowało nieskończone odbijanie się obrazów. Każda religia w galopującym tempie biegła w kierunku innej religii.

Poszliśmy na ulicę Dawida, położoną wśród średnio-wiecznych bazarów. Byłem przekonany, że jej nazwa wzięła się stąd, że król Dawid kazał wykopać pod spodem tunel, który pozwoliłby mu przejść niezauważenie z cytadeli na Górę Świętynną. Podzieliłem się tą myślą z Gruberem.

- Religie - powiedziałem - rozdzielają się na ulicy Dawida na trzy wyraźnie oddzielone od siebie ludzkie nurty. W połowie drogi my, chrześcijanie, skręcamy w lewo, w stronę Grobu Świętego. Przyjaciele ze Skąły idą dalej, w kierunku meczetów na Wzgórzu Świątynnym. Wy idziecie w prawo, do Muru Zachodniego. Wzdłuż tej drogi przechodzi wiele procesji; a w dni większej aktywności dwa dźwięki dominują nad wszystkimi innymi: uderzenia dzwonów i nawoływania muezinów. Dzisiaj głos muezinów jest zapisany na taśmie magnetycznej i wzmocniony przez potężne głośniki. W momentach napięcia poziom dźwięku zostaje zwiększony; po kilku dniach spokoju wraca do normy.

Każde nasze wyznanie ma swoje dzwony. Ich uderzenia rozchodzą się po uliczkach, odbijają się o kamienne ściany. Szybko nauczyłem się rozróżniać dźwięki: głęboki, dochodzący z greko-prawosławnej bazyliki Grobu Świętego; krótkie i przenikliwe tony z kościoła etiopskiego, przeciągłe od luteranów, mroczne, grobowe od Ormian, miękkie i ciepłe od karmelitów.

Na ulicy Dawida zatrzymaliśmy się w słynnej, starej księgarni Oscara Mayera. Główna siedziba, znajdująca się poza obrębem Starego Miasta, została założona przez pochodzącego z nazistowskich Niemiec Aszkenazi¹⁰. Filię nieopodal Ściany Płaczu otwarto całkiem niedawno. Podobała mi się, bo nie przypominała nowych sieci księgarń, które nie różniły się wyglądem, monopolizując gusta i promując książkę jak każdy inny przedmiot. Były tam szczelnie wypełnione tomami w różnych rozmiarach drewniane półki, na których panował

¹⁰ hebr. Aszkenazim - nazwa Żydów środkowo- i wschodnioeuropejskich, wśród których powstał w X w. język żydowski.

przyjemny, kontrolowany nieład, a właściciel, wnuk Oscara Mayera, znał każdy tytuł.

Miesiąc wcześniej zamówiłem Stary i Nowy Testament po arabsku. Już dotarł. Zapłaciłem i podziękowałem młodemu Meyerowi. Powiedział:

- Wielebny Ojcze, niestety, nie ma widoków na poprawę sytuacji, jest coraz gorzej. Trzeba dotrzeć do ciemnej otchłani, zanim będzie można zobaczyć światło. Jesteśmy jak mrówki, które starają się zbudować najlepsze mrowisko, jakie kiedykolwiek istniało, ale zawsze pojawia się ktoś, kto wkłada w nie kij, niszcząc nasze dzieło.

W księgarni był też żołnierz, który przedstawił się jako starszy sierżant rezerwy Dov Joseph. Miał 31 lat i w cywilu był adwokatem. Znali się z Gruberem z widzenia. Zwracając się do mnie, Joseph stwierdził, że okupacja wojskowa była nie do pogodzenia z hebraizmem. Zrozumiał to pewnego dnia, gdy pełnił wartę przy punkcie kontrolnym. Palestyńskie samochody od kilku godzin stały w długiej kolejce. Nadjechał jakiś pułkownik i wyprzedził wszystkich z dużą prędkością. Chciał go wylegitymować, ale ten zareagował niegrzecznie. „Co ja jakiś arab jestem?” - wykrzyknął.

Tego dnia Dov Joseph postanowił, że wspaniały naród, który szczyci się tym, że spowodował rozkwit pustyni, nie może wrywać z korzeniami palestyńskich drzew oliwnych przy pomocy spychaczy.

- Wielebny Ojcze, będąc w kawalerii Armii Czerwonej, Izaak Babel był zmuszony ukreć gęsi szyję, żeby pokazać swoje męstwo. Kiedy ja i moi koledzy z batalionu rozpoczęliśmy szkolenie, weterani prosili nas tylko o mocne pierdnięcie.

Gruber roześmiał się. Ja też, chociaż nie zrozumiałem sensu tego dowcipu.

Wyszliśmy z księgarni i usiedliśmy w barze; zamówiłem lemoniadę, a Gruber herbatę.

- Wielebny Ojciec, mój ojciec mawiał: „Nie miałem życiorysu, a raczej przeznaczenie, które zbyt szybko przeminęło”. Prorocze słowa, nie uważa ojciec?

Minał nas człowiek, którego już spotkałem, ten, który chodząc rytmicznie podnosił i opuszczał prawe ramię. Odwróciliśmy się i obserwowaliśmy go z oddali; miał arystokratyczną postawę. Chciałem się dowiedzieć, czy Gruber już go kiedyś widział. Powiedział, że nie, ale mógł to być *sabra*¹¹. Po czym to poznał? Wzruszył ramionami i stwierdził, że *sabra* byli inni i trochę szaleni.

- Może dlatego, że urodzili się w Ziemi Świętej? - zapytałem. Poprawił mnie:

- W Izraelu, Wielebny Ojciec.

Kierowaliśmy się w stronę Ściany Płaczu. Opowiedział mi pewne zdarzenie z dzieciństwa, które wyjątkowo go poruszyło. Było to wtedy, gdy wraz z ojcem spotkał w Tel Awiwie Ben Guriona. Ten Ojciec Założyciel miał 74 lata i opowiedział im, że często spędzał czas na Negew. Tam było jego prawdziwe życie, w kibucu niedaleko Beersheby, który otaczały piaskowe wydmy i chroniły wielbłądy Beduinów. Prowadził je czasem, żeby napiły się w studni. Pomimo zaawansowanego wieku przechadzał się pomiędzy wydmami i wielbłędami, pokonując od piętnastu do dwudziestu kilometrów dziennie. Zalecił mu to lekarz jako terapię zapobiegającą zawałowi serca. Wypadki na pustynię służyły przede wszystkim oczyszczeniu się z codzienności i odzyskaniu kontaktu z wiecznością i nieskończonością. Ten nie dający oczom żadnego punktu zaczepienia krajobraz wydawał się stworzony

¹¹ Rodowity Izraelczyk

specjalnie po to, by na nowo odnaleźć w sobie człowieka.

- Wie ojciec, jak zakończyło się nasze spotkanie? Ben Gurion powiedział: „Kiedy Mojżesz zorientował się, że jego lud zapomina o zobowiązaniu, że będzie się różnić od innych, zaprowadził go na pustynię, żeby przez następnych czterdzieści na lat paść owce. Zawsze o tym pamiętaj, chłopcze!”.

Policjanci przed przejściem do Ściany Płaczu od strony dzielnicy arabskiej z szacunkiem spojrzeli na małą przepustkę z paskiem magnetycznym, którą pokazał im Gruber i stanęli na baczność. Po raz pierwszy unikałem przejścia przez bramkę, reagującą dźwiękiem na każdy metalowy przedmiot, który miało się przy sobie, co i tak nie zapobiegało zamachom, a tylko irytowało zwyczajnych ludzi, takich, jak ja. Spytałem Grubera, czy ma zamiar się pomodlić. Zaczekałbym. Podziękował za troskę i szacunek, jaki okazywałem jego religii. Bez trudu odparłem, że dobry katolik przyjmuje innych z otwartymi ramionami i czerpie z tego radość i spełnienie. Poprosił, żebyśmy poszedł za nim i pokazał mi dokładne miejsce, w którym znaleziono ciało skrzyпка, przyjaciela jego ojca. Znajdowało się kilka metrów od Ściany, w pobliżu obszaru, na którym modliły się kobiety. Wydawało się niemożliwe, żeby ten wypadek przytrafił mu się w tym miejscu.

Właśnie wtedy Gruber zapytał, czy widziałem kiedyś kostnicę.

- Nie! - odpowiedziałem. - Błogosławiłem niezliczoną ilość zmarłych w kościele, w ich domach, ale nigdy w takim przybytku.

- Myślę, że powinien ojciec zobaczyć jeden z nich. Stwierdziłem, że nie widzę takiej potrzeby. Wzruszył ramionami.

Z parkingu niedaleko Ściany Płaczu odebrał nas kierowca Grubera. Pojechaliśmy Ma'ale Ha-Sharon, potem Khalivat Yerushalayn, następnie skręciliśmy w lewo, w Derekh Khevron. Tam, naprzeciwko nowoczesnej synagogi, tuż przed dużym dworcem autobusowym i blisko Khan Theater, znajdował się posterunek policji.

Przeszliśmy przez podwórko w asyście policjanta i znaleźliśmy się przed barakiem z blachy falistej. Policjant otworzył zamknięte na klucz drzwi. Uderzyło w nas rozżarzone jak w piekarniku powietrze, cuchnące fenolem. Wszedłem do środka za Gruberem. W pomieszczeniu nie było okien, oświetlała je elektryczna lampa o dużej mocy z emaliowanym reflektorem. Po obu stronach korytarza stały wysokie drewniane stoły wsparte na skrzyżowanych nogach. Dwa z nich przykryte były impregnowanymi płachtami, które odrobinę odstawały od podłoża.

- Strasznie gorąco - zawołałem. Gruber nie przejął się moimi słowami i wskazał ręką przykryte stoły.

- Ci, którzy leżą pod spodem, na pewno się nie skarżą.

Nie doceniłem jego poczucia humoru. Towarzyszący nam policjant stanął obok jednego ze stołów i uniósł płachtę. Gruber podszedł bliżej. Zmusiłem się, żeby zrobić to samo.

- Wielebny Ojczy, to ciało jednego z naszych informatów. Jest w kiepskim stanie. Przez trzydzieści pięć lat pracował dla nas i zdradzał swoich towarzyszy broni. Tydzień temu sześciu jego przyjaciół zostało powieszonych głową w dół. Nie zrobił sobie operacji plastycznej twarzy, bo był odważny. Kiedyś udaremnił zamach na Henry'ego Kissingera, który nocował w hotelu King David. Dowiedział się, że w Armon Henaziv przygotowane są cztery rakiety Katusza: trzy wycelowane w Ścianę Płaczu, a jedna w hotel.

Tego dnia ocalał wiele istnień i pokój. A teraz, leży tutaj, Wielebny Ojczy.

Mam nowiny w sprawie osobnika, którego nazywa ojciec czarną mewą. Proszę posłuchać. Jeden z naszych patroli znalazł w zeszłym tygodniu zwłoki Szolema, szewca, który został okradziony i zarżnięty we własnym domu. Kilka dni później, w jednej z kawiarni, widziano niejakiego Igora Ter Ovanesia. Miał przy sobie sporo gotówki, co zdziwiło właściciela baru, bo wiedział, że Igor jest biedakiem. Potem słyszał, jak pijany Ter Ovanesian chwalił się, że pożyczył te pieniądze od Żyda Szolema. Został natychmiast zatrzymany i poproszony o udzielenie wyjaśnień, w jaki sposób wszedł w posiadanie takiej sumy. Nie potrafił podać żadnego wiarygodnego uzasadnienia i zaprzeczył, że kiedykolwiek widział Szolema. Odpierał zarzuty, twierdząc, że jako Ormianin jest obiektem nienawiści ze strony Żydów. Potem uciekł. Znalezione go martwego, bo musiało dojść do wyrównania rachunków. To była szumowina, Wielebny Ojczy, a szumowiny same się eliminują. Zabójca nałożył mu franciszkański habit, żeby skierować podejrzenia w inną stronę. Może nawet zmarł w tym miejscu, w którym go znaleźliśmy?

Odparłem, że taki przebieg zdarzeń wydaje mi się mało wiarygodny. A przede wszystkim czemu miało służyć wciągnięcie w to Kustodii? Gruber uśmiechnął się i wyciągnął z kieszeni łańcuszek z ormiańskim krzyżem. Na krzyżu wyryta była inskrypcja: Igor Ter Ovanesian.

- To jest dowód, Wielebny Ojczy. Przebranie zakonnika jest bez znaczenia. Miał w kieszeni ten krzyż.

Wydał rozkaz. Policjant ściągnął pokrycie z drugiego stołu. Na podpórce leżało ciało około pięćdziesięcioletniego, niskiego mężczyzny z szerokimi ramionami. Z miejsca,

w którym stałem, widziałem tylko górną część białawej twarzy, którą okalała burza siwych włosów. Ciało było owinięte prześcieradłem. W nogach leżał stos pomiętych ubrań: majtki, spodnie, koszula, skarpetki i para butów ze zwężanymi czubkami, których podeszwy wygięły się podczas wysychania. No i habit. Podeszedłem bliżej.

Nareszcie mogłem spokojnie przyjrzeć się czarnej mewie. Nikt nie zatroszczył się, żeby zamknąć wpatrujące się w światło, wytrzeszczone, białe oczy. Dolna szczeka była opuszczona. Policzki zwiotczały. Było za późno, żeby wyobrazić sobie myśli, które kiedyś przebiegały pod otoczonym głębokimi zmarszczkami czołem. Rozpłynęły się. Zdawałem sobie sprawę, że tak naprawdę widzę go po raz pierwszy. Tamtego ranka, nad Morzem Martwym, nie przyjrzałem się dokładnie jego twarzy, może z emocji, a może ze zmartwienia. Usilnie starałem się odtworzyć w pamięci te rysy, ale nie mogłem ich z nikim skojarzyć.

Gruber powiedział:

- Zabił go strzał w serce z bliskiej odległości. Ten, kto strzelał, znał się na tym. Czy zobaczył ojciec to, co chciał?

Jeszcze raz spojrzałem na denata, jakbym chciał się z nim pożegnać, mimo że był nieznajomy. Gruber przez chwilę pozostał w bezruchu. Potem wyciągnął rękę i, chwytając zmarłego za włosy, uniósł mu głowę. Niewidzące oczy znalazły się na wysokości jego twarzy.

- Na pewno wiesz o rzeczach, które bardzo by mnie interesowały. Szkoda, że już nic mi nie powiesz.

Puścił głowę, która opadła na stół. Wyciągnął z kieszeni jedwabną chusteczkę i starannie wytarł sobie palce.

- Im szybciej go pochowamy, tym lepiej.

Powiedziałem mu:

- Mam nadzieję, że wkrótce uda się panu usłyszeć wewnętrzny głos i będzie pan w stanie się do niego zastosować.

Nic nie odpowiedział. Pożegnaliśmy się. Kazał swojemu kierowcy odwieźć mnie do Bramy Jafskiej. Poszedłem do Grobu Świętego i dotknąłem Kamienia Namaszczenia. Wyszedłem i usiadłem w kawiarni. Chociaż nie byłem łasuchem, zamówiłem arabskie ciastka i bardzo słodką herbatę. Pijąc, zauważyłem młodego żołnierza stojącego kilka metrów ode mnie. Widziałem go wyraźnie z mojego miejsca, podobnie jak dom po jego lewej stronie. W jednym z okien znajdowało się dwóch Przyjaciół ze Skąty. Jeden z nich trzymał karabin i odniosłem wrażenie, że celuje z niego w Kuzyna od Ściany. „Zaraz do niego strzeli” - pomyślałem. Jakieś dziecko, które biegło za piłką, potknęło się i upadło mu pod nogi. Dziecko zaczęło płakać, żołnierz schylił się, podniósł je i wziął na ręce. Z obawą skierowałem wzrok na okno. Nikogo już w nim nie było. Herbatą i ciastkami uczciłem Kuzyna od Ściany, który nigdy się nie dowie, że ocalił wtedy życie. Jerozolima naprawdę jest wielkim statkiem, który ciągle odpływa.

W ormiańskim mieście

Poszedłem do Wschodniej Jerozolimy na koncert Khaleda Jubrana, Przyjaciela ze Skały izraelskiej narodowości. Odbył się w kinie przerobionym na teatr, niedaleko American Colony. W skład zespołu wchodził skrzypek, wiolonczelista i Achmed Jabal, wirtuoz tamburynu. Interpretacja Khaleda Jubrana była wzruszająca, ale nie sentymalna, wzniosła, ale nie natarczywa, niektóre nuty brzmiały surowo, inne łagodnie. Potem ogłosił, że występ zakończy się wcześniej niż planowano z powodu godziny policyjnej. Widzowie zaprotestowali, zachęcając go, by wykonał inne utwory. Artysta zawahał się. Ktoś zaproponował tytuł, ale on stanowczo stwierdził: „Żadnych politycznych piosenek”.

Koncert zakończył się trzema miłosnymi balladami, które spora część publiczności, a zwłaszcza kobiety, śpiewała razem z wykonawcą. Oklaski trwały dziesięć minut, wielu miało łzy w oczach.

Wracając do Klasztoru Zbawiciela, jakieś pięćdziesiąt metrów przed Bramą Nową zobaczyłem pojazd opancerzony Kuzynów od Ściany i barierę z drutu kolczastego, która blokowała część Ha Tsankhanim. Na chodniku obok pojazdu klęczeli dwaj Przyjaciela ze Skały, skuci kajdankami, z brudną szmatą zawiązaną wokół głowy, która zasłaniała oczy i

kawałek czoła. Zapytałem Kuzyna od Ściany, który wyglądał na wyższego stopniem, co zrobili ci chłopcy. Powiedział, że są podejrzanymi i muszą zostać przesłuchani. Próbowałem wytłumaczyć mu, że opaska jest brudna i zbyt ciasna. Wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

Wszedłem do klasztoru z myślą, że mieszkam w samym sercu niekończącego się konfliktu, a jego bolączki, zamiast wygasać, prawdopodobnie jeszcze przybiorą na sile. Moja funkcja wymagała zrównoważonej postawy, ale nie przystawało do niej to, co czułem i myślałem.

Więźniowie i żołnierze byli tak podobni, że gdyby zamienić mundury na podarte koszule, jedni staliby się drugimi. Przez głowę przebiegły mi słowa, które gdzieś przeczytałem: kto wygrywa, w jakikolwiek sposób by nie wygrał, nigdy nie odczuwa wstydu. Zaciskając zęby, stanowczo odparłem prze-rażającą myśl, że nic nie można zrobić i że umiera już nawet nadzieja.

Ojciec Giancarlo, który czekał na mnie na korytarzu, zauważył, że jestem zdenerwowany. Zmartwił się i zapytał, co się wydarzyło. Uspokoilem go, zmieniając wyraz twarzy i zmuszając się do uśmiechu. Mój sekretarz, który ciągle wyglądał na wzburzonego (kiedyś będę go musiał zapytać, dlaczego, może wynikało to zwyczajnie z jego charakteru), podał mi kopertę, którą właśnie przywiózł kierowca Grubera. Poszedłem do gabinetu. Rzuciłem okiem na leżące na biurku dokumenty, chyba nie było to nic pilnego. Otworzyłem kopertę. Był w niej krótki list.

Wielebny Ojcze

Mam nadzieję, że teraz jest już ojciec spokojniejszy. Biorąc pod uwagę, że czarną mewą okazał się przestępca, który został ukarany przez kogoś tego samego pokroju, Kustodia i franciszkanie pozostają poza nawiasem tej nieprzyjemnej historii. Pro-

szę uważać sprawę za zamkniętą. Poinformuję ojca o dalszym przebiegu śledztwa w sprawie zabójstwa mojego ojca. Zrobię to ze względu na szacunek, jakim ojciec go darzył, co przyjąłem z wielką radością.

Z poważaniem

Nadav Gruber

Wezwałem Vidigala. Okazało się, że podziela moje zdanie. Dziwiło nas to nagłe rozwiązanie sprawy i bynajmniej nie uspokajało. Kilka pytań wciąż pozostawało bez odpowiedzi. Na przykład, kto wysłał zdjęcia, co one oznaczały i dlaczego ktoś próbował wciągnąć w to Kustodie.

Kiedy opowiedziałem mu o wizycie u Szejka i jego tajemniczym gościu, Vidigal długo kręcił głową i stwierdził, że jego zdaniem historia czarnej mewy dopiero się zaczyna. Mimo wszystko miał nadzieję, że moje wyjaśnienia uspokoiły braci innych wyznań. Nie rozumiał jednak, dlaczego prawosławny patriarcha Alekos nie pokazał mi zdjęcia. Niemożliwe, żeby go nie dostał, przecież był biskupem najbardziej licznej wspólnoty.

Przybył ojciec Giancarlo, oczywiście zasapany. Przyniósł wiadomość o zawaleniu się pobliskiej szkoły w chrześcijańskiej dzielnicy. Natychmiast poszliśmy z Vidigalem sprawdzić, czy możemy zaoferować pomoc i wsparcie. Kiedy dotarliśmy na miejsce, właśnie wyciągano ciała trzech młodych Przyjaciół ze Skąty. Wokół nich dostrzegłem przepelnioną rezygnacją ból krewnych, jakby ta sytuacja należała do obowiązkowych punktów dnia, a bycie zabitym w taki sposób było równie naturalne jak spanie czy jedzenie.

- Najlepszymi klientami Matki Śmierci są zawsze biedacy
- zawołał Vidigal i dodał:

- Mateo, twoja obecność nie jest tu już potrzebna. Zosta-
nę, żeby pomodlić się za zmarłych i opłakiwać ich z rodzi-

nami. Ty idź do dzielnicy ormiańskiej, żeby dowiedzieć się czegoś o czarnej mewie. Porozmawiaj o tym z ich biskupem. Mam wrażenie, że może dojść do dalszych nieszczęść, jeśli nie dowiesz się, kim naprawdę był Igor Ter Ovanesian.

Powiedział jeszcze, że powinienem działać z taką samą ostrożnością, jaką dotychczas wykazywałem. A na koniec:

- Pamiętaj Mateo, że w Jerozolimie nie można wyglądać na tego, kim się jest.

Szybko przeszedłem obok Patriarchatu Łacińskiego w nadziei, że nikt mnie nie zauważy. Nie miałem ochoty na rozmowy. Minąłem też melchicki kościół. Do ujemnych stron bycia kustoszem należało to, że często zatrzymywano mnie na ulicy, żeby o coś zapytać albo złożyć wyrazy szacunku.

Jerozolima była ciągle tym samym miastem, trapiionym licznymi troskami, które przeplatały się z zimnym wiatrem, chmurami, a chwilami gorącym słońcem. Nowe Miasto rozpościera się dziś na wzgórzach. Doliny pozostały zielone. W nowych dzielnicach mieszkaniowych, pomiędzy rzędami bloków stawianych przez budownictwo publiczne, ulice są szerokie. Uliczki Starego Miasta są wąskie, strome, stare, wałące się. Wiele jest zadaszonych. Pod kamiennym wałem obronnym, wzniesionym przez brytyjskiego inżyniera po pierwszej wojnie światowej, jest brama, którą Przyjaciele ze Skały zbudowali nad wieżą krzyżowców, której fundamenty sięgały epoki panowania Heroda. Rzymski łuk z I wieku wznosi się na antycznej posadzce Kuzynów od Ściany, która łączy absydę bizantyjskiego kościoła z wierzchołkiem hellenistycznej kolumny. Arabski karawanseraj z VIII wieku znajduje się częściowo na rzymskiej wieży z III wieku, a częściowo na fortecy Kuzynów od Ściany, wybudowanej prawie sto dwadzieścia lat przed masakrą, której dokonał Nabuchodonozor.

Spacerując uliczkami Starego Miasta, czułem się czasem jak w więzieniu. Wydawało mi się, że balansuję na skraju przepaści. Kiedy wychodziłem na Górę Świątynną, miałem wrażenie, że unoszę się i zostaję przeniesiony w górę. Stałem na murach Heroda, ze spokojem patrzyłem na horyzont przez otwory strzelnicze, myśląc, że kiedyś były narzędziem wojennym, bo stąd na oblegających miasto wylatywały strzały i spadał gorący olej.

Cytadela blisko Bramy Jafskiej odważnie stawia czoła tysiącleciom. Jej wielkie wieże zbudowano na polecenie szalonego Heroda, zanim Święte Miasto zostało zburzone przez Rzymian. Opierały się na hasmonejskich ruinach z epoki Izażasza i Jeremiasza. Pałac królewski był wspaniale ozdobiony, w środku znajdowały się sale bankietowe i ogromne sypialnie, z których każda mogła pomieścić stu gości. Potem zamienił się w Pretorium, gdzie Poncjusz Piłat wydał wyrok na Jezusa, a żołnierze upletli koronę cierniową i włożyli ją na głowę naszego Pana.

Prawdziwa Via Dolorosa, jeśli w ogóle taka istniała, o czym zawsze mówię moim studentom, rozpoczynała się w tym miejscu i prowadziła przez bazar. Kiedy Tytus zrównał Święte Miasto z ziemią, na pamiątkę zwycięstwa pozostawił nienaruszone trzy olbrzymie wieże Cytadeli. Chciał pokazać potomnym, że mimo okazałych fortyfikacji męstwo Rzymian pozwoliło unicestwić Jerozolimę. Wiele wieków później główna wieża stała się siedzibą królów dowodzących krzyżowcami. Saladyn obserwował stąd zmierzające w różnych kierunkach dwa szeregi pokonanych chrześcijan, którzy opuszczali zdobyte przez niego miasto. Ubodzy szli do niewoli, ci, którzy byli w stanie zapłacić okup, mogli cieszyć się wolnością. Sułtana poruszył widok całej rzeszy chrześcijan poddających się zniewoleniu, podczas gdy patriarcha

Herakliusz, wolny dzięki swoim pieniądząm, szedł, uginając się pod ciężarem złota, które miał na sobie, a za nim jechały wozy wypełnione srebrem i cennymi dywanami. Dzisiaj wieża jest częścią nowego muzeum historycznego, w którego powstanie włożyłem swój wkład kilkoma cennymi przedmiotami z wykopalisk.

Przeszedłem obok koszar policji, które kiedyś były rezydencją Heroda, a potem stały się oficjalną siedzibą rzymskich prokuratorów, gdy z Cezarei przyjeżdżali do Jerozolimy. W tamtych czasach reguły były bardziej wyraźne. Rzymianie zaprowadzali swoje prawo i pokój poprzez pozbawione skrupułów i inteligentne oddziaływanie. Dzisiaj nikt już niczego nie zdobywał i nie było mowy ani o prawie, ani o pokoju, istniała tylko nienawiść. W tej rezydencji Herod przyjął Trzech Króli, którzy przybyli ze Wschodu, żeby złożyć hołd Jezusowi.

Drogą prowadzącą wzdłuż koszar doszedłem do dzielnicy ormiańskiej, która sięgała do Bramy Syjońskiej, otwartej w 1540 przez Sulejmana, by umożliwić bezpośredni dostęp do terenu św. Wieczernika. Po przejściu krótkiego, przysłoniętego sklepieniami odcinka po prawej stronie zobaczyłem ogrody Pałacu Patriarchalnego, a po lewej ormiański klasztor, który był połączony z kościołem św. Jakuba Starszego. Zatrzymałem się na modlitwę w kaplicy wybudowanej w miejscu, w którym święty został ścięty. Słuchałem chóru młodych mnichów, który dostarczył mi miłych wzruszeń. Ten śpiew docierał do mojego serca, wnikał w duszę, poruszał mnie do żywego. Niósł w sobie ból z powodu niedoskonałości człowieka ale także pamięć o cierpieniu i diasporze narodu ormiańskiego.

Po wyjściu z kościoła skierowałem się w lewo i znalazłem się na placu przed budynkiem, w którym mieściła się siedziba Patriarchatu. Biskup Vartan, wysoki męczyzna z bujną,

czarną brodą i ciemnymi, błyszczącymi oczami, oczekiwał mnie w swoim gabinecie na pierwszym piętrze. Był to mały pokój, oszczędnie umeblowany pokój, z fotografiami Jerozolimy z początku XX wieku na ścianach. Biskup od razu postawił przede mną taki problem:

- Jeśli zobaczę śmierć, która do mnie przyjdzie, jak zapamiętam ten moment?

Odpowiedziałem:

- Mamy tylko jedno ciało i nie możesz sobie kupić drugiego, jak każdej innej rzeczy, którą można wymienić na nową.

Moje słowa go przekonały, dał mi to w każdym razie odczuć. Poczęstował mnie lemoniadą i wspomniał, że od 1500 roku Ormianie i franciszkanie są przyjaciółmi i sojusznikami. Oczywiście on też otrzymał zdjęcie. Przyjął moje wyjaśnienia dotyczące czarnej mewy, a hipoteza o rodaku przebranym za zakonnika nie wydawała się zbyt go martwić. Być może nie pamiętał twarzy wszystkich swoich wiernych. Poradził, żebym poszukał pana Kaciaturiana, który mi pomoże. Mówiąc to, uśmiechnął się po ojcowsku. Z entuzjazmem przystał na koncert dla pokoju na Górze Nebo.

Po wyjściu z Patriarchatu poszedłem drogą wiodącą wzdłuż Klasztoru Drzewa Oliwnego. Nazywa się tak z powodu zachowanego w tym miejscu drzewa, do którego przywiązany był Jezus w noc skazania przez Annasza. Zatrzymałem się, żeby zmówić *Ojciec nasz*. Kilka metrów za klasztorem, po prawej stronie, zauważyłem drzwi, które wyglądały jak wydrążone w murze. Przypomniałem sobie, jak pewnego razu wybraliśmy się z matką do Timpone, wyżej położonej części wyspy z domami stojącymi blisko Sciarra del Fuoco¹². Bardzo zaciekał nas stary mur, kilka metrów za domem zmarłej rok wcześniej wiekowej Filomeny, która trudniła

¹²W dialekcie sycylijskim ściana wulkanu.

się zbieraniem i sprzedażą kaparów. Bardziej niż sam odrapany mur, na którym plamy wilgoci prawie zupełnie wypłukały dawny, szary kolor, zainteresowały nas drzwi z ciemnego drewna, przyozdobione różnorodnymi wzorami. Były oświetlone lampą z kutego żelaza, pomalowaną na zielono. Te drzwi wydawały się obrazem. Próbowaliśmy zgadnąć, co jest w środku. Mama uważała, że kuchnia, ja, że kolejne drzwi, a potem następne i jeszcze jedno, i tak w nieskończoność. Mama śmiała się z moich fantazji. Postanowiliśmy je otworzyć, ale były zamknięte na klucz, a nie znaleźliśmy żadnego dzwonka. Mama stwierdziła w końcu, że może mam rację. Wiele razy tam wracałem i sprawdzałem drzwi. Uspokajało mnie to. Jednak nigdy nie zdołałem ich sforsować, a po jakimś czasie przestało mnie już interesować, kto lub co się za nimi znajduje. Stały się moim talizmanem, a mojej mamie, która chciała znać powód takiego wyboru, powiedziałem, że nie ma w tym niczego dziwnego. Niektórzy wybierają czerwony róg, ja wolałem drzwi.

A teraz, kilka kroków od świętego miejsca, w którym osądzono Jezusa, w dzielnicy ormiańskiej, zobaczyłem niemal identyczne drzwi, jak wtedy w Timpone. Tym razem jednak klamka od razu ustąpiła i wszedłem do ciemnego pomieszczenia, które mogło być jakimś magazynem. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do półmroku - jedyna smużka światła pochodziła z okienka na górze po prawej stronie - odniosłem wrażenie, że znajduję się w przestronnym pomieszczeniu. Potem na ścianie przed sobą zauważyłem znaki, które zdawały się tańczyć w słabym oświetleniu. Chwilami znikwały, a potem znowu się pojawiały.

Ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że są to nuty, które ktoś wyświecła z projektora. Dostrzegłem też liczne przed-

mioty leżące na szerokim i długim stole, który mógł nasuwać skojarzenie ze stołem zegarmistrza, ale w powiększeniu. Piętrzyło się na nim kilka par skrzypiec, dwie altówki, wiolonczela, smyczki, partytury, trąbki, dwa klarnety, garnki, kieliszki, widelce i noże. Przy ścianie naprzeciwko wyświetlanych nut stały dwa fortepiany i dwa pianina. Zwrócone przodem do siebie fortepiany wyglądały jak przygotowane do koncertu.

Pomyślałem, że może to jakiś magazyn używanych instrumentów. Zauważyłem człowieka stojącego za projektorem. Miał na sobie aksamitną marynarkę w mieniącym się, brązowo-zielonym kolorze, a na głowie myckę. Zapytałem, czy nazywa się Kaciaturian. Przytakująco skinął głową i mało przyjaznym tonem dodał:

- Jest pan kolejnym łowcą nut?
- Nie - opowiedziałem.
- Paru się tu już dzisiaj zjawilo, zabierając mi czas.

Potem zapytał, czy znam Bacha. Stwierdziłem, że to oczywiście.

- Proszę się nie irytować, wielu ludzi nie wie tak naprawdę, kim jest Bach. Jak bardzo go pan lubi?

- Zajmuje w moim sercu pierwsze miejsce.
- Ośmiogłosowe motety przypominają mi śmiałą architekturę katedry w Strasburgu. Wzruszam się, czytając partyturę Mistrza. Poruszają mnie tajemnicze zasady kontrapunktu i ogarnia mnie potrzeba wyświetlenia tej muzyki. Podobna mi się bardziej od filmu. Domyślam się, że nie rozpoznał pan sekwencji nut, które muskały ścianę.

Ironycznym tonem poinformował mnie, że były to *Wariacje Goldhergowskie*. Wyraził nadzieję, że ze względu na moją wewnętrzną równowagę słyszałem już tę nazwę. Uśmiechnąłem się i nie odpowiedziałem, uznając, że chce

mnie sprowokować. Teraz, gdy przyzwyczailem się już do półmroku, mogłem przyrzeć mu się lepiej. Był średniego wzrostu, miał masywną sylwetkę, długie, siwe włosy, lekko wygięty nos, szerokie czoło, gęste brwi, niebieskie, wyraziste oczy. Delikatny podbródek kontrastował z twardą linią ust, naznaczoną małymi i ciągłymi skurczami warg. Jego dłonie były szerokie, mocne, zadbane, a bardziej wrzecionowatych palców nigdy nie widziałem. Mógł mieć siedemdziesiąt albo więcej lat.

Podszedł do stołu, który wydawał mi się pomnikiem stojącym pośrodku placu, a jego dłonie zaczęły poruszać się z wielką zwinnością, jakby dotykał nimi klawiatury.

Zawołał:

- Muzyko, z wielkim szczęściem wymawiam twoje imię, bo ty i ja jesteśmy kochankami!

Odczułem w stosunku do niego pewien rodzaj podziwu pomieszanego z irytacją. Między trąbką i garnkiem stały papierowe torebki wypełnione tytoniem. Do każdej z nich ostrożnie wlał kilka kropel wina. Potem wysypał ich zawartość do dużej tabakierki, z której wziął szczyptę tytoniu, z przyjemnością wciągnął jego zapach i palcami wcisnął do główki fajki w kształcie skrzypiec.

- Ta fajka ma sto lat, jest dziełem wybitnego lutnika, mojego dziadka. Odziedziczyłem ją wraz ze sztuką tworzenia skrzypiec. W całej Jerozolimie nigdy nie mieliśmy sobie równych w tym fachu.

Uśmiechnąłem się, a on stwierdził, że mój wyraz twarzy pozwala mu się domyślać, że nie należę do kategorii osób grających na instrumentach. Odparłem, że zajmuję miejsce wśród tych, którzy umieją słuchać nut.

- A gdzie pan słuchacz - ciągnął dalej - nauczył się tej sztuki?

- W Jerozolimie. Mieszkam w Świętym Mieście od czterdziestu lat.

- Ach tak! - wykrzyknął i nie byłem pewien, czy oznaczało to aprobatę. Wziął jedno ze skrzypiec i zaintonował sonatę Bacha.

- Czy kiedykolwiek zdoła pan zrozumieć taką muzykę?

Podobnie jak wcześniej nie dał mi czasu na odpowiedź, tylko stwierdził, że jeśli uda mi się uchwycić czystość Bacha, zrozumiem muzykę. Wyszczrzył zęby z zadowoleniem i dodał, że zbyt wielu jest takich, którzy z groteskowym entuzjazmem krzyczą: „To my jesteśmy wybrańcami, to my możemy tworzyć”.

Do królestwa, w którym rządzą nuty, wchodzi się przez złotą furtkę. Tylko niewielu udaje się ją sforsować. A kiedy już się tam znajdują, napotykają swoje najlepsze sny i swoje najgorsze koszmary. Potrzebna jest równowaga, żeby nie zwariować. Zapytał, czy wiem, czym jest równowaga. Wydawało mi się, że tak. Wyraził nadzieję, żeby okazało się to prawdą. Pewnego razu wszedł do królestwa nut i zobaczył wielkie oko, z którego wydostawały się wspaniałe brzmienia, po czym natychmiast zaczynały krążyć wokół jego głowy i ciała. Oko otworzyło się szerzej i zamieniło w studnię. Miał ochotę rzucić się do niej, ale odczuwał strach. Przerwał na chwilę. Czekał, że zaciekawiony spytam dlaczego. Dotarło to do mnie i wyszeptalem:

- Dlaczego?.

- Mój nowy przyjaciel chce wiedzieć, dlaczego? Według pana gdzie bym się znalazł?

Rozłożyłem ręce. Lutnik z wyrazem triumfu na twarzy spokojnie mówił dalej. Spadłbym na miękkie nuty, czy ostre gwoździe, które rozdarłyby mi duszę i ciało? Tak czy owak dokonałem wyboru, decydując o swoim losie. Nie stałem się

twórcą nut ani nawet ich interpretatorem. Wiedział, że będzie żył, krążąc wokół studni. Czy zawsze? Tak, i na początku było to trudne. A później? Zgodził się zostać lutnikiem. Wielkim lutnikiem, jak jego ojciec i dziadek.

- Wielkim jak Stradivari?

Westchnął przeciągle. Stwierdził, że skoro od tylu lat mieszkam w Świętym Mieście, nie mogę nie wiedzieć, że najstarszy i jedyny w swoim rodzaju jerozolimski lutnik buduje skrzypce wydobywające nuty, które nie docierają do nieba, ale zostają wchłonięte przez najniższe obłoki. W Jerozolimie brakowało tego surowca, który Stradivari i Guarneri znaleźli w naturze.

Powiedział mi jeszcze, że poza Bachem uwielbia też Glucka za proste pomysły i śmiałe modulacje. Jaka była tajemnica Glucka? Melodie w dawnym stylu francuskim, doprawione sosem z niezłomnej, niemieckiej pracy. Każdy artysta powinien zawrzeć w swojej kompozycji jakąś tajemnicę, bo inaczej nie jest artystą. Potem nieoczekiwanie spytał:

- Jaka jest pańska tajemnica, Wielebny Ojczy?

- A więc wie pan, kim jestem...

- Nie odpowiedział ojciec.

- Moją tajemnicą jest dalsze prowadzenie badań i wydobywanie mozaik.

- Brzmi to trochę akademicko i proszę wybaczyć, nieco banalnie. Podaruję ojcu tajemnicę.

A potem dodał:

- Jest to ogólnie dostępna tajemnica, mająca zastosowanie również wobec najjaśniejszego Kustosza Ziemi Świętej, który odzyskując dla potomności mozaikę, dokonuje artystycznego aktu.

Roześmiał się ze swojego żartu, spojrzął na zegarek i pokiwiał głową. Zapytał, czy jestem głodny. I jak poprzednio

nie zdążyłem odpowiedzieć, bo zniknął za zasłoną i wrócił niosąc w jednej ręce dużą tacę z chlebem, szynką, serem i jajami na twardo, a w drugiej dwie butelki ormiańskiego wina. Powiedział, że to dla niego wielki zaszczyt podejmować w swoim domu Kustosza Ziemi Świętej i że biskup Vartan poinformował go telefonicznie o mojej wizycie.

Położył tacę na stole, a obok po dwa talerze, kieliszki, noże i widelce. Wziął dwa krzesła i postawił jedno koło drugiego. Jedliśmy, piliśmy i rozmawialiśmy. Lutnik powiedział mi, że budując instrument podobny do tego, na którym zain-tonował sonatę Bacha, jest przekonany, że przypomina Indiankę Pueblo lepiącą garnek z gliny, która naśladuje głosem dźwięk naczynia wypalanego w piecu. W ten sposób próbuje zapobiec popękaniu swojego garnka.

- Czy śpiewa pan, budując instrument?

- Towarzyszy mi śpiew, Wielebny Ojcze, ale mam go w sercu.

Z wielką estymą ujął w dłonie drugie skrzypce i poprosił, żebym przyjrzał się lakierowi i fakturze. Zain-tonował kolejną sonatę Bacha. Czy dźwięk tego instrumentu nie wydawał mi się piękny? Był wspaniały. A czy mógł się równać Stradivariusowi? Odpowiedziałem, że chociaż nie jestem ekspertem, myślę, że są naprawdę pierwszorzędnej jakości. Były dziełem jego dziadka. Tego od fajki? Tak. Ale nie wyrzeźbił jej w Jerozolimie tylko w Izmirze.

Wypił następny kieliszek wina i przybliżył swoją twarz do mojej. Był teraz bardzo poważny.

- Za każdym razem, gdy rozmawiam z młodszymi przyjaciółmi, uświadamiam sobie, że między naszą terażniejszością i przeszłością zawaliły się wszystkie mosty. Porwała je fala czasu i wojen. Tacy, jak ja przeszli przez cały katalog możliwych katastrof i jeszcze nie dotarli do ostatniej strony.

Mój dziadek twierdził, że artysta nie powinien zajmować się polityką, ale istnieją pewne okoliczności, sytuacje, które go zobowiązują. My, Ormianie, wiele wycierpieliśmy. Żyjemy zamknięci w tej dzielnicy. Tworzę skrzypce dla nielicznych. Wielbny Ojcze, dlaczego nigdy mnie ojciec nie odwiedził?

Musiałbym mu powiedzieć, że nie wiedziałem o jego istnieniu, ale z pewnością by się obraził. Zamiast tego zapytałem:

- Kim jest Igor Ter Ovanesian?

- Igor Ter Ovanesian?

W jego głosie słychać było autentyczne zdziwienie.

- Tak.

- Proszę mnie dobrze posłuchać, Wielbny Ojcze. Jeśli ojciec pozwoli, zabiorę go w podróż po minionych czasach. Jest rok 1922. Nacjonalistyczne wojsko tureckie pod dowództwem Mustafy Kemala Paszy atakuje oddziały greckie w Durniu Dunar, trzysta kilometrów od Izmiru. Grecy przegrywają bitwę i wycofują się, podążając w kierunku miasta. W zemście za porażkę mordują wszystkich napotkanych po drodze Turków. Palą, rabują i gwałcą. Niszczą każdą wioskę. Dochodzą do morza i wsiadają na swoje statki.

Kiedy oddziały Mustafy Kemala docierają w pobliże Izmiru, napotykać zgliszcza. Rozpętuje się nagonka na niewinnych Ormian. 9 września Turcy okupują Izmir. Wielu z nas, przekonanych, że Grecy wrócą nam pomóc, pozostało w mieście. Jednak ci bandyci już odpłynęli, a my musimy za nich płacić. Rozpoczyna się masowe zabójstwo. Turcy znajdują listy członków Ligi Obrony Ormian Azji Mniejszej. Zabierają ich nocą z domów i zabijają. Potem przychodzi kolej na kobiety, starców i dzieci. Zarzynają ich na ulicach, okaleczają ich ciała. Drewniane ściany kościołów polewają

benzyną i podpalają. Ci, którzy szukają drogi ucieczki, próbując uniknąć spalenia żywcem, zostają zakłóci bagnetami. W wielu dzielnicach płoną splądrowane domy, podsycany wiatrem ogień swobodnie się rozprzestrzenia. Całe miasto obraca się w popiół. Turcy otaczają Izmir, by nikt nie mógł się wydostać z tej ściany płomieni. Ci, którym udaje się uciec, zostają zastrzeleni albo wrzuceni do ognia jak drewno na opał. Jesteśmy dla nich tylko niewiernymi, którzy jedzą wieprzowinę. Ten ogrom zniszczenia pochłania życie stu dwudziestu tysięcy Ormian. Izmir zamienia się zbiorową mogiłę. Wielu próbuje dotrzeć do statków zacumowanych w wewnętrznym porcie, ale bezskutecznie. Rozszarpane kulami ciała długo unoszą się na powierzchni zabarwionej na czerwono wody. Turcy wreszcie są zadowoleni. Niewierne miasto odkupiło swoje grzechy.

Lutnik miał łzy w oczach.

- Cała moja rodzina zginęła w tej potwornej rzezi. Tylko mój ojciec uszedł z życiem, zabierając ze sobą cenne skrzypce dziadka i nieodłącznego przyjaciela, Igora Ter Ovanesiana.

Igor Ter Ovanesian

Lutnik był bardzo wzruszony. Ta opowieść obudziła w nim straszne wspomnienia. Zauważyłem, że cierpi. Drżała mu górna warga, unikał mojego wzroku, jakby z góry chciał odrzucić moje współczucie i dać mi do zrozumienia, że nie będzie dla niego stanowiło żadnej pociechy. Moglibyśmy się wspólnie pomodlić, ale nie wyglądał na kogoś wykazującego szczególnie entuzjazm dla religii. Na jego twarzy malowały się różne emocje. Wyznałem, że naprawdę mi przykro, że wywołałem w nim ten niepokój. Odpowiedział w zaskakujący sposób:

- Ojciec poślubił moją matkę w Jerozolimie, dziesięć lat po masakrze. Ale myśląc o moich krewnych, wyobrażałem sobie, że także moja matka ocalała, a ja pozostałem przy życiu, żeby być świadectwem tego koszmaru. Wojna, Wielebny Ojcze, jest najszybszą metodą na przekazanie lub unicestwienie kultury. Uważam, że błędem jest postrzeganie kultury wyłącznie w kategorii słów i idei. Oczywiście, idee są ważne, ale liczą się przede wszystkim obrazy i marzenia. W Izmirze spłonęły nasze marzenia. Nasza tożsamość rozpadła się na kawałki. Właśnie to jest dla mnie torturą.

Chcąc wyjaśnić powód mojej wizyty, starałem się opowiedzieć o tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni. Powiedziałem mu o czarnej mewie, zdjęciach i całej reszcie, po-

mijając jedynie zwierzenia i osobiste sprawy Grubera, które z pewnością niewiele by go interesowały. Podsumowałem, że z dużą dozą prawdopodobieństwa czarna mewa była krewnym, a może nawet wnukiem tego Igora Ter Ovanesiana, który uratował się z jego ojcem. Ale chciałem mieć pewność, że to właśnie on, a nie jeden z moich braci zakonnych leży w kostnicy, żeby oddalić od Kustodii niebezpieczeństwo, które miało postać zorganizowanego spisku. Na jego czele stał ktoś, kto chciał zwiększyć chaos panujący w Jerozolimie.

Lutnik uśmiechnął się w nieodgadniony sposób i zapytał, ile lat miała czarna mewa. Powiedziałem, że wyglądała na pięćdziesiąt. Z pewną wyniosłością w głosie stwierdził, że przechowuje dla mnie niespodziankę.

Poprosił, żebym za nim poszedł. Wyszliśmy z domu. Napotkaliśmy dzieci, które grały w piłkę i bawiły się w ciuciu-babkę.

- Widzi ojciec, jakie są szczęśliwe? Nie wiedzą, że po drugiej stronie chroniących nas murów Męczennicy Allacha wysadzają się w powietrze, pociągając za sobą tyłu nie winnych ludzi.

Minęliśmy Seminarium, przeszliśmy przez kilka ogródków na ogrodzonym terenie i dotarliśmy do małego, półkolistego placu. Było tam kilka otwartych sklepów, weszliśmy do spożywczego. Mój towarzysz przedstawił mi właściciela - niskiego, krępego, łysiejącego mężczyznę - obok którego stały dwie identyczne dziewczynki. Nazywał się Naturian. Poinformował mnie z dumą:

- To są moje bliźniaczki.

Powiedziałem, że są bardzo ładne. A on:

- Życie w Jerozolimie jest coraz trudniejsze, ale jest w nim coś pozytywnego. Zmusza nas do rozmów, do większej jedności. Przynajmniej tak jest wśród nas, Ormian.

Kiedy lutnik wyjaśnił mi, że jestem przełożonym wszystkich franciszkanów w Ziemi Świętej, Naturian koniecznie chciał mnie zaprosić na obiad. Byłby to dla niego i całej rodziny ogromny zaszczyt. Mieszkał na ostatnim piętrze tego samego budynku, w którym znajdował się jego sklep. Podziękowałem, gdyż zjadłem już z lutnikiem.

Wzruszył ramionami:

- Pozwolę sobie nalegać. Dobry obiad jest jak piramida - zbliża do nieba. A w pustce i jałowości niektórych dni daje przyjemność i pokrzepienie.

Byłem zmuszony przyjąć zaproszenie. W czasie dalszej rozmowy powiedziałem mu, że przyszedłem do dzielnicy ormiańskiej, żeby zasięgnąć informacji o jakimś Igorze Ter Ovanesianie.

Uśmiechnął się, a potem krzyknął:

- No tak, teraz wszystko jasne!

Spojrzał porozumiewawczo na lutnika, który pożegnał się, mówiąc, że niedługo do nas dołączy. Miał coś do zrobienia.

- Zanim wejdziemy na górę, chcę ojcu pokazać mój sklep - powiedział zdecydowanym tonem Naturian, a bliźniaczki klasnęły w dłonie.

- Wie ojciec, dlaczego tak się cieszą? Bo dostaną prezent.

Bliźniaczki krzyknęły z radości i rzuciły się ojcu na szyję.

- Dam wam cukierki, ale zjecie je dopiero po kolacji.

Naturian zaczął mi opisywać sklep jakby był pinakoteką.

- Widzi ojciec, jaki piękny? I funkcjonalny. Tutaj chcę postawić dodatkowe półki, na tej ścianie będą wina: izraelskie, kalifornijskie a przede wszystkim włoskie. Mam tyle planów do realizacji, gdy nastanie pokój. Ale czy się doczekamy, Wielebny Ojczy?

- Mam nadzieję - powiedziałem nieco zmęczonym głosem. Nie zauważył tego i z poważną miną zapytał:

- Woli ojciec długi, czy krótki makaron?

Popatrzyłem na niego z zakłopotaniem, a on stwierdził, że Ormianin gotujący makaron nie powinien mnie dziwić. Nauczył się tego we Włoszech, gdzie pracował jako kucharz, zanim przeprowadził się do Jerozolimy.

- Mogą być rurki, czy woli ojciec spaghetti?

Odpowiedziałem, że rurki, myśląc z rezygnacją w duchu, że okupię moje zainteresowanie osobą Igora Ter Ovanesiana niestrawnością. Sytuacja wydawała się nierzeczywista. Znajdowałem się w sklepie spożywczym w ormiańskiej dzielnicy Jerozolimy, decydując, jaki rodzaj makaronu mam zjeść w towarzystwie Naturiana, który wkładał teraz do tekturowej walizki wędliny, oliwę, ocet, konserwy, sery, powidła, miód, sól, kawę i chleb. Kiedy patrzyłem na tę jego krzątanicę, spontanicznie wyrwało mi się pytanie:

- Musi pan wyjechać?

- W tych czasach nigdy nie wiadomo.

Po chwili Naturian zdał sobie sprawę, że odnosiłem się do walizki i wybuchnął śmiechem, klepiąc się po brzuchu.

- Wszystkie te smakołyki wylądują w środku.

- Tatuś jest żarłokiem - zawtórowały mu bliźniaczki. Naturian zaśmiał się i błyskawicznie odwrócił w stronę dziewczynek, które napełniały sobie kieszenie cukierkami i czekoladkami.

- Widziałem was, jedną i drugą.

Jego ton nie był surowy i dziewczynki, niewzruszone, robiły swoje. Naturian mrugnął okiem i mówił dalej.

- Podzielę się z ojcem moimi planami. Kiedy skończy się wojna, dwukrotnie zwiększę powierzchnię sklepu. Zwalnia się pasmanteria obok. Właścicielka przechodzi na

emeryturę i jest gotowa odstąpić mi lokal. Chciałbym zostawić córkom dobrze prosperujący interes, żeby miały zapewnioną pracę. A w nowym sklepie, który otworzę blisko Grobu Świętego - jeden już sobie upatrzyłem, za bardzo dobrą cenę - będą miał zabawki. Ale niezbyt drogie. Jerozolima nie jest bogata.

Zapytałem go, dlaczego chce otworzyć tego rodzaju sklep na Starym Mieście. Odpowiedział, że w dzielnicy chrześcijańskiej nie ma podobnego i jest przekonany, że będzie cieszył się wielkim powodzeniem. Jego zabawki będą też kupować klienci z żydowskiej Jerozolimy i w ten sposób uda się połączyć to, co teraz jest podzielone.

- Wielebny Ojczy, proszę sobie wyobrazić, że dzieci chrześcijańskie, żydowskie i muzułmańskie grają wspólnie w remikę. Chcę przywrócić dawne zabawy, przy których siedziało się wspólnie przy stole, z dużym talerzem ciastek. Współżyciowictwo było wtedy pozbawione nienawiści i chciwości. Pewnego dnia jerozolimskie dzieci będą żyły w ciszy pokoju, z dala od wojny. By zapomnieć o wszelkich zniewagach będą potrzebowały dawnych zabaw, pozwalających porozumiewać się i przebywać razem, takich jak gra szklanymi bilami. Zawody polegały na tym, żeby wrzucić **bilę** do najbardziej oddalonego dołka. Wygrywał ten, komu udało się za pierwszym lub drugim razem. Dzisiaj te twarde i nietłukące się kulki wystrzeliwane są z proc w kierunku żołnierzy.

Naturian mówił pod wpływem silnej inspiracji, z przekonaniem. Podobał mi się jego entuzjazm i czystość intencji, ale myśl o kolejnym posiłku po tym wszystkim, co zjadłem u lutnika, przyprawiała mnie o dreszcze. Zdawałem sobie jednak sprawę, że chwile spędzone w jego domu będą wyrazem przyjaźni i jedności. Nie wiem, czy domyślił się, co mnie trapi.

Wziął mnie serdecznie pod rękę i wyprowadził ze sklepu. Na ścianie obok żaluzji namalowany był krucyfiks, a pod nim napis, którego wcześniej nie zauważyłem: „Nie chcemy wojny. Pozwólcie nam płakać w spokoju”.

Zapytałem, czy to jego dzieło. Przytaknął i powiedział, że chce podarować mi trochę dobrego sera dla współbraci. Zacząłem się śmiać w taki sposób, że spojrzał na mnie zmartwiony i stwierdził, że być może franciszkanie nie lubią sera.

Poprosiłem, żeby mi wybaczył i opowiedziałem mu o zdarzeniu przy punkcie kontrolnym w Gazie. W geście solidarności uściśnął mi prawą dłoń, a gdy wróciliśmy do sklepu, wziął caciottę i włożył ją do kartonowego pojemnika.

- Tego nikt się nie ośmieli ojcu zabrać! - zawołał.

Potem karcącym wzrokiem spojrzał na bliźniaczki, które dalej napychały sobie kieszenie słodyczami. Pomogłem mu opuścić żaluzję. Poszliśmy na górę, do jego mieszkania. Schody były wąskie i strome. Na trzecim i ostatnim piętrze dostrzegłem tylko jedne drzwi. Były otwarte. Wszedłem pierwszy. Naturian powiedział mi z dumą, że mieszkanie jest bardzo duże. Bliźniaczki zniknęły w korytarzu. Mężczyzna zaprowadził mnie do kuchni, która znajdowała się po lewej stronie, zaraz przy wejściu. Była bardzo przestronna, ale niezbyt jasna, bo okno wychodziło na wewnętrzny dziedziniec. Lutnik siedział przy dużym, marmurowym stole i coś polerował. Nie udało mi się zobaczyć, co, może była to niespodzianka, o której wcześniej mówił. Uprzejmie poprosił, żeby pozwolić mu spokojnie pracować. Pani Naturian przygotowywała sos do makaronu. Przyklękając, próbowała pocałować mnie w prawą rękę. Poglaskałem ją po głowie. Naturian powiedział, że nie mogą zostać w kuchni i zanim obiad będzie gotowy, pokaże mi mieszkanie. Zaprowadził mnie do swojej

sypialni. Był to obszerny, kwadratowy pokój z łóżem małżeńskim. Obok niego stała szafa, która wyglądała na zabytkową. Właściciel z dumą oświadczył, że to oryginalny ormiański wyrób z dziewiętnastego wieku. W środku pełno było ubrań, ale i tak chciał, żebym ją obejrzał i dotknął wnętrza. To drewno miało swoją historię. Mebel należał do rodziny od ponad stu lat i towarzyszył jej w rozmaitych wędrówkach. Jakimś dziwnym trafem przetrwał wojny, trzęsienia ziemi, powodzie, dwa razy go zgubili, ale za każdym razem znajdowali w nie naruszonym stanie. Nie było takiej rzeczy, która zdołałaby go zniszczyć. Był magiczny i czuwał nad losami rodziny. Na ścianie po prawej stronie wisiało lustro. Wydało mi się ogromne. Naturian zauważył moje zdumienie i sprawiło mu to przyjemność.

- Piękne, prawda? Ma dwa metry wysokości.

Zapytałem, czy pochodzi z tego samego okresu, co szafa.

Odpowiedział, że jest o wiele młodsze.

- Jestem przekonany - stwierdził tajemniczym tonem - że nigdy się nie rozbije.

Weszliśmy do pokoju kąpielowego, który był połączony z sypialnią. Stała tam ceramiczna wanna, wypalona w Damaszku i zainstalowana na krótko przed rozpoczęciem pierwszej Intifady¹³. Pokazał mi mosiężne krany i oryginalny francuski parawan w stylu liberty. Chciał wiedzieć, czy widziałem kiedyś taką łazienkę. Powiedziałem, że podobne były tylko w dużych hotelach.

Poszliśmy do pokoju bliźniaczek. Bardzo dużą przestrzeń zajmowały dwa ustawione równolegle łóżka, dwa małe biurka z krzesłami i ogromna ilość zabawek dawnego typu, jak je

¹³ (arab.) trwające w latach 1987-1991 powstanie palestyńskie przeciwko izraelskiej okupacji terytoriów zamieszkałych przez ludność arabską.

nazywał. Lalki, klocki Lego, modelina, pluszowe misie, loteryjka liczbowa, a nawet stół do ping-ponga. Zadowolony mruknął do mnie porozumiewawczo.

Powiedział, że teraz pokaże mi coś niezwykłego. Poszliśmy w lewo, w głąb korytarza, który kończył się czterema schodkami prowadzącymi do przeszklonych drzwi. Gdy je otworzył, zobaczyłem jeden z najpiękniejszych tarasów w Jerozolimie. Wyglądał jak zielony fragment wykrojony z dachu. Przed sobą mogłem podziwiać wszystkie światła Starego Miasta.

Przebiegłem wzrokiem miejsca, które dobrze znałem, ale z tej wyjątkowej perspektywy odkrywałem je na nowo. Kopuła Meczetu Skały wydała mi się mniej złota i nie tak majestatyczna, a wieże Cytadeli wyższe. Pomyślałem, że Jerozolima widziana z domu Naturiana była bardziej bezbronna, wyglądała jak zwyczajne miasto, w którym żywi i zmarli mieszkańcy prowadzą codzienne życie. Z dołu wydawała się bardziej potężna i niebezpieczna dla nas wszystkich.

Na tarasie stał marmurowy stół, taki sam, jaki widziałem w kuchni, krzesła, kamienne akwarium pełne czerwonych rybek. Wpadał do niego strumień wody wypływający z głowy lwa, któremu upływ czasu i opady deszczu przepołożyły nos.

- Gwóźdź programu jest tam.

Pokazał mi fontannę, stojącą w pewnej odległości od ściany. Wokół były posągi.

- Widziałem gdzieś podobną - powiedziałem.

- To dokładna, pomniejszona replika fontanny Berniniego¹⁴ z Placu Navona w Rzymie. Jest w tym domu od

¹⁴ Fontanna Czterech Rzek (wł. Fontana del Fiumi).

wielu lat. Kupił ją mój dziadek, uważam, że jest wyjątkowo piękna. Zgadza się ojciec ze mną?

Powiedziałem, że tak. Weszliśmy do mieszkania przez małe drzwi, których wcześniej nie zauważyłem, i znalazłem się w ośmiokątnej sali. Przy jednej ze ścian znajdował się teatrzyk kukiełkowy z kilkoma rzędami krzeseł, na których grzecznie siedziało przynajmniej trzydzieścioro dzieci w tym samym wieku, co bliźniaczki.

Naturian wyjaśnił mi, że pokazał mi dom, żeby dać czas lutnikowi na przygotowanie niespodzianki.

Zza zasłony wyszedł Kaciaturian, przyjęty gorącymi oklaskami. Pomyślałem, że na pewno wszyscy razem są tu nie pierwszy raz.

Kaciaturian zwrócił się do dzieci:

- Musicie zawsze być wierni swojej wyobraźni, tylko wtedy wasze marzenia będą szczerze.

Znowu rozległy się oklaski, a lutnik zamknął oczy.

- Teraz mnie posłuchajcie. Pewien wędrowiec uciekał przed tygrysem. Chcąc się schować, wskoczył do studni, ale spadając w dół, zobaczył, że na jej dnie siedzi smok, który otworzył swoją olbrzymią i potworną paszczę, żeby go pożreć. Nieszczęśnik złapał się gałęzi dzikiego krzewu, który wyrósł w szczelinach ścian. Gałęzie były cienkie i pomyślał, że szybko się złamią i wpadnie do gardzieli smoka. Gdyby wspiął się wyżej, rozszarpałby go tygrys.

- I co zrobił? - zapytały bliźniaczki.

- Nasz wędrowiec dostrzegł dwie myszy, białą i czarną, które przegryzały pień krzewu. Potem zobaczył, że na listkach rośliny są krople miodu i zlizał je. Pomyślał, że to najlepszy miód na świecie i teraz może umrzeć spełniony.

Bliźniaczki zaczęły płakać.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że śmierć jest silniejsza od życia, ale są rzeczy, które pozwalają lepiej ją przyjąć.

Brawa były krótsze. Pomyślałem, że taki sposób opowiadania dzieciom o śmierci jest okrutny. Nawet jeśli mieszkają w Jerozolimie.

Lutnik zniknął. Widocznie schował się za teatrykiem. Rozsunęła się mała kurtyna i na scenie pojawiła się marionetka z imieniem Dawid wypisanym na piersi. W jednej ręce trzymała procę, w drugiej gruby kij. Krzyczała, że pokona olbrzymiego Goliata i ocali Izrael. Dał się słyszeć pomruk, który zamienił się w wycie. Na scenę wszedł Goliat. Kaciaturian był naprawdę świetny, o ile to on poruszał marionetkami.

Dostrzegłem pewne zmiany w stosunku do oryginalnej historii. Goliat zamienił się w Przyjaciela ze Skały. Dzieci i marionetki pozostawały w ciszy i bezruchu. Wyglądało, że na kogoś czekają. Sonata Bacha na wiolonczelę poprzedziła wejście kolejnej lalki, większej od Goliata i Dawida. Miała dużą brodę wyrzeźbioną z drewna i sympatyczny, raczej poważny i bardzo mądry wyraz twarzy. Jej ruchy były niemal ludzkie. Zbliżyła się do Dawida i Goliata, a potem, zupełnie nie wiem, jakim sposobem, połączyła im ręce, niemal je splatając. Z góry zjechała plansza ze słowem „Pokój”. Marionetki uklęknęły przed lalką z dużą brodą, kurtyna opadła wśród aplauzu i okrzyków „brawo”, „brawo”.

Lutnik wyszedł zza zasłony, żeby podziękować, a potem zbliżył się do mnie z dużą marionetką na rękach. Bardzo poważnym tonem powiedział:

- Przedstawiam Wielebnemu Ojcu Igora Ter Ovanesiana.

Fragranza i Dimmitu

Otwierając oczy, zdałem sobie sprawę, że straciłem przytomność. W głowie czułem ból. Nie mogłem sobie przypomnieć, co się stało, ale nie miałem poczucia, że zagraża mi jakieś niebezpieczeństwo, i to mnie uspokoiło. Odniosłem wrażenie, że ktoś obserwuje mnie dość przychylnym wzrokiem.

Usłyszałem coś, co przypominało dreptanie. Mogłem być w piwnicy pełnej myszy, których na szczęście się nie bałem. Podczas prac wykopaliskowych napotykałem ich tyle, że ich popiskiwania i długie, ruchliwe ogony, które zdawały się czasem wybijać rytm, wcale mnie nie odstręczały, a wręcz budziły sympatię. Pozwalałem, żeby ocierały mi się o ręce i stopy i zawsze zachowywały się bardzo taktownie. Uważałem, że są inteligentne i traktują mnie z szacunkiem.

Przeszedł mnie dreszcz, próbowałem zacisnąć ręce, ale bez powodzenia. Brakowało mi sił. Leżałem na czymś, co przypominało łóżko, a nad głową miałem biały sufit z maleńkimi, kolorowymi prześwitami. Z trudem poruszyłem głowę i prześwity stały się kwadratami. Być może znajdowałem się w sali operacyjnej. Jak się tu dostałem? Z powrotem zamknąłem oczy. Czułem się lekki i ustaliłem, że stan, który odczuwam, jest rodzajem lenistwa funkcji życiowych.

Może kolorowy prześwit był odbiciem kroków jakichś przemieszczających się ludzi. Dokąd szli? Usłyszałem dwa

głosy. Jeden z nich rozpoznałem - należał do ojca Giancarlo - drugiego nie. Jednak skądś go znałem, z czymś mi się kojarzył. Próbowałem sobie przypomnieć. Myśli przebiegały przez moją głowę i splatały się ze sobą.

Każdy człowiek jest w ciągu swojego życia świadkiem wielu zdarzeń. Zachowuje z nich te szczegóły, które zrobiły na nim największe wrażenie. Czas jest doskonałym filtrem upływającego życia. Jest też artystą, bo nadaje poetycki wymiar niedalekiej i odległej przeszłości. Wspomnienia stają się książkami naszej najbardziej osobistej biblioteki. Są ustawione na różnych półkach, obok siebie, ale nie w porządku alfabetycznym. Przy odrobinie wprawy można wybrać to, które jest nam potrzebne w danym momencie.

Teraz z mojej osobistej biblioteki wyłaniał się zapis sytuacji przypominającej tą, w której właśnie się znajdowałem. Wydarzyła się jakieś dwanaście lat temu, na drodze z Madaby do Umm-er-Rasas. Straciłem panowanie nad moim jeepem i z obitą głową wylądowałem w rowie. Ale nie byłem sam. Kto był ze mną tamtego ranka? Z trudem poruszyłem głowę, a potem niemal automatycznie zawołałem:

- Kiedy człowiek upada, potrzebuje kogoś, kto jest w stanie mu pomóc!

- Uratowałam ojca już dwa razy. Ten jest trzeci, Abuna Mateo.

Odpowiedział mi głos z przeszłości. Przez moment ogarnęła mnie panika. Kiedy mi się to zdarzało, na szczęście niezbyt często, zaciskałem pięści tak mocno, aż poczułem ból i wtedy się uspokajałem. Zrobiłem tak, gdy z opóźnieniem dotarła do mnie wiadomość o śmierci ojca, ale teraz nie byłem w stanie. Poczulem uporczywe swędzenie w lewym ramieniu. Próbowałem się podrapać, ale nie przyniosło to żadnej ulgi, palce niezdarnie wykonywały polecenia woli.

Przypomniałem sobie zabawę z dzieciństwa. Udawałem, że jestem jakąś znaną postacią historyczną albo literacką i wyobrażałem sobie, że zachowuję się jak ona.

Byłem Robin Hoodem, ale nie czułem się dobrze w lesie Sherwood. Byłem Andrzejem Bołkońskim, walczącym z francuskimi najeźdźcami, ale był dla mnie zbyt uczuciowy. Byłem Pietro Maroncellim¹⁵ uwięzionym w Spielbergu, ale ucinali mu nogę, a to zdecydowanie mi się nie podobało. Nie mogłem być Rolandem walczącym w wąwozie Roncevaux, bo miał tam zginąć. Postanowiłem, że zostanę jednym z czterech muszkietarów. Od razu wykluczyłem D'Artagnana, bo był chwaliپیęią. Niejasne poczynania Aramis'a były mało przekonujące. Porthos zawsze padał ofiarą niekontrolowanych ataków furii. Athos miał zbyt bolesną i pozbawioną wiary przeszłość.

Kiedy podejmowałem decyzję, że nie zostanę żadnym z muszkietarów, zobaczyłem zbliżającą się do mnie marionetkę Igora Ter Ovanesiana, który uśmiechał się do mnie przyjaźnie i opowiadał, że został wyrzeźbiony w drewnie przez dziadka lutnika, tak jak Stradivarius. Zawsze był amuletem rodziny, wyszedł cało z izmirskiego koszmaru i od wielu lat mieszkał w Jerozolimie. Mimo traumatycznych przeżyć z radością uczestniczył w przedstawieniach mówiących o pokoju. Był już stary i wiedział, że mądrość jest krótszą drogą do śmierci, ale nie mówił o tym dzieciom. Był dla nich rodzajem świętego, a rzeźby świętych mają czasem o wiele większe oddziaływanie niż żywi. Nie powinienem przejmować się tym Kuzynem od Ściany, Gruberem. Wykonywał swoją pracę, a najwyraźniej ktoś go oszukał.

¹⁵ Członek ruchu karbonarskiego, przez lata więziony w austriackich więzieniach.

Zasnąłem, a przynajmniej tak mi się zdawało. Gdy oprzytomniałem, odniosłem wrażenie, że z miejsca, w którym się znajdowałem, wyszło kilka osób. Kiedy udało mi się otworzyć oczy, zobaczyłem rozszerzone źrenice ojca Giancarlo. Wyraz niepokoju i zatroskania na jego twarzy nie poruszył mną jakoś szczególnie, bo przywykłem do jego - nazwijmy to - chwiejności nastroju.

Kiedy zorientował się, że odzyskałem świadomość, wytłumaczył mi, że zdenerwowania zjadając słowa, że zemdlałem przed wejściem do Klasztoru Zbawiciela. Zniżył głos, jakby chciał wyjawić mi jakąś tajemnicę i powiedział, że szczęśliwie dla wszystkich - a ja pomyślałem, że szczęście spotkało tylko mnie - ktoś mnie znalazł i wezwał pomoc. Bracia przenieśli mnie do pokoju. Ilu ich było? Nie było wśród nich przypadkiem ojca Benjamina i całego Dyskretorium? Nie zrozumiał ironii i odpowiedział z powagą, że wielu zatroszczyło się, żeby mi pomóc. Uśmiechnąłem się na myśl, że kilku braci podnosiło moje ciało jak żywą relikwię.

Ojciec Giancarlo mówił dalej z wielkim przejęciem. Odwiedził mnie lekarz Kustodii, stwierdzając, że zostałem uderzony w głowę jakimś przedmiotem. Nie chciano mnie jednak zabić, a jedynie ogłuszyć. Możliwe, że posłużono się gumową pałką, stwierdził ojciec Giancarlo. Mówiąc to, jęknął z bólu, jakby to on otrzymał cios. Potem, tonem kogoś odkrywającego prawdę, szepnął mi do ucha:

- To pewnie jakiś Kuzyn od Ściany.

Nie chciałem zostać w łóżku ani minuty dłużej. Jaki był dzień? Ojciec Giancarlo powiedział, że zostałem napadnięty poprzedniego wieczora, przespałem noc, a teraz była siódma rano. Oprócz lekkiego bólu głowy nic mi nie dolegało. Stwierdziłem, że jestem zupełnie zdrowy. Ojciec Giancarlo próbował protestować i pobiegł wezwać na pomoc lekarza.

Był nim chrześcijanin z Betlejem, który pracował dla nas na pełny etat. Kiedyś zazartowałem, że mianuję go franciszkaninem *ad honorem*, bo spędzał w Klasztorze Zbawiciela więcej czasu ode mnie. Podziękował mi, wyrażając nadzieję, że nigdy nie będzie musiał zajmować się zdrowiem kustosa. Kiedy przypomniałem mu o tej rozmowie, odparł, że na szczęście nie odniosłem poważnych obrażeń. Potem stwierdził - mierzony bacznym wzrokiem ojca Giancarlo - że sam powinienem zdecydować, czy chcę wstać z łóżka.

Kiedy wstałem, ustąpiło nerwowe dreptanie pod moimi drzwiami. Jakby moi współbracia wyczuli, że wróciłem do formy. W towarzystwie ojca Giancarlo przeniosłem się z sypialni do gabinetu i wewnętrznymi schodami zszedłem do mojej prywatnej kaplicy, gdzie zastałem Vidigala. Uścisnął mi dłoń i bez słowa spojrział mi w twarz. Ukłąkł ze mną przed ołtarzem. Wspólnie się pomodliliśmy. Domyśliłem się, że pragnie odprawić mszę, chcąc w ten sposób uczcić szczęśliwy finał mojej przygody. Przystałem na to z przyjemnością. Udzielił mi komunii, uśmiechnąłem się z wdzięcznością do Pana na myśl o jego miłości do mnie.

Kiedy wróciłem do gabinetu, ojciec Giancarlo, który najwyraźniej nie ruszył się stamtąd na krok, poinformował mnie z pewnym zakłopotaniem, że ktoś czeka na mnie na korytarzu. Zapytałem, kto to. Odpowiedział, opuszczając wzrok, że osoba, która mnie uratowała. Zaczął mamrotać, że pozwolił sobie ugościć ją tej nocy w klasztorze. Zrozumiałem, że szuka mojej aprobaty. Uspokoilem go, że dobrze zrobił. Chyba podniosło go to na duchu. Otworzyłem drzwi gabinetu.

Weszła dziewczyna z Gazy, wołając:

- Abuna Mateo, człowiek pielęgnuje mądrość, przyjaźń i wdzięczność. Mądrość i wdzięczność są śmiertelne, a przyjaźń nieśmiertelna. Jestem ojca przyjaciółką.

Teraz było jasne, czyj głos usłyszałem w półśnie.

Dziewczyna mówiła dalej:

- Poszłam śladami Hezjoda na górę Helikon i znalazłam ciebie, Abuna Mateo.

Potem, nie prosząc o pozwolenie, wyjęła jabłko z koszyka stojącego na biurku. Nie przejęła się wyrazem dezaprobaty w spojrzeniu ojca Giancarlo i bez zażenowania odgryzła kawalek.

- Abuna Mateo, jakiś czas temu zobaczyłam przed Bramą Damasceńską żebraka pochylającego się nad małpką, która dogorywała na chodniku. Płakał i próbował wetknąć zwierzątku do pyszczka jakieś resztki jedzenia. Bardzo po ruszył mnie ten widok i głęboko wrył mi się w pamięć. Za każdym razem, gdy myślę o cierpieniu, staje mi przed oczami ta scena.

Ojciec Giancarlo wskazał ruchem głowy na coś, co znajdowało się po mojej prawej stronie. Na kanapie przeznaczonej dla szacownych gości leżał, pomrukując, Dimmitu. Kot uchwycił moje spojrzenie, zamiauczał ze spokojem, zeskoczył na podłogę, po czym dał wielkiego susa i mimo swoich rozmiarów z lekkością wylądował na moim lewym ramieniu.

Struchlały ojciec Giancarlo potrząsnął tylko głową. Próbowałem nakłonić Dimmitu do zejścia, bo jego pazury boleśnie wbijały się w moje ciało. Krótkim mruknięciem obwieścił zgodę na zmianę miejsca, ale był tak ciężki, że aby nie spaść, uczepił się moich kolan, przez co podarł mi spodnie i znowu podrapał. Złapałem go delikatnie za obrożę i z powrotem położyłem na kanapie, gdzie od razu zaczął mruzczeć. Poprosiłem ojca Giancarlo, żeby zostawił mnie samego z moimi gośćmi. Wyszedł z gabinetu wyraźnie zmartwiony.

Dziewczyna powiedziała:

- Abuna Mateo, chcę ojcu opowiedzieć o japońskich pszczołach, których śmiertelnymi wrogami są szerszenie. Gdy zwiadowca szerszeni znajdzie się blisko ula, pszczoły wciągają go w pułapkę, atakują i szczelnie go obsiadają. Nie wykorzystują żądeł, lecz ciepło. Ich temperatura ciała wynosi 47,2 stopnia, a szerszeni tylko 46. Przyciskając szerszenia swoimi odwłokami, sprawiają, że jego temperatura rośnie, w wyniku czego spalają go żywcem. Podobnie zachowują się Kuzyni od Ściany w stosunku do wielu z nas.

Patrzyła na moją reakcję. Nie było żadnej. Palcami prawej ręki długo pocierała sobie oczy, jakby sprawiały jej ból. Robiła to już w Gazie i w wieczór spektaklu w Palestyńskim Teatrze Wielkim.

- Moja przyjaciółka Fatima wysadziła się w powietrze. Przypuszczam, że ojciec o tym wie. Jej głowa leciała w powietrzu jak piłka. Miała wykrzywioną twarz z jednym okiem otwartym, a drugim zamkniętym. Zanim ją zabrali, przez godzinę leżała na chodniku. Kuzyni od Ściany oddadzą szczątki rodzinie dopiero po kilku miesiącach, a wtedy dołączy do innych Męczenników Allacha, spoczywających na ukrytym cmentarzu. Abuna Mateo, Fatima była moją najlepszą przyjaciółką. Była piękna, miała wielu adoratorów, ale z żadnym się nie spotykała. Chciała być zawodową aktorką. Zarabiała na utrzymanie, pracując w fabryce. Wczoraj na Uniwersytecie w Gazie, który ojciec odwiedził, wspominali ją przyjaciele, uderzając drewnianymi łyżkami w garnki i patelnie.

Spróbowałem dociec, w jaki sposób można pogodzić zawód aktorki z byciem terrorystką, bo wysadzenie się w powietrze wyklucza dalsze występy na scenie. Mówiąc to, zdałem sobie jednak sprawę, że nie tędy droga. Moja ironia była niepotrzebna.

Dziewczyna odpowiedziała:

- Abuna Mateo, powiedział mi ojciec kiedyś, że prawda chodzi na lekkich nogach.

Dimmitu zamiauczał. Poufałość, z jaką mnie traktowała, jej oczy, spojrzenie prowadziły mnie wstecz, do wydarzeń z przeszłości. Dimmitu polizał mnie w rękę i podniósł pyszczek do góry.

- Abuna Mateo, Dimmitu ma czternaście lat, podarował mi go ojciec na urodziny. Nie pamięta ojciec, że ochrzcił mnie w 1981 roku, dając mi imię Fragranza?

Poczułem wstrząs z rodzaju tych, które na moment odbierają oddech. Wspomnienia pojawiały się lawinowo. Jedno za drugim, nakładały się na siebie, ryzykując stłoczenie i całkowite pomieszanie. Oczy Fragranzy pokazały mi obrazy z przeszłości.

Spotkania z ojcem Bellarminem Bagatim i ojcem Wirginio Corbo; pierwsza wizyta na Górze Nebo, gdzie były tylko ruiny; rozpoczęcie wykopalisk, kontakt z kamieniami i pyłem, strach, że pobrudzę sobie ręce, a ziemia dostanie się pod paznokcie i staną się czarne; ojciec Bellarmin, który namawiał, żebym się pobrudził, poplamiał, bo tylko w ten sposób będę mógł do końca zrozumieć, czym jest archeologia. Tak zrodziła się moja pasja do mozaik. Oczyszczając je, uwielbiałem patrzeć, jak stopniowo pojawiają się kolory. Każda mozaika, którą znajdowałem, stawała się częścią pewnej drogi myślowej. Była czymś na kształt katedry budowanej rękoma i wiarą. Gdybym odnalazł wszystkie mozaiki w Ziemi Świętej, osiągnęłaby wysokość katedry z Canterbury. Obawiałem się, że w ciągu mojego ziemskiego życia nie zdołam doprowadzić do końca tego ogromnego przedsięwzięcia, tej misji, ale starałem się zrobić jak najwięcej.

Fragranza i Dimmitu przyglądali mi się. Dziewczyna raczej ostrożnie, a kot bardziej prowokacyjnie. Odpowiadałem na ich spojrzenia wzrokiem pełnym czułości. Z ruchów twarzy Fragranzy próbowałem wyczytać cały ten miniony czas, który przeżyła obok mnie. Czulem, że powraca do mnie z przemożną siłą.

Fragranza zaczęła zasypywać mnie pytaniami, na które starałem się odpowiedzieć w równie szybkim tempie. Zdałem sobie sprawę, że poddaje mnie swojego rodzaju egzaminowi.

- Abuna, kiedyś powiedział mi ojciec, że gdy tylko Saul został namaszczoney na króla przez Samuela, przyszła do niego grupa proroków, którzy zeszli z gór przy akompaniamencie harf, bębnów, fletów i cytr. A potem: „W taki sam sposób muszą do ciebie przychodzić mozaiki”. Przypomina sobie ojciec?

Skinąłem głową, choć to zdanie wydawało mi się nadmiernie rozbudowane. Później opowiedziała mi o tym, jak się zgubiłem. Na Nebo można było dotrzeć dwiema drogami. Jedna prowadziła do klasztoru, druga do Bazyliki. Chodziłem nimi setki razy. A jednak tamtego dnia - teraz wyraźnie to pamiętam - zatrzymałem się na rozwidleniu przed jej domem. Nie wiedziałem, dokąd iść. Miała wtedy osiem lat i odrabiała lekcje. Poszła do kuchni, żeby napić się wody i zobaczyła mnie przez okno. Zorientowała się, że mam problem więc pospieszyła z pomocą, wzięła mnie za rękę i odprowadziła do klasztoru.

- To wtedy - nieubłaganie ciągnęła dalej Fragranza - powiedział ojciec, że podarowałaś mu wielką siłę i obiecał, że będzie mi wdzięczny przez całe życie. Ja na to, że chciałabym zbudować z ojcem duszę. Odpowiedziałeś mi wtedy ojciec: „Fragranzo, duszy się nie buduje, dusza istnieje”. Te

przepiękne słowa zawsze mi towarzyszyły. Ale może ojciec już ich nie pamięta.

Uważnie się jej przyglądałem. Teraz rozpoznawałem każdy rys jej twarzy. Fragranza przez lata żyła blisko mnie, jak przybrana córka. A jednak o niej zapomniałem.

Zawołałem:

- Taka korzyść ze złej pamięci, że można się cieszyć z tego samego więcej niż jeden raz!

Z jej wyrazu twarzy wywnioskowałem jednak, że był to niezbyt szczęśliwy żart. Snuła swoje opowieści, starając się wzbudzić we mnie wspomnienia, słowa, zdarzenia, wspólnie spędzone chwile.

- Abuna Mateo, kiedy jadąc swoim jeepem, wpadł ojciec do rowu, niedaleko Umm-er-Rasas, jechałem z ojcem. Nic mi się nie stało, ojciec złamał sobie prawy nadgarstek. Zatrzymałam przejeżdżające auto, którym pojechaliśmy do szpitala w Madabie, gdzie założyli ojcu gips. Ręka była unieruchomiona przez trzy miesiące i przez ten czas byłam ojca asystentką.

Teraz sobie przypominałem. Fragranza prowadziła wtedy wykopaliska pod moim nadzorem i świetnie sobie poradziła.

- Dlaczego nie zostałam archeologiem?

Wzruszyła ramionami.

- Może mi tego ojciec nie zaproponował.

Na moment zapadła cisza.

- Abuna, pewnego dnia przyszedłam do ojca w odwiedzinach. Byłam szczęśliwa, bo przed Bazyliką odkryłam skamieliny, a ojciec wyjaśnił mi, że kiedyś było tam morze. Zaczęłam napelniać plastikowe torebki rozgwiazdami, muszlami, algami, rybami i sprzedawałam je turystom, a ojciec pogratulował mi niezrozumiałymi dla mnie słowami, mówiąc, że

mam zmysł przedsiębiorcy. Kiedy król Jordanii przybył do Bazyliki na Górze Nebo obejrzeć mozaiki, chciał ojciec, żebym mu towarzyszyła. Król zadawał mi różne pytania, a ja bezbłędnie odpowiadałam. Jego Wysokość Husajn, zdziwiony, że niespełna dziesięcioletnia dziewczynka jest takim ekspertem, podarował mi biały jedwabny szal, którym zawsze miał owiniętą szyję. A ojciec był ze mnie naprawdę dumny. Co się z ojcem stało, Abuna Mateo?

Nie mogłem nic odpowiedzieć.

Mówiła dalej:

- A wszystkie te nauki, które ojciec ciągle wygłaszał? „Musisz ze wszystkich sił walczyć z nudą, ale pamiętaj, że kiedy już cię dopadnie, pozwól się zmiażdżyć, zatopić, popchnąć na samo dno. Ogólnie rzecz biorąc, jeśli masz do czynienia z czymś nieprzyjemnym, to im szybciej dotkniesz dna, tym prędzej wypłyniesz na powierzchnię. Zawsze patrz złemu losowi prosto w oczy. Nuda będzie twoim oknem na czas, a kiedy już się uchyli, nie zamykaj go, ale otwórz na oścież.

Mówiąc to, Fraganza śledziła moją twarz. Bezskutecznie usiłowałem przypomnieć sobie te słowa. Powiedziała, że usłyszała też ode mnie, że twarz dobrej i mądrej dziewczyny jest zwierciadłem jej duszy. Znowu potarła sobie oczy, wyraźnie coś jej dolegało. Wyjęła z kieszeni buteleczkę kropli do oczu i wpuściła trochę płynu pod powieki, lekko krzywiąc się przy tym z bólu. Zapytałem, co jej dolega, odpowiedziała, że to podrażnienie. Uśmiechnęła się.

- Jednym z moich najpiękniejszych wspomnień, które łączą się z ojcem, jest nasza wycieczka śladami Ewangelii. Opowiedział mi ojciec, że te księgi są zapowiedzią wiary tych, którzy zbliżają się do Jezusa, a wiara nie zmienia danych historycznych i geograficznych, ale nadaje im szczególną wartość w imię wyższego celu. Dlatego zabrał mnie

ojciec do Nazaretu i powiedział, że Ewangelię trzeba głosić wszędzie i pod każdym niebem. W Kafarnaum bardzo przystępnie wyjaśnił mi ojciec kilka przypowieści Jezusa. Na przykład tę o zgubionej drachmie, czyli o kobiecie, która zawieruszyła monetę na podłodze w swoim domu. Mogło się tak zdarzyć, bo w Kafarnaum układano podłogi tylko z ciemnych kamieni, typowych dla tej okolicy. Prawdopodobnie moneta wpadła w jakąś szczelinę.

Potem udaliśmy się do źródła chrzcielnego Jezusa u podnóża Góry Nebo. Szliśmy drogą prowadzącą w kierunku mostu, który został zniszczony podczas wojny w '67, kierując się na północ doszliśmy do niewielkiego pagórka pokrytego płytkami mozaikowymi, koronami walących się murów, glinianymi skorupami pochodzenia rzymskiego i bizantyjskiego. Te okruchy przeszłości wskazywały na obecność rzymskiej wioski. Była tam ścieżka prowadząca do Jordanu i Kaplicy Chrzcielnej, wznoszącej się na zachodnim brzegu rzeki. Modliliśmy się wspólnie w tym świętym miejscu, gdzie Jezus został ochrzczony przez Jana Chrzciciela.

Fragranza zrobiła długą pauzę, westchnęła i znowu się odezwała.

- Kiedyś opowiedział mi ojciec treść książki, która bardzo się ojcu podobała - *Oczy nieśmiertelnego brata*, Stefana Zweiga. Jest to historia Viraty, zwanego błyskawicą miecza. Virata, dowódca wojsk królewskich, podczas krwawych walk pokonuje buntowników i w wyniku tragicznej pomyłki zabija swojego brata. Zrozpaczony odrzuca wszystkie zaszczyty, postanawia, że od tej chwili będzie wiodł życie pozbawione jakiegokolwiek formy przemocy. Zostaje sędzią, a potem pustelnikiem. Pełniąc obie te funkcje, przekona się, że każdy czyn może być pełen sprzeczności. Abuna, zakończył ojciec swoją opowieść, twierdząc, że gdyby Virata żył dzisiaj,

znalazłby w tym coś zupełnie oczywistego - zło. Właśnie z tego powodu trzeba mieć wiarę w Boga, bo On nas ocali.

Ogarnął mnie wstyd, bo nie mogłem sobie przypomnieć. Fragranza była tego świadoma, ale udawała, że nie zauważyła, opowiadając kolejne historie.

- Pamięta ojciec, jak obiecał mi wycieczkę nad Tamizę, do obserwatorium w Greenwich? A potem miał mnie ojciec zabrać na Lincoln's Inn Fields zwiedzić Muzeum Soane'a? Ten architekt zaprojektował Bank Anglii, a dla siebie wybudował dom przypominający muzeum, pełen obrazów, mebli i rzeźb z całego świata. Soane był kolekcjonerem, powie dział mi ojciec, że zawsze podziwiał i szanował kolekcjonerów, bo reprezentowali coś, co nigdy nie będzie mu dane.

Kiedy Fragranza opowiadała o podróżach do Petry, Kera-ku, Terasy i na pustynię Wadi-Rum, zdałem sobie sprawę, że prawie zawsze zabierałem ją ze sobą. Ale minęło wiele lat, zaczęła studiować w Ammanie, a później w Gazie i straciłem ją z oczu. Najwyraźniej odgadła moje myśli, bo powiedziała:

- To ojciec wysłał mnie do Ammanu i cały czas pomagał mojej rodzinie, żeby mogła mnie utrzymać. Naprawdę nie ojciec nie pamięta?

Przeszłość pokryła się kurzem. Przypomniałem sobie teraz, jak oddawałem wszystkie swoje oszczędności Omarowi Faezowi na studia dla Fragranzy. Potem przestałem się nią interesować, z obecnej perspektywy wyraźnie widziałem, że było to niewybaczalne i płytkie. Jedyne słowo, które przychodziło mi do głowy na swoje wytłumaczenie, było »zdarza się!«. Ale byłem księdzem i tego rodzaju określenie kłóciło się z moim sumieniem.

Fragranza nagle zmieniła temat i przyjąłem to z ulgą. Z jej spojrzenia wywnioskowałem, że to zauważyła. Zapytała,

co sędę o zaporze stawianej przez Kuzynów od Ściany, którzy jeszcze bardziej chcieli utrudnić życie Przyjaciółom ze Skały. Nie dając mi odpowiedzieć, dodała:

- Abuna Mateo, ludzie wznoszą mury z tego samego powodu, co psy, które zostawiają ślady moczu, żeby zaznaczyć swoje terytorium. Stawiają w swoich ogrodach płoty nie dla tego, że boją się ataku ze strony sąsiadów, ale żeby pokazać, kto jest właścicielem. Bezpieczeństwo jest sprawą drugo rzędną, a czasem wcale nie wchodzi w grę. Mur oddzielający biblijne ziemie Izraela i Palestyny jest ostatnim z całej serii barier zbudowanych w dziejach historii ludzkości. Proszę pomyśleć o Wielkim Murze Chińskim. Miał przede wszystkim symboliczne znaczenie. Służył raczej do utrzymania Chińczyków wewnątrz, a nie barbarzyńców poza jego obrębem. Mur Berliński został wzniesiony po to, żeby uwięzić ludzi. Celem budowy muru w tych stronach jest wstrzymanie negocjacji pokojowych i ukrycie politycznej katastrofy. Nie tylko ogranicza obszar Ziemi Świętej, ale również życie jej mieszkańców. Abuna Mateo, w wiosce Abu Dis mur nie jest jeszcze skończony i bardziej zwinnym udaje się go przeskoczyć i przenieść towary. Ale poza ogrodzeniem, jak z pogardą nazywają tę budowlę, pozostała szkoła. Moja przyjaciółka, która tam uczy, wcześniej potrzebowała piętnaście minut, żeby tam dotrzeć, teraz trzy godziny.

Podniosłem oczy ku niebu.

- Tylko pozostający pod kierownictwem i kontrolą rozumu entuzjazm może sprawić, że twoja przyjaciółka dalej będzie się uśmiechać do życia.

Fragranza spojrzała na mnie i chłodno odpowiedziała:

- Moja przyjaciółka wczoraj zginęła. Zastrzelili ją przez pomyłkę. Taki był kres jej entuzjazmu, Abuna Mateo.

Oszustwa i cierpienia

Przyglądałem się twarzy Fragranzy i miło zaskoczył mnie fakt, że była zgodna z tym, co nazywałem niemożliwym prawem Dantego. Uważał, że pojęcie piękna zależy od umiejętności obserwatora, który w owalu twarzy ma rozpoznać litery tworzące słowa Homo Dei. Wszystkie siedem odnajdywałem w twarzy Fragranzy.

Miałem ochotę powiedzieć jej, że teraz każdy fragment, każdy szczegół naszej wspólnej przeszłości układa się w mojej pamięci na właściwym miejscu. Wyraźnie pamiętałem, jak poszła ze mną na pustynię Wadi-Rum, piaszczysty obszar pokryty różowymi skałami. Opowiadałem jej o Law-rencie z Arabii, który przemierzał te wydmy konno jak prawdziwy Beduin, urodzony i wychowany na pustyni. Poczuję, że zyskał niczym nie skрэpowaną wolność i odnalazł zadowolenie płynące z dobrowolnego odrzucenia dawnego stylu życia, z wyrzeczeń, poświęcenia, samokontroli. Był przekonany, że pustynia jest królestwem ducha, w którym zachował się nieknięty obraz wyjątkowości Boga. Fragranza z uwagą słuchała moich słów, po czym zawołała:

- Kiedy urosnę, chcę być podobna trochę do Beduina, a trochę do ojca, Abuna Mateo.

Miałem się spotkać z Szejkiem z Wadi-Rum, żeby porozmawiać na temat małej, ale cennej mozaiki, która została

skradziona z Góry Nebo przez jednego z jego synów. Chciałem, żeby mi ją zwrócili. Znając drażliwość tych ludzi, którzy byli wojownikami i postępowali według własnych praw, a ich definicja kradzieży różniła się od naszej, uprzejmie wyjaśniłem Szejkowi, że musiało dojść do nieporozumienia. Jego syn na pewno zabrał mozaikę przez pomyłkę, nie wiedząc, że ma do czynienia ze znaleziskiem archeologicznym. Jest ono jednak integralną częścią większej mozaiki, która bez tego kawałka nie będzie miała żadnej artystycznej wartości. Tylko ja popełniłem błąd, bo zostawiłem go na dziedzińcu przed Bazyliką. Syn Szejka nie ukradł go więc, ale zabrał jak zwykły kamień czy skamielinę. Wobec tego będę wdzięczny, jeśli mi go odda, bo dzięki temu wróci na swoje pierwotne miejsce.

Kiedy mówiłem, Szejk obserwował Fraganzę, która dosiadła jednego z jego koni i z maestrią i zręcznością galopowała wokół namiotu, pod którym się znajdowaliśmy. Rozbawiony przyglądał się jej ewolucjom i od razu domyśliłem się, co mu chodziło po głowie. Koń w zamian za mozaikę. Wpadłem na pewien pomysł. Powiedziałem mu, że kompletna mozaika jest urodzinowym prezentem od franciszkanów dla Ojca Świętego, naszego najwyższego imama. Nie była już naszą własnością, tylko papieża. W tej sytuacji czułem się mocno zakłopotany, bo chciałbym podarować ją rodzinie Szejka. Nie mogłem tego uczynić i dlatego czułem się wobec niego zobowiązany. Taktyka zadziałała. Dałem mu możliwość pokazania, że jest hojniejszy ode mnie, miał okazję potwierdzić swoją władzę i siłę. Podarował Fraganzy konia, a mnie oddał mozaikę.

Innym razem Fraganza wybrała się ze mną do Akaby i rozczerował ją zamek. Stwierdziła, że jest mały, a przez bramę może wejść dwóch rycerzy, nie całe wojsko, jak to sobie

zawsze wyobrażała. Opowiedziałem jej o zdobyciu Akaby przez Lawrence'a i przejęciu fortecy. Podsumowała, że ten Lawrence wcale nie był takim wielkim bohaterem.

W Petrze wspięła się ze mną do Klasztoru, bo obiecałem jej, że będzie mogła posłuchać ciszy. Wśród zieleni i ogromnych nawisów skalnych poruszona wyznała, że naprawdę usłyszała ciszę. Kiedy zeszliśmy na dół i usiedliśmy na schodach rzymskiego teatru wykutego w różowej skale, wytłumaczyłem jej, że tematem wiersza o miłości może być cokolwiek: oczy ukochanej osoby, wstążka w jej włosach, obłok nad głową, gwiazdy.

- Fraganzo, nauczysz się czytać wiersze o miłości, jeśli uda ci się uchwycić intensywność szczegółów, bo miłość jest postawą, którą istota skończona przyjmuje wobec czegoś nieskończonego.

Była poruszona i podziękowała mi pocałunkiem w policzek. W Keraku pokazałem jej wielką fortecę, zbudowaną przez Payena, skąd król krzyżowców mógł dostrzec każde wojsko, które ośmieliło się zbliżyć. W rzymskim teatrze w Gerazie słuchała ze mną Światosława Richtera, który wykonywał I koncert Chopina. Gdy tylko pianista wykonał pierwszy ruch, Fraganzę ogarnęła tkliwa melancholia. Docieranie do ludzkich serc grą na fortepianie wydało jej się wyjątkowo piękne. Richter ją oczarował, bo każde przejście na klawiaturze wykonywał obiema rękami. Właśnie wtedy z ogromną powagą oświadczyła, że chce będzie studiować muzykę, żeby rozczulić świat. Nie zrobiła tego. Być może z mojej winy.

Nie wiem, czy domyśliła się, że zaczynam sobie wszystko przypominać, w każdym razie przez kilka minut panowała cisza. Nie wynikała z wrogości, ale nie było w niej też jedności i entuzjazmu. Miałem ochotę powiedzieć: „Fragranzo,

najbardziej przygnębiającym aspektem konfliktu między Kuzynami od Sciany a Przyjaciółmi ze Skały jest całkowita rozbieżność punktów widzenia. Każdy jest przekonany, że to właśnie on jest ofiarą. Nie ma żadnego obszaru porozumienia. Dlatego moralny obowiązek zainicjowania zmian może spoczywać wyłącznie na ludziach, którzy łączą wiarę z wyważonym zrozumieniem racji jednej i drugiej strony. Wiesz, Fraganzo, może jest jeszcze za wcześnie na tworzenie komisji poszukującej prawdy i pojednania, na wzór Mandeli, ale prawdopodobnie to jedyna droga".

Chciałem jej o tym wszystkim powiedzieć. I wytłumaczyć, że pamięć o naszej przeszłości i wszystkich pięknych rzeczach, które były naszym udziałem, znowu ożyła w mojej głowie. Nie mogłem znaleźć odpowiednich słów, więc milczałem, wkrótce jednak zrozumiałem, że był to błąd, bo straciłem okazję do spontanicznej reakcji.

Zachowanie Fraganzy uległo zmianie. Obojętnym tonem mówiła mi, że potrzebuje gościny, ale zdaje sobie sprawę, że w Klasztorze Zbawiciela będzie to trudne i żeby nie sprawiać kłopotu, mogliby się przenieść z Dimmitu do Studium Biblicum. Pamiętała, że na dziedzińcu Klasztoru Biczowania, blisko muzeum, znajdował się mały pokoik, a mieszkając tam pewno nie będzie rzucać się w oczy. Poza tym mogłaby się przydać do odkurzania książek i różnych przedmiotów w moim gabinecie na pierwszym piętrze. Robiła to już wiele lat temu na Górze Nebo.

Łagodnie jak tylko się dało zapytałem, dlaczego potrzebuje pomocy franciszkanów. Odparła, że ma problemy, o których opowie mi później. Obiecałem, że zastanowię się nad tym i wkrótce dam jej odpowiedź.

Szczerze mówiąc, wolałbym zatrzymać ją przy sobie. Mogła to być forma rekompensaty za ten długi okres niepamięci,

ale w Klasztorze Biczowania, który był miejscem nauki i medytacji, a nie oficjalną siedzibą Kustodii, miałyby więcej spokoju.

Zawołałem ojca Giancarlo i poprosiłem go, żeby zaprowadził Fraganzę i Dimmitu do Vidigala, a potem wrócił do mnie, bo miałem dla niego kolejne dyspozycje. Przypomniałem sobie, że jest to dzień urodzin Fraganzy. Byłem tego absolutnie pewny. Poleciałem ojcu Giancarlo, żeby kupił tort. Popatrzył na mnie zakłopotany i zapytał, czy ma być czekoladowy, czy śmietanowy. Powiedziałem, że pozostawiam mu swobodny wybór.

Zostałem sam. Dopiero teraz przypominałem sobie, co się wydarzyło, zanim straciłem przytomność. Wyszedłem z domu sklepikarza Naturiana i wróciłem do biskupa Vartama, który uśmiechnął się na mój widok i zapytał, czy podobał mi się Igor. W uprzejmy sposób zwróciłem mu uwagę, że gdyby uprzedził mnie, że Ter Ovanesian jest marionetką, nie poszedłbym do lutnika. Odpowiedział, że wolał, żebym sam odkrył prawdę. Potem mówił o warunkach życia swoich rodaków, wspominając na koniec, że religia jest człowiekowi tak samo niezbędna do życia jak słońce i powietrze, bo tworzy jego krew.

To stwierdzenie sprawiło mi kłopot, uznałem je za przesadne i w pewnym sensie agresywne. Wyszedłem z dzielnicy ormiańskiej jeszcze bardziej zdezorientowany i poirytowany na Grubera, który mnie oszukał. Dlaczego? Najlepiej by było, gdybym od razu się z nim spotkał i poprosił o wyjaśnienia. Myśląc o tym wszystkim, kierowałem się w stronę Klasztoru Zbawiciela. Przed Patriarchatem Łacińskim natknąłem się na sekretarza patriarchy, który wychodził z budynku. Pozdrowiłem go, nie zatrzymując się, bo szkoda mi było cennego czasu na bezsensowne pogawędki z tym jąkałą.

Kiedy dotarłem do bramy klasztoru, ktoś mnie uderzył i obudziliśmy się w swoim łóżku.

Teraz wszystko było jasne, oprócz imienia osoby, która zderzyła się z moją głową. Ojciec Giancarlo zapowiedział ojca Benjamina, który wszedł do gabinetu, zachowując swoją zwyczajową ostrożność. Usiadł na wprost mnie i wzdychając przeciągle, poinformował mnie, że próbował skontaktować się z ojcem Bernardem, ale powiedzieli mu w Rzymie, że od kilku dni przebywa w Mozambiku z Przełożonym Generalnym. Z właściwym dla siebie pozornie roztargnionym wyrazem twarzy zapytał mnie, czy przypominam sobie, kiedy ojciec Bernard mnie odwiedził. Sprawdziłem w kalendarzu i podałem datę.

- Ach tak! - krzyknął.

Potem zapewnił, że spróbuje zadzwonić do Mozambiku. Jednak powiedziano mu w Rzymie, że ojciec Bernard i Przełożony Generalny znajdują się na obszarze, z którym łączność jest znacznie utrudniona. Ale będzie kontynuował poszukiwania i powiadomi Emie o wynikach. Wyszedł, kłaniając się. Kiedyś będę mu musiał powiedzieć, że nie lubię tych jego usługowych gestów.

Ojciec Giancarlo zapowiedział wizytę pani Sieger, która przysłała do mnie z polecenia głównego rabina Moshe Halevy'ego. Pani Sieger była niemłoda, ale ciągle piękną kobietą. Podziękowała, że przyjąłem ją, chociaż nie była umówiona i powiedziała, że chce opowiedzieć mi pewną historię, która wstrząsnęła ortodoksyjną wspólnotą żydowską Mea Shearim w Jerozolimie, stała się źródłem dochodu dla zastępu adwokatów i obiektem dezaprobaty ze strony wielu badaczy Talmudu i Tory.

- Ta historia, Wielebny Ojcze, wydaje się być wytworem fantazji Izaaka Singera, ale ma dwóch rzeczywistych boha-

terów, Chaima i Chayie. W ich otoczeniu zupełnie normalne jest to, że kobieta poślubia mężczyznę, którego nie miała okazji poznać. Często zdarza się, że bardzo szybko odkrywa jego niewypowiedziane tajemnice i wady, których nie można pogodzić z własnymi etycznymi i religijnymi przekonaniem. Gdy tylko Chayie skończyła osiemnaście lat, przyjęła swoje przeznaczenie i z radością i dumą, jak czyniły to inne kobiety z jej wspólnoty, założyła ślubny welon. Kilka miesięcy po ślubie zorientowała się, że mąż cały czas ją zdradza. Poza tym bił ją i zastraszał. Był potężny i miał nadwagę, wiedział, że Chayie nigdy publicznie nie ujawni szczegółów ich rodzinnego życia. Pasją Chaima stały się gry hazardowe, często chodził do kasyna w Jerychu. Krupierzy przyzwyczaili się do jego chałatu, kapelusza, tradycyjnych pejsów i długiej brody, widzieli, jak wychodził po wielu godzinach rozwścieczony nieuchronnymi porażkami. Gra sprawiała mu więcej przyjemności niż cudzołóstwo i w ciągu kilku miesięcy stracił cały swój majątek, zmuszając żonę, żeby znalazła sobie pracę. Korzystając ze swoich oszczędności, Chayie otworzyła sklep optyczny i weszła w spółkę z gabinetem okulistycznym. W krótkim czasie osiągnęła wysoką pozycję zawodową idącą w parze z wysokimi zarobkami. Pewnego dnia znalazła ukryte w schowku kasety wideo, na których Chaim oddawał się wulgarnym czynnościom erotycznym z różnymi kobietami, często w rozbawionym towarzystwie przyjaciół. Słowem, prawdziwe orgie. Chayie wyprowadziła się z domu i poprosiła męża o rozwód. Chaim odmówił i cała wspólnota stanęła w jego obronie. Chayie była samotna i zrozpaczona jak nigdy wcześniej. Postanowiła jednak dalej ciągnąć sprawę, bo mężowi zależało jedynie na majątku, który ona zgromadziła dzięki swojej pracy. Chaim powołał się na wyjątkowo rzadką procedurę zwaną „Dekretem Stu Rabinów”, ustanowioną w

dziewiętnastym wieku i obejmującą przepisami przypadki kobiet z poważnymi problemami psychicznymi i potwierdzonym skrzywieniem moralnym. Zgoda Sądu Rabinicznego gwarantowała mężowi pełną władzę. Sąd potwierdził, że Chayie interesowała tylko własna kariera, że nocą włączała radio i nastawiała tak głośno, żeby mąż nie mógł spać, gdy spał, oblewała go lodowatą wodą, a poza tym, że nie poddawała się rytualnej kąpieli, którą odbywała każda kobieta po menstruacji. W odpowiedzi Chayie rozwiesiła na murach dzielnicy plakaty z takim napisem: „Mężowie mogą być chciwi, mściwi, a nawet brutalni, ale nie można dopuścić, żeby przedstawiciele religijni wspierali ich najgorsze skłonności”.

Było oczywiste, że miałem przed sobą Chayie we własnej osobie. Uznając, że się domyśliłem, powiedziała:

- Główny rabin Moshe Halevy wie, że zna ojciec właściciela kasyna w Jerychu. Mógłby ojciec przekonać go, żeby anulował długi mojego męża. Wtedy na pewno da mi rozwód, a Moshe Halevy weźmie udział w koncercie dla pokoju, który chce ojciec zorganizować na Górze Nebo. Wielebny Ojciec, mówię dawnym językiem, którego używa się w bajkach i również dlatego nie mogłabym opuścić Jerozolimy. Powietrze jest tu chłodne, suche, śnieg nieskazitelnie biały i nigdzie nie ma równie czystej wody.

Szczerość Chayie wzbudzała moją sympatię. Zapytałem, jaką rolę odgrywa w jej sprawie główny rabin. Spojrzała na mnie z uśmiechem:

- To mój ojciec.

W tym momencie bez pukania weszła do gabinetu Franza, a za nią Dimmitu. Zawołała:

- Przepraszam, Abuna Mateo, nie wiedziałam, że jest ojciec zajęty.

Potem przytknęła oczy, a na jej twarzy pojawił się ten sam grymas bólu, wyjęła z kieszeni buteleczkę i wpuściła kilka kropli pod powieki.

Chayie przyglądała się jej zaintrygowana, podeszła do niej, zbadła ją i podając jej swoją wizytówkę, powiedziała:

- Wpadnij do mnie kiedyś.

Wzruszyła ramionami i wyszła, kręcąc głową. Zjawił się ojciec Giancarlo, który niósł tort z zapaloną świeczką pośrodku. Radośnie zawołał:

- Czekoladowy! Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Fragranzo!

Zepsuł mi niespodziankę. Zdmuchnęła świeczkę, a potem powiedziała ojcu Giancarlo, że nie lubi czekolady i może podarować tort współbraciom. Podziękowała mi i wyszła razem z Dimmitu. Ojciec Giancarlo poszedł za nią z tortem i po chwili wrócił, żeby mnie poinformować o wizycie Grubera.

Pomyślałem z irytacją, że gabinet Kustosza Ziemi Świętej stał się punktem tranzytowym.

Gruber pojawił się z szerokim uśmiechem, jakby wiedział, że będzie musiał się wytłumaczyć z kilku rzeczy. Posłałem mu surowe spojrzenie, a on przeprosił, że zbyt pośpiesznie chciał zamknąć sprawę czarnej mewy. Miałem prawo czuć się urażony. Wyjaśniłem mu, że nie w tym rzecz. Nie znosiłem krętałów, a on mnie oszukał i nie rozumiałem dlaczego. Poprosił, żebym go wysłuchał.

- Kiedy miałem siedem lat, ojciec zaprowadził mnie na mecz piłkarski rozgrywany przez młodych Palestyńczyków. Byłem nimi zachwycony. Jeden z chłopców grzbietem stopy podbijał piłkę na wysokość głowy i kilka razy mocno uderzał, nie pozwalając jej spaść na ziemię. Był prawdziwym sztukmistrem. Jego nadzwyczajne umiejętności pomogły mi

pokonać strach i nieufność wobec tych, którzy byli dla nas „drugą stroną”, wrogami pragnącymi jedynie naszej śmierci.

Innym ważnym wspomnieniem związanym z moim ojcem była wizyta w budynku, w którym odbył się proces Eichmana. Nie poczułem ani odrobiny smutku. Pomyślałem o tym mordercy z rezerwą i dystansem. Ojciec opowiedział mi wtedy o swoim rabinie, który kończył czytanie Biblii takimi słowami: „Opowiadam wam o Saulu i Izaaku, ale możliwe, że któryś z was albo z tych, którzy siedzą w głębi synagogi, zna prawdę lepiej ode mnie”.

Ojciec radził, żebym zawsze zastanawiał się nad banalnością życia i ograniczonością naszych emocji. Nie chciał, żeby sytuacja w Ziemi Obiecanej, wyczuwalna w powietrzu nienawiść i żal, pozbawiły mnie tego, co miałem w sobie najlepsze. Tłumaczył mi, że od ponad dwóch tysięcy lat żydowska tożsamość opiera się na systemie binarnym. Powodem tego stanu rzeczy jest diaspora - już w czasach cesarstwa rzymskiego połowa Żydów mieszkała poza terenem Ziemi Izraela. Z jednej strony znajduje się religia, która jest powszechna, a z drugiej przynależność narodowa. Ojciec marzył, żeby nie dosięgła mnie nienawiść. Dlatego musi mi ojciec pomóc.

W gruncie rzeczy Gruber proponował mi wymianę. Jeśli pomogę mu dowiedzieć się czegoś więcej o śmierci ojca, ujawni, kim naprawdę była czarna mewa. Wyraził żal z powodu tego, co stało się u Ormian. Moim zdaniem wiedział, że czarna mewa to nie był Igor Ter Ovanesian, ale posłużył się nim, żeby obmyślić pułapkę, dzięki której stanę się jego sojusznikiem. Jego postępowanie wydało mi się nieprofesjonalne i śmieszne, niegodne szefa tajnych służb. Zorganizował wszystko tak, żebym wszystko odkrył, co naprawdę było zbyt

naiwne. A może z góry zamierzone? Opowiedział mi, że dzień przed śmiercią ojciec wydał mu się smutny, chociaż to określenie nie było chyba właściwe. Był bardzo ostrożny, może coś go niepokoiło? Powiedział, że zgodził się poprowadzić koncert w rzymskim teatrze w Gerasio dla jordańskiej rodziny królewskiej i przy tej okazji przedstawi synowi jakąś osobę, która odegrała główną rolę w pewnym ważnym zdarzeniu z jego przeszłości. Jednak nie doczekał koncertu, został potrącony kilka dni wcześniej. Gruber chciał się dowiedzieć, kim była ta osoba. Może poznanie jej tożsamości wniosłoby coś więcej do sprawy zabójstwa Maestro.

Pomyślałem, że ciągle pozostawało wiele niejasności. Na przykład, czy napaść na mnie należało łączyć ze śmiercią ojca Grubera, skrzyпка i sprawą czarnej mewy? Czy istniał między nimi jakiś związek? Zdałem sobie sprawę, że podjąłem wyzwanie Grubera. Zauważył to i przypomniał mi, że Jerozolima jest miastem luster, w których każdy obraz jest odbiciem innego, a każde zdarzenie ma głęboko symboliczny charakter.

Słuchając go i podążając za jego tokiem rozumowania, uświadamiałem sobie możliwość, że każde zdarzenie ma swoje logiczne uzasadnienie. W jego fantazji nie było miejsca na dowolność. Teraz było jasne, dlaczego poprosił, żebym prze spacerował się z nim po uliczkach Starego Miasta. W rzeczywistości dobrze je znał, ale chciał podzielać ze mną obrazy, odczucia, atmosferę w przekonaniu, że w Jerozolimie - jak sam zawsze twierdziłem - kto nie wierzy w cuda, ten nie jest realistą. Tym sposobem chciał, żeby przyjął jego słowa i mu zaufał.

Powróciłem myślami do tego, co wydarzyło się u patriarchy prawosławnego. Jego nieprzyjemne nastawienie wydało mi się dość dziwne. Alekos był moim starym przyjacielem.

Dlaczego w taki sposób w obecności biskupów przerwał spotkanie, które rozpoczęło się w spokojnej i pełnej szacunku atmosferze? To musiało coś znaczyć.

Gruber poczerwieniał na twarzy i wziął oddech.

- Wielebny Ojcze, w podzięce za pomoc, wyjawię ojcu prawdę o czarnej mewie.

Westchnął przeciągle.

- Ofiarą tego zabójstwa padł informator Tsometu, Palestyńczyk z Nazaretu, nazywał się Omar Rabbo.

Nie wiedziałem, czy powinienem zareagować wyrzuceniem go z gabinetu czy uśmiechem. Wybrałem drugą opcję i wprawilem go w zakłopotanie, przybierając możliwie najmielszy wyraz twarzy, podobny do tego, który towarzyszył mi, gdy musiałem powtórzyć uczniom coś, co nie do końca zrozumieli. Z jego oczu wyczytałem obawę, że może tym razem to ja chcę go wciągnąć w pułapkę. Pospiesznie dodał, że nie znalazł jeszcze przekonującego wytłumaczenia, dlaczego zwłoki były ubrane w habit, a poza tym nie podejrzewał, że pójdę do Ormian, żeby rozpytywać o Igora Ter Ovanesiana.

Z uprzejmą stanowczością zakomunikowałem mu, czego od niego oczekuję. Odpowiedział, że to zbyt wiele. Stwierdziłem, że to drobiazg. Zgodził się niechętnie.

Nadeszła pora obiadu. Poszliśmy do refektarza. Było tłoczno. W sali znajdowali się dyskreci i wielu współbraci. Zwykle nie korzystałem ze wspólnej stołówki, wolałem spożywać posiłki w samotności. Traciłem mniej czasu. Z drugiej strony wiedziałem, że to błąd, bo bracia uważali, że się od nich dystansuję. W najbliższej przyszłości musiałem jakoś to rozwiązać.

Gruber jadł z apetytem, ja nie, gdy skończyliśmy, poprosiłem o chwilę ciszy. Wstałem, przedstawiłem gościa i powiedziałem, że chce coś wyjaśnić. Gruber najpierw zakaszłał

speszony, wziął głęboki oddech i ze szczegółami opowiedział o sprawie czarnej mewy.

Kiedy skończył, ojciec Benjamin zapytał, dlaczego zamordowany miał na sobie habit. Gruber udzielił zręcznej odpowiedzi. Było to dowodem przebiegłości zabójcy, który chciał skierować śledztwo w złym kierunku. Ojciec Benjamin podzielił się z nami inteligentnym spostrzeżeniem. Skoro zabójca wiedział, że czarna mewa była informatorem Tsometu, zdawał sobie też sprawę, że istniało prawdopodobieństwo, iż to właśnie Gruber, jako wicedyrektor tych tajnych służb będzie prowadził dochodzenie, jaki więc sens miało przebieranie ofiary za franciszkanina? Znana była jej tożsamość i nikt nie dałby się na to nabrać.

Na twarzy Grubera pojawił się wyraz zakłopotania. Ale sam ojciec Benjamin zaraz wybawił go z opresji, stwierdzając, że wypowiedział na głos jedynie pewną refleksję, a wyjaśnienie tajemnicy szybko się znajdzie.

Wróciłem z Gruberem do gabinetu napić się kawy. Wszedł ojciec Giancarlo, jak zwykle wzburzony. Usłyszał w telewizji wiadomość o wybuchu wulkanu na Stromboli. Mieszkańcy Ginostry zostali ewakuowani, żywioł powyrywał z korzeniami winorośle i drzewa, pozrywał dachy.

Powróciły wspomnienia i uczucia, których uczestnikiem stał się mój gość.

- Gruber, miałem przyjaciela o imieniu Marcello. Urodził się w rzymskiej dzielnicy żydowskiej, jego rodzina zajmowała się handlem, a na wakacje wynajmowała willę w Timpone, najwyżej położonym punkcie Ginostry. Trudno było tam dotrzeć. Dom był zbudowany na skale, która schodziła do morza. Spotykaliśmy się tam całą paczką, naszym przywódcą był Marcello. Chłopcy ze Stromboli nie chcieli, żebyśmy chodzili na ich plażę. Pewnego ranka Marcello zebrał nas i powiedział,

że pójdziemy do Stromboli i będziemy grać w ping-ponga i siatkówkę i nikt nam tego nie zabroni.

Zapewniam pana, Gruber, czuliśmy się wtedy silni jak lwy. Marcello śpiewał „strombolianie tchórzliwe plemię”, przyłączyliśmy się i ten motyw stał się naszym hymnem. Nucać go, wsiedliśmy na dwie motorówki. Na początku przeprawy fałszowaliśmy, w połowie drogi nasz chór zyskał niezłe brzmienie. Pod koniec śpiewaliśmy zupełnie czysto i Marcello powiedział, że jest z nas dumny, bo poczuliśmy ducha wspólnoty. Było nas jedenastu, jak w drużynie piłkarskiej. Z przewieszanej przez ramię torby Marcello wyjął jedenaście parasoli i rozdał je wszystkim. Pojawiliśmy się na plaży w Piscita z parasolami w ręku, śpiewając „strombolianie tchórzliwe plemię”. Czekala na nas trzydziestoosobowa grupa.

Tego dnia, Gruber, zrozumiałem wiele rzeczy. Na przykład, że niewiele trzeba, żeby wystraszyć arogantów, a do zwycięstwa wystarczy dobra organizacja. Proszę sobie wyobrazić taką scenę: jedenastu chłopców wywijających parasolami i śpiewających na całe gardło. Efekt był niesamowity. Wszyscy uciekli. Marcello wyjaśnił mi, że postawił na element zaskoczenia, a kiedy zobaczyłem, że kilku z naszych przeciwników wraca i daje nam swoje rakiety, przekonałem się, że mój przyjaciel faktycznie jest wielkim strategiem.

Ostatni raz widziałem się z nim w Jerozolimie, trzy lata temu, na moim przyjęciu urodzinowym. Specjalnie przyjechał z Rzymu. Współbracia przygotowali w Studium Biblicum nadziewane pączki, faszzerowaną pierś wołową, pieczone ziemniaki, czekoladowe salami z siekanymi migdałami. I tort jabłkowy ze świeczkami.

Następnego dnia poszliśmy do Filharmonii Jerozolimskiej na *Requiem Niemieckie* Brahmsa. Marcello z bólem stwierdził,

że nie może zrozumieć, dlaczego ludzie reprezentujący tę samą kulturę, co kompozytor tej wspaniałej muzyki, ścigali takich, jak on, których jedyną winą było to, że należeli do starożytnej, arystokratycznej i aktywnej cywilizacji. Kiedy się pożegnaliśmy, wypowiedział takie słowa: „Pewien mój znajomy oskarżył mnie kiedyś, że w ciągu ostatniego roku przesunąłem się z lewa na prawo, a potem z powrotem na lewo. Jak można było za mną nadążyć? Odpowiedziałem mu: «Ja się nie przesuwam, moja pozycja jest niezmienna. To świat się porusza w złym kierunku»”.

Kilka godzin później Marcello wyleciał w powietrze w restauracji Bena Jehudy, razem z wieloma innymi Kuzynami od Ściany i Męczennikiem Allacha niosącym bombę przy pasku, jakby była paczką żywnościową.

Gruber spojrział na mnie głęboko poruszony. Opowiedział mi o pewnym artyście, którego bardzo lubił. Nazywał się Komitas i zmarł w Paryżu w 1935 roku. Był Ormianinem, przeżył rzeź w Izmirze, gdy Turcy wymordowali wielu jego rodaków. Żołnierze chcieli spalić go żywcem, ale ocalał dzięki uczennicy, która była córką wysokiego dygnitarza Sułtana. Znalazł schronienie w Paryżu, gdzie dalej komponował, ale nie odezwał się więcej ani słowem.

- Wielebny Ojcze, słuchając jego muzyki, zrozumiałem, czym jest ból. Poznałem ból jeszcze przed śmiercią matki i zabójstwem ojca. Widzę, że ojciec ma za sobą podobne doświadczenia i to nas zbliża, może nas uczynić przyjaciółmi.

Gruber i Fraganza

Zastanawiałem się teraz nad przeczytanymi niegdyś słowami, które zabrzmiały dla mnie bardzo przekonująco: „Metody i narzędzia prowadzące narody drogą kultury i postępu są zawsze dziełem inteligencji. Jej królestwo obejmuje wszystkie czyny ludzkiej społeczności”.

Powtórzyłem je Gruberowi, który stwierdził, że się z nimi zgadza. Dodał, że właśnie z tego powodu spodziewa się po mnie inteligentnej postawy. Postanowiłem cierpliwie go wysłuchać. Znałem już jego tok rozumowania. Zawsze wychodził od spraw nie związanych z interesującą go kwestią, dopiero później przechodził do sedna. Jednak tym razem nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi. Kolejny raz udało mu się mnie zadziwić. Powiedział, że chce poznać dziewczynę o dziwnym imieniu Fraganza, którą goszczy w Klasztorze Zbawiciela i która była przyjaciółką Męczennicy Allacha widzianej przeze mnie w teatrze.

Nie oburzyłem się, bo wiedziałem, że tym sposobem niewiele osiągnę. Byłem jednak pewny, że nie mógł wiedzieć o powiązaniu ze mną dzieciństwie Fraganzy, co dawało mi nad nim pewną przewagę.

Właśnie wtedy do gabinetu weszła Fraganza, a za nią Dimmitu. W telewizji powiedzieli, że erupcja wulkanu w

Stromboli nie spowodowała ofiar. Chciała uspokoić mnie tą nowiną.

Zorientowała się, że nie jestem sam, bez specjalnego zainteresowania spojrzała na Grubera i nieznacznie skinęła głową na powitanie. Pokazała mi dwa wypełnione czystą ziemią flakoniki, które trzymała w ręku i chciała mi podarować. Powiedziała, że to ziemia z pustyni Wadi-Rum, ale nie wspomniała, że zbieraliśmy go razem kilka lat temu. Doceniałem jej ostrożność. Podziękowałem za podarunek i wyjaśniłem jej, kim był Gruber.

Zwróciła się do niego takimi słowami:

- Kilka dni temu byłem w Gazie. Z powodu godziny policyjnej nikt nie odważył się wyjść na ulicę, bo wasi ludzie mieli rozkaz strzelać. W wynajmowanym pokoju, w którym mieszkam, jest jedno malutkie okno. Podeszłam do niego i zobaczyłam psa, który przechodził obok żołnierzy. Nie aresztowali go ani nie zastrzelili. Pomyślałam wtedy, że jedyny wybór, jaki nam pozostał, to pieskie życie albo męczeńska śmierć.

Gruber zapytał, co wybrała. Odpowiedziała, że ze zdziwieniem i bólem obserwowała wzrastającą liczbę aktów samobójczych dokonywanych przez jej rówieśników. Gruber stwierdził, że tak straszny sposób zakończenia życia, jaki wybrała jej przyjaciółka Fatima, jest niemoralny i szkodzi sprawie palestyńskiej. Fragranza westchnęła. Zapadła długa cisza, której wcale nie miałem zamiaru przerywać. Byłem ciekaw, jak dalej potoczy się rozmowa. Gruber odezwał się pierwszy.

- To nie tylko kwestia potępienia czy pochwalenia pojedynczych działań. Przede wszystkim musimy wywołać debatę i zadać pytanie, czy są one etyczne, potrzebne, słuszne. Nie rozumiem kultury śmierci i zemsty, uważam ją za poraż-

kę racjonalnego myślenia. Trudno mi uwierzyć, że to Raj jest tym, co naprawdę przyciąga waszych męczenników. Rozumiem jednak, że myśl tę podsycą marzenie, by zobaczyć powstające Państwo Palestyńskie. Myślę, że podstawowym motywem waszych działań jest poczucie bezsilności. Nie macie żadnej strategii. Chcecie tylko, żeby popłynęła nasza krew.

Przesłuchiwałem jednego z waszych, który nie wysadził się w powietrze. Kilka dni wcześniej poszedł do restauracji ze swoim kuzynem, zjadł humus i fasolkę z jakimś typem, który zaproponował mu, żeby został Męczennikiem Allacha. Gdy spotkali się ponownie nałożył mu pas z materiałami wybuchowymi, tłumacząc, że chodzi o świętą misję. Zapytałem go, co czuł, idąc na śmierć. Odpowiedział, że miał wrażenie falowania w powietrzu i oddalenia od rzeczy materialnych. Zaczął myśleć o Raju, ale nie mógł sobie wyobrazić, jaki będzie. Uruchomił fantazję, ale nie udało mu się go zobaczyć. I właśnie to go powstrzymało. W chwili gdy miał zdetonować ładunek, zadał sobie pytanie, dlaczego to robi, i nie potrafił na nie odpowiedzieć. Poszedł do najbliższego posterunku policji i oddał się w ręce wymiaru sprawiedliwości. Nawet wtedy nie zdawał sobie sprawy, że ocalił życie.

Fragranza zignorowała Grubera i zwróciła się do mnie, rozmyślnie porzucając wszelką ostrożność:

- Abuna Mateo, pamięta ojciec, jak opowiedział mi *Makbeta*, gdy oglądaliśmy mozaikę, którą ojciec znalazł i odrestaurował w Umm-er-Rasas? Myślę, że chciał ojciec, żebym zrozumiała różne zabarwienia tego nadzwyczajnego dzieła. Powiedział ojciec, że w *Makbecie* jedna zbrodnia rodzi kolejną, mimo że niegodziwość popełniającego ją człowieka nie zostaje spotęgowana. Celem pierwszego zabójstwa było

polepszenie własnej pozycji, inne dokonały się w samoobronie. Zdaniem ojca *Makbet* przypominał tragedie greckie, bo można było przewidzieć zakończenie. Od samego początku wiadomo było, co się wydarzy. To sprawiało, że ostatni akt stawał się jeszcze bardziej wzruszający. Potem powiedział mi ojciec, że *Hamlet* jest tragedią człowieka, który nie wie, jak popełnić zbrodnię, a bohaterem *Makbeta* jest człowiek, który jest do niej zdolny i chociaż na co dzień nie oddajemy się popełnianiu zabójstw, sytuacja Makbeta bardziej wpisywała się w codzienne życie.

Zobaczyłem, że Gruber z wielką uwagą przysłuchuje się słowom Fraganzy. Zapytał ją:

- Fraganzo, czy Męczennicy Allacha są bliżsi Makbetowi czy Hamletowi?

Po raz pierwszy się do niego uśmiechnęła i odpowiedziała:

- Czarownicom, bo one uczą nas, żeby wam nie ufać. Zwyczaj kobiet z tych stron są inne niż w krajach europejskich. Na przykład nasze matki wybierają nam męża. Jeśli matka jakiegoś chłopca pomyśli, że mogą nadawać się dla jej syna, idzie do mojej i pyta, czy może zorganizować spotkanie. Chłopak przychodzi do mojego domu i mogę zdecydować, czy go chcę, czy nie. Rodzimy dzieci, które was pokonają, wychowujemy je, opowiadamy im prawdę. Każda nasza rodzina straciła jakiegoś mężczyznę. Kiedy do tego dochodzi, wszystko spada na barki kobiety, również aspekt ekonomiczny.

Gruber podrapał się w głowę. Domyślałem się, że nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa.

- Fraganzo, kim są czarownice?

Spojrzała na niego triumfująco.

- Myślałam, że się pan zorientował.

Pokazała na mnie.

- Abuna Mateo należy do czarownic.

Zanim zdążyłem zareagować dodała:

- Czarownicami są nasi dobrzy nauczyciele.

Śmiejąc się zawołałem, że nazywano mnie różnie, ale nigdy w taki sposób. Gruber zaczął mówić, że gdyby wszyscy duchowni byli czarownicami, takie stwierdzenie mogłoby mieć złożone konsekwencje. Okazałoby się, że religia popiera terroryzm. Gdy zobaczył moje wymowne spojrzenie, pośpiesznie dodał, że źle się wyraził. Chodziło mu naturalnie o osoby duchowne nie związane z chrześcijaństwem. Z dezaprobatą potrząsnąłem głową. Wzruszył ramionami i zwrócił się do Fraganzy:

- Co opowiadacie swoim dzieciom?

- Wiedzą już wszystko, panie Gruber. Widzą, jak zabijani są ich koledzy, włączają telewizor i dowiadują się, że kobiety w ciąży umierają przy punktach kontrolnych, bo wasi ludzie nie pozwalają im przejść. Chciałby pan, żebyśmy mówili naszym dzieciom, że pewnego dnia wszyscy będziemy żyć w pokoju jak dobrzy sąsiedzi? Byłoby to kłamstwo, bo dobrze wiedzą, że wydarłicie ich rodzicom kawałek ziemi, za biliście jakiegoś członka rodziny lub pozbawiliście go pracy. Jakbyś się zachował, Gruber, gdybyś po powrocie do domu odkrył, że jest w nim złodziej, który właśnie cię okrada? Kazałbyś mu usiąść i zaproponowałbyś filiżankę herbaty?

Ze zdumieniem przyjąłem fakt, że zaczęła zwracać się do Grubera na ty. Mówiła dalej, znów szeroko się uśmiechając:

- Podejrzewam, że wiesz, że tylko miłość rodzi miłość.

Gruber skrzywił się i spojrzał na mnie, jakby szukając pomocy. Udałem, że tego nie widzę i przeniosłem wzrok na leżące na biurku papiery.

Fragranza ciągnęła:

- Miałam dwie przyjaciółki, Fatimę i Raję. Fatima znalazła piękną, bohaterską śmierć. Zginęła za ojczyznę, która jeszcze nie istnieje. Raję, jej brata i matkę kilka dni temu porwali ludzie z Hamasu. Mieli dużo czasu, żeby bez przeszkód ich przesłuchać. Możesz sobie wyobrazić, w jaki sposób. Matka wróciła z poobijaną twarzą i połamanymi palcami. Brat ciągle jest więźniem. Raja była jedną ze studentek uczestniczących w wykładzie, który wygłosił ojciec w Gazie. Dostała cios w serce, a jej ciało zostawiono przed American Colony, żeby zobaczyli je wszyscy zagraniczni dziennikarze. Miała osiemnaście lat. W oczach Hamasu była winna zdrady stanu. Torturowali ją i przyznała się do wszystkiego, wyjaśniając, że głód i strach zmusiły ją do zaprzędania się wam. Była odpowiedzialna za śmierć Raeda Hakima, zastępcy komendanta wojskowego organizacji. Dzięki informacjom dostarczonym przez Raję mogliście wycelować rakietę w samochód, którym podróżował. Nie wiem, czy to prawda, wiem tylko, że ta brudna, straszna wojna karmi się wyłącznie okrucieństwami, które są popełniane po obu stronach, a ja nie mogę już tego znieść.

Gruber nie odezwał się ani słowem. Fragranza spojrzała na mnie:

- Abuna Mateo, czy wie ojciec, że ciała naszych zmarłych, takich jak Fatima, których oni uważają za terrorystów, są owijane świńskimi skórami?

Gruber odezwał się:

- Nie jestem w stanie bardziej wyróżnić jakiegoś cierpienia. Nie czuję radości, kiedy zabijają jednego z waszych, nie świętuję, ale nie czuję się na tyle doskonały, żeby usprawiedliwiać kogoś, kto szkodzi mojemu narodowi.

Fragranza znów zwróciła się do mnie:

- Abuna Mateo, co by ojciec pomyślał, gdyby jakiś Kuzyn od Ściany wyraził gotowość oddania organów - swoich albo kogoś z rodziny - Przyjacielowi ze Skały i podobna deklaracja padłaby z drugiej strony? Czy nie byłby to najwyższy znak pokoju?

- Być może, Fragranzo - odpowiedziałem - ale nie wystarczyłby pojedynczy przypadek. Wszyscy Kuzyni od Ściany powinni podarować swoje organy jakiemuś Przyjacielowi ze Skały i odwrotnie. Nawet jeśli brzmi to paradoksalnie, może się okazać jedyną drogą.

- Zamiast tego - podsumowała - niszczą nasze domy. Zauważyłem, że Gruber czuł się coraz bardziej nieswojo.

Fragranza podeszła do niego, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

- We Francji stworzono nowy gatunek myszy, które wyróżnia bierność, potulność i apatia. Badacze poczytują to za sukces, bo dzięki temu otrzymali pierwszy wzór genetyczny na depresję.

Przerwała na chwilę, a potem krzyknęła:

- Gruber, właśnie to robi z nami twój naród. I wydaje ci się, że możesz potępiać Fatimę?

Gruber zerwał się z miejsca oburzony i wypominając mi, że udzielam schronienia terrorystce, co uznawał za niedopuszczalne, wyszedł z mojego gabinetu. Pomyślałem, że czekał na właściwy moment, żeby odejść w teatralny sposób.

Otwierając drzwi, zawołał w moją stronę:

- Jaka jest korzyść z bycia Żydem? Kiedyś znienawidzili nas za to, że w ogóle istniejemy i próbowali nas zgładzić. Dzisiaj nienawidzą nas za to, gdzie żyjemy i wysadzają nas w powietrze.

Przez jakiś czas się nie odzywałem. Dimmitu jako pierwszy przerwał ciszę przeciągłym miauknięciem. Fragranza uśmiechnęła się do mnie:

- Widzi ojciec? Jemu też nie spodobał się ten Gruber. Teraz naprawdę jest odpowiedni moment, żebym przeniosła się do Studium Biblicum. Gdyby zechciał mnie zatrzymać, widok Klasztoru Zbawiciela opanowanego przez jego agentów nie byłby niczym przyjemnym.

Z lekkim oburzeniem wyjaśniłem jej, że Gruber nie może nikogo aresztować na terenie Kustodii bez specjalnych pozwoleń. Tak czy owak rozumiałem jej punkt widzenia. Dimmitu znowu zamiauczała, być może na znak poparcia.

Poprosiłem Fragranzę, żeby zaczekała na mnie u Vidigala. Potrzebowałem trochę czasu, żeby dać jej odpowiedź. Odparła żartobliwie, że przebywając z nim, uczy się zawodu bibliotekarki. Stwierdziłem, że mógł to być pomysł na jej przyszłość, która jawiła się dość niepewnie. Opuściła mój gabinet razem z Dimmitu.

Ojciec Giancarlo poinformował mnie, że przyszedł Chaim Sieger. Ciągłe wizyty Kuzynów od Ściany w oficjalnej siedzibie Kustodii Ziemi Świętej stawały się dość kłopotliwe. Ojciec Giancarlo dał mi do zrozumienia, że w żadnym razie tego nie pochwala, a potem wprowadził gościa, nie okazując mu ani odrobiny serdeczności.

Chaim Sieger wyglądał dokładnie tak, jak opisała go żona. Był wysoki, potężnie zbudowany, nosił zatłuszczone gdzieś niedzie ubrania. Powiedział, że główny rabin Moshe Halevy przysłał go do mnie z powodu problemów, które miał z tymi złodziejami z kasyna w Jerychu, bo mogłem mu pomóc. Nie wspomniał ani słowem o Chayie, a kiedy poruszyłem ten temat, wściekł się i trzaskając drzwiami, wyszedł z mojego

gabinetu. Natychmiast pojawił się ojciec Giancarlo, który niemal mamrocząc, powiedział:

- Wielebny Ojcze, nigdy nie śmiałem wtrącać się w ojca działania. Ale to, co się stało, nie mieści się w głowie. Najpierw widziałem Grubera, który wyszedł stąd w mało kulturalny sposób, a teraz ten gbur ma czelność znęcać się nad drzwiami gabinetu. Proszę mi wybaczyć, ale jest ojciec przecież Kustoszem Ziemi Świętej!

Nie mogłem odmówić mu racji. Uniosłem wzrok ku niebu, chcąc w ten sposób wyrazić pragnienie bezpośredniej interwencji ze strony Naszego Pana czy też pokazać, że coś mnie trapi albo o czymś myślę. Nie odezwałem się ani słowem, a ojciec Giancarlo, czerwony na twarzy z emocji, na znak szacunku ucałował moją dłoń i zostawił mnie samego z moimi przemyśleniami.

Główny rabin Moshe Halevy miał nadzieję, że rozwiąże problemy jego zięcia, ale nic mu nie powiedział o wymianie, czyli anulowaniu długu w zamian za rozwód. Miałem to sam załatwić. Pomyślałem, że to typowy fortel, którym posługują się bohaterowie Singera i zamiast złości poczułem rozbawienie. Wezwałem ojca Giancarlo i powiedziałem mu, że chcę porozmawiać z Fragranzą. Poszedł po nią, pojawiła się po chwili w towarzystwie Dimmitu. Zapytała, co postanowiłem. Wyjaśniłem, że rozumiem jej punkt widzenia i lepiej będzie, jeśli przeniesie się do Klasztoru Biczowania. Uśmiechnęła się do mnie i krzywiąc się z bólu, znów potarła sobie oczy, wyjęła z kieszeni buteleczkę kropli, wpuściła trochę pod powieki, a potem wzruszona objęła mnie i wyściskała.

Zawołałem:

- Przecież nie widzimy się po raz ostatni!

Odpowiedziała:

- Kiedyś wyjaśnił mi ojciec, że najbardziej niezawodną rzeczą jest przemieszczanie się. Kto nie podróżuje, nie pozna wartości ludzi, bo nasza natura wynika z ruchu.

Potwierdziłem, że to prawda. Dodała:

- Abuna Mateo, innym razem usłyszałam: „Chciałbym mieszkać na szarych pagórkach, zrywać kwiaty z drzew brzoskwiniowych i kierować myśli ku obszarom nie należącym do ludzi”. Czy dalej widzi to ojciec w ten sposób?

Przytaknąłem.

- Abuna Mateo, czy mogę tu zostawić Dimmitu?

Ta prośba wydała mi się dość dziwna, ale odpowiedziałem, że nie mam nic przeciwko. Długo mi dziękowała, odniosłem wrażenie, że jest smutna i zmartwiona. Pomyślałem, że to przez ból oczu. Dimmitu nie próbował za nią iść, jakby wcześniej wszystko omówili i uzgodnili. Wskoczył na moje biurko i jak gdyby nigdy nic zaczął mrużyć. Pozwoliłem mu na to, ale w przyszłości nie miałem zamiaru pozwalać mu traktować moich dokumentów jak łóżko.

Byłem umówiony na Górze Oliwnej z patriarchą prawosławnym Alekosem. To on poprosił mnie o spotkanie.

Oczekiwał mnie na tarasie przed Seven Arch, z którego można było podziwiać Stare Miasto. Wyszedł mi naprzeciw, uśmiechnął się i przeprosił za swoje zachowanie podczas mojej wizyty w Patriarchacie, bo w ten sposób udało mu się uniknąć komplikacji. Zapytałem, co ma na myśli. Odpowiedział, że zdjęcie czarnej mewy dostali wszyscy jego biskupi i nie chciał, żeby zadawali mi kłopotliwe pytania. Dlatego sprowokował tę małą kłótnię. Potem zapewnił, że w dalszym ciągu łączy nas silna więź i po rozwiązaniu sprawy czarnej mewy zgodzi się na uczestnictwo w koncercie dla pokoju na Górze Nebo. Powiedziałem mu, że sprawa się wyjaśniła. Odpowiedział, że w takim razie groźba ewentualnych napięć pomiędzy

Kustodią a Patriarchatem została oddalona. Mogłem liczyć na jego bezwarunkowe poparcie.

Podziękowałem mu.

Ciągnął dalej:

- Mateo, to nieprawda, że brakuje nam w życiu czasu, rzeczywistość wygląda tak, że za dużo go tracimy.

Potem zapytał, czy lubię patrzeć na Jerozolimę z tego tarasu. Odpowiedziałem, że tak. Chciał wiedzieć, dlaczego. Wyjaśniłem mu, że z tego miejsca bardziej dostrzegałem jej moc. Kopuły, budynki, miejsca kultu, zaułki, ogrody nabierały z tej perspektywy poetyckiego wymiaru, kolory chwytaly za serce i przekazywały dojmujący ból Świętego Miasta, nieustannie znoszącego krzywdy ze strony tych, którzy pozornie trudzą się, żeby przynieść mu pomoc i ochronę. Podsumowałem:

- Jerozolimie przydałaby się równowaga pomiędzy rozważą umysłu i pewnością wiary.

Alekos słuchał mnie, uśmiechając się i potakując. Powiedział, że wzruszała go moja miłość do miasta i sprawiłbym mu wielką radość, gdybym zechciał udać się z nim do miejsca, gdzie czeka na mnie niespodzianka. Wsiadł do swojego auta. Szofer przywitał mnie z szacunkiem, co sprawiło mi przyjemność, zupełnie odwrotnie niż w przypadku kierowcy Grubera.

Pojechaliśmy w stronę Betlejem, mijając ulice, które dobrze znałem. Alekos milczał, miał nieobecny wyraz twarzy. Wokół nas, na przekór cierpieniom i zamachom, toczyło się codzienne życie. Z przyjemnością patrzyłem na opuncje figowe, agawy, eukaliptusy, zalesione tereny, stada owiec i kóz ze zwisającymi uszami. Podziwiałem dużego i silnego osła o prawie białej sierści. Jakby zgadując myśli, które chodziły mi po głowie, Alekos zawołał:

- Mateo, tak musiało wyglądać to piękne zwierzę, na którym Jezus dostojnie wjechał do Jerozolimy.

- Też tak myślę - odpowiedziałem.

Jechaliśmy teraz drogą prowadzącą do Herodionu. Gdy zbliżaliśmy się do budowli, Alekos powiedział, że byłby szczęśliwy, gdyby pewnego dnia mógł ją zwiedzić razem ze mną. Przypomniałem mu, że wykopaliska prowadził jeden z moich nauczycieli, ojciec Wirginio Corbo, który powiedział mi, że jest to najpiękniejsza forteca wśród wszystkich zbudowanych przez Heroda Wielkiego. Mógłbym mu też pokazać, jeśli nie cierpi na klaustrofobię, tunel łączący fundament cytadeli z górną, ufortyfikowaną częścią.

- Może tam na dole - zakrzyknął - są jeszcze do odkrycia jakieś tajemnice i moglibyśmy ich poszukać przy innej okazji. Może nawet znaleźlibyśmy jakiś posążek z greckimi inskrypcjami? Dodałoby to Patriarchatowi splendoru. Nie uważasz?

Alekos taki już miał charakter, że starał się znaleźć korzyść w każdej sytuacji. Kiedyś, w czasie wojny sześciodniowej, znaleźliśmy się w dość trudnym położeniu.

Grupa katolików i greko-prawosławnych została zatrzymana przez patrol Kuzynów od Ściany. Dowódca twierdził, że są szpiegami i chciał ich aresztować. Wspólnie z Alekosem próbowaliśmy zrobić wszystko, żeby do tego nie doszło. Chodziło o dwie rodziny zamieszkujące skromne domostwa w pobliżu Betlejem, które z całą pewnością nie mogły stanowić zagrożenia. Kilka godzin przekonywaliśmy upartego żołnierza, że popełnił błąd, wysadzając w powietrze domy tych biednych ludzi. Być może fakt, że franciszkanin i greko-prawosławny nie kłócili się, lecz zadawali sobie trud, żeby pomóc chrześcijanom, bez względu na różnicę wyznań, przekonał Kuzyna od Ściany do naszych racji.

Alekos poprosił mnie wtedy o przysługę. Zapytał, czy może ogłosić publicznie to nasze małe zwycięstwo. Zależało mu na swoim wizerunku. Teraz mówił:

- Wiesz, Mateo, jakiś człowiek powiedział mi kiedyś, że Jerozolima jest złotą miednicą pełną skorpionów, a ja mu odpowiedziałem, że pewnego dnia może zostać tylko złoto.

Spojrzałem na niego zaintrygowany, a on z uśmiechem dodał:

- To żart, Mateo, bo złota nie ma, a skorpiony są zbyt jadowite, żeby znaleźć schronienie w Mieście Boga.

Minęliśmy stałe punkty kontrolne. Nie sądzę, by żołnierze rozpoznali Kustosza i prawosławnego patriarchę, w każdym razie pozwolili nam przejechać bez sprawdzania dokumentów. Kilometr za Herodionem zgubiliśmy się. Kierowca wjechał w ubitą, zakurzoną drogę, zatrzymał auto po kilku metrach i zwrócił się po grecku do patriarchy. Znałem ten język i zrozumiałem, że obawiał się reakcji Alekosa, a moja obecność mogła go w pewien sposób uchronić przed nieuniknionym zeształaniem. Patriarcha kazał mu jechać dalej. Kierowca odparł, że jego zdaniem droga kończy się w wąwozie. Alekos wytłumaczył mu, że ma być posłuszny, modlić się i mieć nadzieję, że nie natkniemy się na dziury i rowy. Wbrew sobie ruszył dalej i po paru kilometrach, które wystawiły moje plecy na ciężką próbę, naszym oczom ukazał się wąwóz, a nad nim klasztor zawieszony na skalnym występie. Wyglądał jak zbudowany przez anioły i nie mogłem zrozumieć, gdzie mieściły się fundamenty i dlaczego nie strąciły go podmuchy wiatru.

Alekos dostrzegł moje zdumienie i łagodnie się uśmiechnął. Wydał kierowcy polecenie, który z ulgą zatrzymał samochód. Dalej poszliśmy na piechotę. Alekos powiedział, że przywiózł mnie do Klasztoru św. Zofii, gdzie wraz innymi

pięcioma mnichami mieszkał jego nauczyciel Diodoros. Rytm ich życia wyznaczało słońce. Budzili się, gdy wschodziło, a o zachodzie jedli kolację. Wieczory spędzali na nauce przy płomieniu świecy, każdy zamknięty w swojej celi.

Weszliśmy przez małe drzwi ukryte za skałą. Alekos uderzył w dzwonek i po chwili wyszedł do nas młody mnich z długą czarną brodą, który bez słowa ucałował dłoń patriarchy, a potem moją. Szliśmy za nim w górę i w dół, pokonując wiele schodów, niektóre były naprawdę strome. W mojej głowie powstało - być może nazbyt laickie - skojarzenie z malutkim zamkiem wrózek. W środku klasztor wydawał się większy niż na zewnątrz, jako pomieszczenia dla zakonników służyły naturalne grotty, które zostały oczyszczone i zaadaptowane na mieszkania.

Zapytałem Alekosa, z jakiego okresu pochodzi klasztor. Odpowiedział, że istnieje od tysiąca lat i wszystko zachowało się w nienaruszonym stanie. Przyjeżdżał tu czasem, żeby porozmyślać i popatrzeć na słońce. Usiedliśmy na występie skalnym. Widzieliśmy stamtąd wąwóz, strumień płynący na dnie, pasące się kozy i wszystko to wydało mi się bardzo odległą rzeczywistością, którą znałem tylko z książek.

Dołączył do nas Diodoros, wiekowy, ale nadal energiczny mnich, który powiedział do mnie:

- Wielebny Ojcze, w imieniu patriarchy chcę ojcu okazać naszą przyjaźń w ważnym i świętym dla nas miejscu.

Z godnością podał mi paczuszkę z czerwonego papieru przewiązanego zieloną złotą wstążką. Sprawiała trochę tandetne wrażenie. Poprosił, żebym ją otworzył. W środku był klucz do Bazyliki Bożego Narodzenia, zawinięty w arkusz welinu.

Alekos powiedział:

- Mateo, postanowiłem oddać ci klucz. Mam nadzieję, że docenisz mój gest. Jest on świadectwem zaufania i szacunku dla ciebie i pożytecznej pracy franciszkanów w Ziemi Świętej.

Podejrzana śmierć

W drodze powrotnej nie rozmawialiśmy. Każdy był zagrożony w swoich myślach. Poprosiłem, żeby kierowca wysadził mnie kawałek przed Bramą Nową. Chciałem wrócić do Klasztoru Zbawiciela sam. W tej sytuacji nie uważałem za rozsądne, żeby współbracia zobaczyli mnie w towarzystwie greko-prawosławnego patriarchy. Na pewno pomyśleliby, że podejmuję jakieś działania za ich plecami. A może niepotrzebnie się martwiłem?

Zamknąłem się w gabinecie, żeby pomyśleć. Musiałem poszperać w zakamarkach pamięci, przeanalizować każde zdarzenie z ostatnich dni. Bez wątplenia były w nich wskazówki i znaczenia, które mi umknęły.

Kiedy Gruber kazał się zaanonsować ojcu Giancarlo, pomyślałem, że przyszedł w samą porę, bo moje wątpliwości zamiast zmaleć, jeszcze się spiętrzyły. Przeprosił za swoje zachowanie, twierdząc, że Fraganza wyprowadziłaby z równowagi każdego Żyda, nawet najbardziej umiarkowanego i skłonnego do dialogu z Arafatem i Hamasem. Westchnął i usiadł w jednym z dwóch foteli stojących przed biurkiem. Poczęstowałem go lemoniadą. Wypił ją z przyjemnością. Zapytał, jak długo znam tę porywczą dziewczynę. Udzieliłem wymijającej odpowiedzi. Nie próbował mnie naciskać. Atmosfera była na szczęście luźniejsza niż poprzednim razem.

Powiedział, że chce mi opowiedzieć historię, która pomoże w dotarciu do prawdy. Nie spytałem, o jaką prawdę chodzi i zachęcony moim milczeniem zaczął mówić.

- Wielebny Ojcze, mój fach jest ciężki i niewdzięczny, ale niezbędny dla ocalenia Izraela. Cofnijmy się kilka kroków w przeszłość, gdy wicedyrektorem Tsometu był jeszcze Bialik. Polecił mi, żebym spotkał się w Londynie z pewnym Jordańczykiem, niejakim Rifaatem pełniącym eksponowaną funkcję w Al Fatach, i złożył mu ofertę. Czasem ta technika skutkuje, a kiedy zawodzi, osoba będąca obiektem naszego zainteresowania jest tak przestraszona, że często przestaje pracować dla przeciwnika.

Rifaat mieszkał w luksusowym hotelu Piccadilly. Moi ludzie śledzili go przez cały dzień, upewnili się, że śpi sam, a w jego apartamencie nie ma broni. Kiedy pozostawiono mi wolną rękę, poszedłem się z nim spotkać. Powiedziałem mu, że jestem z tajnych służb izraelskich i chcę, żeby dla nas pracował, za co zostanie sownie wynagrodzony.

Rifaat, elegancki i dystyngowany człowiek, zareagował inaczej, niż się spodziewałem. Z miejsca wyraził gotowość do podjęcia podwójnej współpracy, bo ze względu na wysoki poziom życia, które prowadził, bardzo potrzebował pieniędzy. Przekonała mnie jego szczerść i cynizm. Kilka dni później Rifaat zawiadomił mnie, że Al Fatach wyznaczył jakiegoś Vissera na koordynatora różnych grup terrorystycznych działających w Europie. Wiedział o nim tylko tyle, że jest Niemcem koło czterdziestki. Teoretycznie zamierzenie było dobre, ale ogromny problem stanowiło zjednoczenie ultranacjonalistów i skrajnych lewicowców, a jak ojciec wie, w islamskim świecie Marks i Mahomet nie chadzają ot tak sobie pod rękę. Pomocnikiem Vissera został wybrany Rifaat.

Visser chciał przedstawić Izrael w złym świetle. Zaaranżował pułapkę. Wszystko wskazywało na to, że znajduje się w Oslo i pracuje jako kelner w pewnej restauracji. Udało mu się ukryć twarz i zorganizować wszystko w taki sposób, że Tsomet wszedł w posiadanie zdjęcia jakiegoś biedaka, który pracował we wskazanym lokalu. Dwóch naszych ludzi poszło się z nim rozmówić, a im większe stawało się jego osłupienie, tym bardziej byli przekonani, że mają przed sobą Vissera. Zachowywał się tak, jak często robią to niewinni: podawał sprzeczne fakty, czerwienił się, jękał, płakał, błagał o litość. Po przesłuchaniu został uduszony. Potem stało się coś, co było niesłychane w przypadku szanowanych i profesjonalnych tajnych służb, jakimi był Tsomet. Najmłodszy z naszych agentów odjechał sprzed restauracji samochodem, drugi oddalił się piechotą. Postępowali zgodnie z naszymi zasadami. Osobno mniej rzucali się w oczy. Kierujący samochodem popełnił wykroczenie, obraził policjanta, który go zatrzymał i został zamknięty w areszcie. Chociaż nikt go o nic nie pytał, ze szczegółami opowiedział o całej akcji, prosząc w zamian o odstąpienie od kary.

Był to najbardziej kłopotliwy i najgłośniejszy skandal w całej historii Tsometu. Właśnie wtedy zostałem mianowany wicedyrektorem po tym, jak Bialik odebrał sobie życie. Jestem przekonany, że pchnął go do tego nie tylko wielki ból po stracie córki, ale również głęboka depresja spowodowana porażką naszej akcji.

Kiedy zajmowałem jego miejsce, zdawałem sobie sprawę z podwójnej winy Vissera. Przez niego zamordowano niewinnego człowieka, a mój najlepszy przyjaciel ze wstydu popełnił samobójstwo.

Z tego powodu pierwszym zadaniem, które sobie wyznaczyłem, biorąc również pod uwagę wskazówki premiera

Szarona, było zidentyfikowanie Vissera. Tajne służby europejskie nie wiedziały, jak wygląda. Jedynym łącznikiem był Rifaat, który nadal dla niego pracował. Ale ani razu nie udało mu się spojrzeć mu w twarz, bo gdy się spotykali, Visser miał na sobie kaptur, który zakrywał czoło, oczy, nos i usta. Jakiś czas potem Rifaat został potrącony, gdy wychodził z restauracji w pobliżu Curzon Street w Londynie. Samochód nawet się nie zatrzymał. Zginął na miejscu. Podejrzewaliśmy, że zabójcą był Visser, ale nie mieliśmy dowodu. Dalszy ciąg tej historii, Wielebny Ojciec, rozegrał się w Jerozolimie. Mój informator, Omar Rabbo, nazywany przez ojca czarną mewą, powiadomił mnie, że jest na tropie szeroko zakrojonego handlu dziełami sztuki i podejrzewa, że jest on źródłem finansowania akcji terrorystycznych. Był w trakcie poszukiwania dowodów. Trzy dni po naszym spotkaniu Omar Rabbo został zabity, morderca ubrał go w habit i zaaranżował całe to przedstawienie w Qumran. Wielebny Ojciec - Gruber przybrał niemal przepraszający ton - mam wielki szacunek dla ojca funkcji, ale miałem pewne wątpliwości. Franciszkański habit, handel dziełami sztuki... rozumie ojciec. Poza tym wiedziałem, że z moim poprzednikiem Bialikiem wiązała ojca pewna sprawa dotycząca szpiegostwa. Proszę mi wierzyć, że nawet na chwilę nie pojawił się cień podejrzenia, że jest ojciec zamieszany w zabójstwo Omara Rabbo, pomyślałem natomiast, że przekaże mi ojciec jakieś informacje albo spotkało ojca coś niecodziennego, co wzbudziło jego podejrzenia. Zresztą ojca zachowanie było pełne sprzeczności. Udział w spektaklu terrorystki, przyjęcie pod swój dach Fraganzy, którą jak mi się zdaje, zna ojciec od wielu lat i która nigdy nie używa słowa pokój. Krótko mówiąc, ojciec Mateo - po raz pierwszy tak mnie nazywał - mogłem się mylić w wielu sprawach, ale oj-

ciec na pewno nie ułatwił mi zadania.

Nic nie odpowiedziałem, sprowokowałyby to niepotrzebną wymianę zdań. Poprosiłem, żeby mówił dalej. Gruber był teraz bardzo poruszony.

- Nie powiedziałem ojcu, bo nie wydawało mi się to ważne, że w kieszeni spodni, które Omar Rabbo miał założone pod habitem, była karteczka z zapisanymi cyframi. Moi ludzie ustalili, że odpowiadają one numerowi rejestracyjnemu samochodu, z pewnością należącego do zabójcy.

- A skąd ta pewność?

- Bo to fałszywe numery, taka tablica nie została zarejestrowana.

Odparłem, że jego hipoteza nie wydaje mi się przekonująca. Uśmiechnął się, a na jego twarzy pojawił się wyraz przebiegłości, który mnie rozbawił. Przymknął oczy i zmarszczył czoło.

Opowiadał dalej.

Zabójca

Gruber wyjaśnił mi, że w tej sprawie każda rzecz wydawała się czymś zupełnie innym. Pozory mnożyły się w niedający się przewidzieć sposób. Jedno zdarzenie odsyłało do innego. A kiedy w końcu wydawało się, że wszystko staje się jasne, wychodziły na jaw nowe komplikacje.

Po raz kolejny zapewnił, że gdy kazał mnie szukać tego ranka w Betlejem, zrobił to w dobrej wierze. Wiedział, że ofiarą jest jego informator, Omar Rabbo, ale chciał wyjaśnić, dlaczego miał na sobie franciszkański habit. Odpowiedziałem, że posłużył się wobec mnie oszustwem. Dlaczego od razu nie powiedział mi prawdy, żeby mnie uspokoić? Czy tak nie byłoby prościej i czy nie można by uniknąć tylu niejasności? Gruber odpowiedział, że moja reakcja jest uzasadniona, ale powinienem przeanalizować tę sytuację z wielu punktów widzenia. A jakich mianowicie? Stwierdził, że zrozumiał, że ma do czynienia z czymś, co iluzjoniści nazywają w swoim żargonie techniką zmiany kierunku. Przedstawia się jakąś prawdę, która nie jest tą właściwą, a każde późniejsze zdarzenie jest jej konsekwencją, co rodzi nieopisany zamęt. Wydaje ci się, że jesteś blisko rozwiązania problemu, ale wcale tak nie jest.

Odparłem, że wykorzystał mnie w taki czy inny sposób, wywołując niepokój nie tylko we mnie, ale w całej Kustodii.

Stałem się ofiarą jego kręactw i kłamstw. Uśmiechnął się z niedowierzaniem, Kustosz Ziemi Świętej nie mógł być niczyją ofiarą. Mówił dalej:

- Zanim Omar Rabbo został zamordowany, zdążył wysłać mi list, który doszedł dopiero dzisiaj.

Podał mi pomietą w kilku miejscach kartkę.

Było na niej napisane:

Rosenkrantz i Guildenstern nie żyją. A Hamlet? Jest na Agron Street 18, 3 piętro. Są tylko jedne drzwi.

Spojrzałem na niego zdumiony. Poprosił, żebym sprawdził, co jest na odwrocie. Tak zrobiłem. Były tam cyfry.

- Chyba nie chce mi pan powiedzieć...? - zawołałem.

- Otóż to! Dokładnie, Wielebny Ojczy.

Był wyraźnie zadowolony.

- To te same cyfry, które były zapisane na kartce znalezionej w spodniach Rabbo. Są numerem rejestracyjnym samochodu zabójcy.

Potrząsałem głową. Powiedziałem mu, że nie jestem przekonany. Na jego twarzy pojawił się dziecięcy grymas. Wyglądał jak malec, który próbuje się wytłumaczyć, bo rodzice odkryli jakieś jego szelmstwo. Ale ja nie miałem żadnych rodzinnych powiązań z Gruberem więc nie musiałem mu wybaczać. Zamiast tego podjąłem błyskawiczną decyzję, która pomieszała mu szyki. Powiedziałem:

- Żeby przekonać się, który z nas ma rację, pójdę z panem pod ten adres.

Na dziedzińcu Klasztoru Zbawiciela stał samochód z tym samym milczącym kierowcą. Nie napotkaliśmy dużego ruchu. W kilka minut dotarliśmy na Agron Street, która znajdowała się niedaleko Kustodii. Wyszliśmy z samochodu, weszliśmy do bramy. Wyszliśmy na czwarte piętro. Gruber, wyjął z kieszeni pęk kluczy, wypróbował kilka, zanim znalazł właściwy,

podobnie jak w filmach o znanych złodziejach, otworzył drzwi, od razu zobaczył wyłącznik i zapalił światło. Przed nami był korytarz, który ciągnął się na całą długość mieszkania i sięgał do przeszklonych drzwi. Wystrój wydał mi się dziwny. Ściany i sufit były błękitne, podłoga przykryta wytartymi, pospolitymi dywanami, ułożonymi jeden na drugim. Na dwóch kanapach leżało pełno zielonych, rozprutych poduszek, a w kącie dostrzegłem olbrzymi gong z mosiądzu. Czulem zapach starzyzny i zamkniętego pomieszczenia, niezdrowe powietrze. W sypialni znajdowało się szerokie łóżko i ciężka szafa. Otworzyłem drzwi i zapaliłem zapalniczkę, oświetlając rząd wieszaków, na których nie było ani jednego ubrania. Nadszedł Gruber. Chwycił środkowy wieszak, przekreślił go jak dźwignię i tył szafy obrócił się w moją stronę, odsłaniając metalową kładkę wzdłuż zewnętrznej ściany zakończoną schodami prowadzącymi na wąską, długą uliczkę.

- Biegnie równoległe do Agron Street - powiedział Gruber i dodał:

- To doskonały system, który umożliwia dyskretne wyjście z mieszkania.

Spojrzał na mnie z zadowoleniem i wyjaśnił, że poznał tajniki tego rodzaju mebli podczas szkolenia dla agentów Tso-metu. Zaraz potem zaznaczył, że jego nauczycielem nie był Bialik, ale funkcjonariusz niższego szczebla.

Pomyślałem, że mechanizmy myślowe Grubera przebiegały w szczególny sposób. Wyznawał logikę, która opierała się przede wszystkim na jego własnej argumentacji, która była słuszna, ale pozostawiała rozmówcę całkowicie poza nawiasem. Nagle przeskakiwał z tematu na temat. Wzmianka o Bialiku była w tym momencie bez znaczenia. Zdałem sobie sprawę, że przychodząc tu z nim zachowałem się nieracjonal-

nie. Chyba chciałem jak najszybciej zakończyć całą sprawę i wyjaśnić istniejące znaki zapytania. Ale jako Kustosz Ziemi Świętej nie mogłem rzucać się w wir każdej przygody, jak kiedyś, gdy byłem zwyczajnym zakonnikiem.

Kiedy się nad tym zastanawiałem, zdałem sobie sprawę, że Gruber zniknął. W tym samym momencie usłyszałem za sobą szelest. Odwróciłem się i przez chwilę poczułem jak krew odpływa mi z głowy, która staje się lekka i pusta, a ja nie mogę wykonać żadnego ruchu. Chciałem krzyczeć, ale nie byłem w stanie. Chociaż byłem przyzwyczajony do niespodzianek, ta była kompletnym zaskoczeniem.

Przede mną stał ojciec Bernard, bez habitu, z pistoletem w ręku, którego wyraźnie chciał użyć. Podniosłem ręce do góry, a on zrobił krok w moją stronę i uniósł brwi.

- Rozumiem - powiedział - że jest ojciec zaskoczony moim widokiem.

Zamilkł. Przymrużył oczy, usta mu znieruchomiały. Serce biło mi jak szalone, miałem sucho w ustach, pocilem się. Chcąc przedłużyć moją agonię i cierpienie, wpatrywał się we mnie, dając do zrozumienia, że nie zdecydował się jeszcze, czy strzelić do mnie od razu, czy nie. W każdym razie, zamierzał mnie zabić. Zastanawiając się, gdzie podział się Gruber, z uśmiechem popatrzyłem mu w oczy. I zadałem mu kilka banalnych pytań, których się nie spodziewał.

- Ojczy Bernardzie, co tu ojciec robi z pistoletem w dłoni? Kiedy ojciec wrócił z Mozambiku?

Usiłowałem ułożyć w myślach inne podobne zdania, a przede wszystkim wypowiedzieć je odpowiednim tonem. Jeśli przekona się, że nie odczuwam strachu może nie zabije mnie od razu i Gruber zdąży wrócić... Powiedziałem więc:

- Nie dostałem jeszcze listu od Przełożonego Generalnego, który mi ojciec obiecał. Oczywiście jeśli zaraz potem wyjechaliście do Mozambiku, trudno było go przygotować. Jestem pewny, że teraz go dostanę. Ojcze Bernardzie, niech ojciec odłoży ten pistolet, proszę uważać, bo może wystrzelić, niech ojciec trzyma palec z dala od spustu.

Ostatnie słowa z trudem wyszły mi z ust, a udawany śmiech zabrzmiał sztucznie. Spojrzał na mnie pobłaźliwie i wyjaśnił, że pracował nad olbrzymim interesem, a Omar Rabbo go zdradził. Sporo mu zapłacił, a on sprzedał go Tsometowi. Trzeba było go uciszyć.

Wtedy popełniłem błąd. Zapytałem go, czy to on jest Hamletem, kim są Rosenkrantz i Guildenstern, i dlaczego nie żyją? Zmienił się na twarzy. Był naprawdę zaskoczony. Pokiwał głową. Powiedział, że nie chciał mnie zabijać, ale teraz musi to zrobić. I dodał:

- Pewien mój przyjaciel zdobył tytuł mistrza Europy w boksie wagi średniej, wykazując się wielką odwagą. Wie ojciec, jak tego dokonał? Przeciwnik wybił mu zęby, ale on je połknął, żeby się nie zorientował. Walczył dalej, do końca spotkania. Obawiam się, że ojciec nie ma takiego charakteru.

Kiedy wypowiadał ostatnie słowo uskokczyłem w bok. Nie wiem, dlaczego wybrałem właśnie ten moment, może podpowiedział mi to instynkt. Chciałem złapać pistolet i to uratowało mi życie. Upadłem na ułamek sekundy, zanim ojciec Bernard nacisnął spust. Kula przeleciała mi nad głową i utkwiała w ścianie. Na wpół zamroczony rzuciłem się na niego, zacisnąłem mu ręce na szyi i uderzyłem kolanem w żołądek. Trafiłem go pięścią w głowę. Zachwiał się. Drugi cios wymierzyłem w usta. Cofnął się chwiejnym krokiem, upuścił broń. Chwyciłem pistolet i kiedy, z pobladłą twarzą, zaczął się do mnie zbliżać, krzyknąłem:

- Proszę się zatrzymać albo strzełę.

Ojciec Bernard zastygł w bezruchu i zmierzył mnie wzrokiem. Jego siwe włosy były rozczochrane, ubranie w nieładzie. Trzęsły mi się kolana, brzęczało w uszach, a powietrze, które wdychałem, było przesiąknięte mdlącym zapachem strachu.

- Proszę nie podchodzić, bo źle się to dla ojca skończy - zagroziłem.

Z całego serca zaczął się śmiać. Coraz głośniej i głośniej. Między kolejnymi salwami przypomniał mi, że jestem księdzem i nigdy nie odebrałbym mu życia, więc lepiej będzie, jeśli przestanę zachowywać się jak pajac i oddam mu broń. Odpowiedziałem zdaniem mającym zrobić na nim wrażenie.

- Jeśli to zrobię i zastrzeli mnie ojciec, nic mu z tego nie przyjdzie, a jeśli puści mnie ojciec wolno, dużo zyska. Proszę to przemyśleć.

Ojciec Bernard znowu się roześmiał.

- Najpierw proszę mi podać moje Magnum.

- Ten dom jest otoczony ślepyimi korytarzami. Nikt nie zorientuje się, skąd dochodzą strzały, więc może mnie ojciec spokojnie zabić. Ale powtarzam: czy się to ojcu opłaci?

Zaśmiał się. Poradziłem mu:

- Oszczędziłbym sobie tego śmiechu.

- Tak sobie myślę - stwierdził ojciec Bernard - że w końcu zawsze stajemy się ofiarami głupoty. Jeśli nie własnej, to cudzej.

Wyraz jego twarzy uległ zmianie i gwałtownie odwrócił się w kierunku szafy, z której w tym samym momencie padły strzały. Naliczyłem co najmniej pięć. Ojciec Bernard upadł na podłogę. Głośno oddychał. Jedna z kul rozerwała mu szyję po prawej stronie, z rany wypływały strumienie krwi. Druga trafiła go w sam środek klatki piersiowej. Na jego koszuli poja-

wił się czerwony kwiat, który cały czas się powiększał. Poruszył wargami, ale nie rozumiałem, co chciał powiedzieć. Otwierał i zamykał usta jak świeżo złowiona ryba. Mogłem myśleć tylko o tym, jaki wysięk sprawiało mi powstrzymanie się od wymiotów.

Musiałem coś zrobić. Potrzebna mu była woda. Powtarzałem sobie, że ranni zawsze potrzebują wody. Poszedłem do kuchni, napełniłem szklankę i wróciłem do niego. Nie poruszył się. Miał otwarte usta i oczy. Ukląkłem i zwilżyłem mu wargi kilkoma kroplami. Odłożyłem szklankę i dotknąłem mu nadgarstek. Nie wyczułem pulsu. Spojrzałem na swoje ręce. Były poplamione krwią. Wróciłem do kuchni, umyłem się i wytarłem małą brudną ścierką, zawieszoną na haczyku.

Kiedy przyszedłem z powrotem, Gruber lustrował ojca Bernarda. Odetchnął głęboko. Powiedział mi, że uwolnił się od koszmaru. Ocalił też mnie i Kustodię. Potem wyraził żal, że użył mnie jako przynętę, ale nie miał innego wyjścia. Zorientował się, że ktoś wchodzi po schodach i będąc przekonany, że porozmawiam z tym zabójcą, a on będzie mógł go aresztować, postanowił ukryć się w szafie. Po prawej stronie wieszaka, który służył jako dźwignia otwierająca tył mebla była wąska przestrzeń. Mógł mi ją pokazać, jeśli miałem ochotę. Odrzuciłem propozycję.

Mówił dalej, tłumacząc, że nie przewidział, że znam tego osobnika jako ojca Bernarda.

- A propos, Wielbny Ojcie. Czy wie ojciec, jak naprawdę się nazywał? Czy w tej sytuacji chciałby się ojciec dowiedzieć? To Visser, opowiadałem ojcu o kilku jego występkach.

- Był i pozostał człowiekiem - wyszeptalem z lekkim westchnieniem.

Niespodzianka Fragranzy

Odruchowo zacząłem się modlić, żeby cały ten koszmar nie zawładnął także i mną i nie załgał się w mojej głowie. Po raz kolejny uświadomiłem sobie, że ja i cała Kustodia doznajemy okrutnej ulotności życia w tym świętym, coraz bardziej zbolałym mieście, zależnym od niesprawdzalnych nastrojów.

Przypomniałem sobie, co w związku z Jerozolimą opowiedział mi kiedyś Vidigal. Pewnego ranka, z koszykiem wypełnionym dopiero co kupionymi pomarańczami, siedział w pobliżu Bramy Grobu Świętego. Zatrzymał się w tym miejscu, które bardzo lubił, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Nadeszła grupa turystów z przewodniczką. Wskazując na niego, przewodniczka głośno powiedziała:

- Widzicie tego zakonnika siedzącego z koszykiem pomarańczy? Spójrzcie, nad jego głową znajdują się bardzo wartościowe fragmenty archeologiczne z różnych epok.

Zaczęła je wymieniać. Vidigal wyjaśnił mi, że prawdziwe życie zaczęłoby się dla Jerozolimy wtedy, gdyby przewodniczka powiedziała:

- Widzicie ten rzymski łuk i tamtą bizantyjską kolumnę? One są nieważne. Liczy się siedzący tam zakonnik, który kupił pomarańcze dla swoich wiernych.

Powiedziałem Gruberowi, że chcę już wyjść z tego domu. Miałem ochotę się przejść, nie potrzebowałem jego samo-

chodu. Odpowiedział, że jego ludzie zajmą się doprowadzeniem mieszkania do porządku - dokładnie tak się wyraził - a zatem możemy pójść wszędzie, dokąd sobie życzę.

Z Agron Street dotarliśmy do Mamillah, a potem przez Bramę Jafską weszliśmy na Stare Miasto. Nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem, co pozwoliło nam pozbyć się napięcia. Na wprost Cytadeli znajdował się lokal, w którym przyrządzano dobrą arabską kawę. Usiedliśmy przy jednym ze stolików. Ja pierwszy przerwałem milczenie.

Ze szczegółami opowiedziałem Gruberowi przebieg spotkania z ojcem Bernardem, czy raczej Visserem, jak być może się nazywał. W tej sytuacji niczego już nie byłem pewny. Gruber był zadowolony, że wymierzył sprawiedliwość zabójcy Omara Rabbo i wyraził zdziwienie, że nie widzę niepokojącej analogii między śmiercią Rifaata i jego ojca. Obydwu potrafił ktoś, kto uciekł, nie udzielając im pomocy.

- Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Visser zabił mojego ojca, a może też innych Żydów - podsumował zadowolony.

Nie zaprzeczyłem, a on stwierdził, że z radością przyjmuje fakt, że sprawiedliwości stało się zadość.

Pożegnaliśmy się. Wracając do Klasztoru Zbawiciela, zdawałem sobie sprawę, że zadawanie Gruberowi kolejnych pytań czy szukanie nowych wyjaśnień nie miałyby sensu. Jeśli chciałem dotrzeć do prawdy, musiałem sam iść naprzód i odkryć powiązania między tymi wszystkimi faktami, które na pozór wydawały się odległe.

Na dziedzińcu czekał na mnie ojciec Giancarlo, jakby wiedział, że właśnie się pojawię. Był jeszcze bardziej poruszony niż zazwyczaj. Nie przejąłem się tym, ale on wymamrotał, że stało się coś strasznego i podał mi kopertę. Z lekką ironią zapytałem:

- Kolejne zdjęcie czarnej mewy?

Przybierając najbardziej posępny ze wszystkich swoich wyrazów twarzy, ojciec Giancarlo wykrzyczał jednym tchem:

- Wielebny Ojcze, Fragranza zniknęła z Klasztoru Bizowania! Zostawiła dla ojca ten list!

W podobnych sytuacjach, gdy stawałem w obliczu nieoczekiwanych wiadomości, zwykłem reagować trzeźwo i szybko zastanawiałem się, co robić. Tym razem, całkowicie mimowolnie, poczerwieniałem na twarzy i wytrzeszczyłem oczy. Ojciec Giancarlo z niepokojem obserwował tę zmianę i zapytał, czy podać mi szklanę wody. Byłem zły na siebie, że pokazałem mojemu sekretarzowi tę chwilę słabości. Podziękowałem mu za troskę, niczego nie potrzebowałem. Poprosiłem, żeby zostawił mnie samego. Poszedłem na górę, do mojego gabinetu i zagłębiłem się w lekturze.

Abuna Mateo

Mam ojcu wiele do powiedzenia i chciałabym znaleźć w sobie logiczny porządek, który umożliwi ojcu zrozumienie, choć nie zaakceptowanie, emocji, które odczuwam, wypełniając biały papier myślami, wspomnieniami, refleksjami. Przez ostatnie noce drżałam na całym ciele. Nie mogłam powstrzymać szcękania zębami, bałam się, że ze strachu kości wypadną mi ze stawów. Miałam uczucie, że włosy na czole stały się twardymi, sterczącymi, ostrymi igłami.

Pomyślałam, że człowiek, zwierzę, roślina i wszystkie inne rzeczy, ukazują swoje prawdziwe oblicze tylko jeden raz, w chwili gdy po raz pierwszy je dostrzegamy. Jakby oddawały nam swoją dziewiczość. Zaraz potem nie są już tym samym, stają się czymś innym. Zostają przekształcone, zafałszowane, przyćmione przez naszą duszę, nasze zmysły. Abuna, pamięta ojciec ceremonię przekazywania jabłek z Keraku na Górze Nebo? Nasza rodzina stawiała się w komplecie na placu

przed Bazyliką. Tam nauczył mnie ojciec kochać dolinę Jordanu i miasto pamięci, Jerycho, Jerozolimę, Betlejem. Mój ojciec zawsze przynosił dwa pełne kosze jabłek. Brałam je i zanosilaam do skrzyni, która znajdowała się w spiżarni obok klasztornej kuchni. Przez cały rok na Nebo było chłodno więc mogłam uniknąć znieważania wspaniałej woni Keraku zapachami lodówki.

Miałam za zadanie codziennie napełniać jabłkami trzy należące do ojca koszyki. Jeden stał w sypialni, drugi w gabinecie, a trzeci, mniejszy od pozostałych, zabierał ojciec ze sobą na wykopaliska. Kiedy nie ruszał się ojciec z klasztoru, zjadał dwa jabłka. Ale podczas prac archeologicznych w terenie zamieniały się w cztery. Abuna, nigdy się ojciec nie zorientował, ale przez lata zjadał ojciec pięć, zawsze dodawałam jedno. A może z powodu łakomstwa udawał ojciec, że o niczym nie wie.

Abuna Mateo, byłam z ojcem na Nebo i pomagałam w oczyszczaniu mozaiki, kiedy dostał ojciec telefon z informacją o śmierci ojca Bagattiego, swojego mistrza. Objął mnie ojciec, mówiąc ze łzami w oczach, jak ważna jest umiejętność szczerego radzenia się swojej duszy i dogłębne jej analizowanie. Wyjaśnił mi ojciec, że nie ma takiej osoby, która na pewnym etapie swojego życia nie odczułaby palącego pragnienia, by zmienić złe rzeczy dziejące się w jej otoczeniu. Ale to niemożliwe.

A na zakończenie: „Fragranzo, jeśli spada na nas jakieś nieszczęście, wydaje nam się, że mamy prawo o nim zapomnieć. A to się nie oplaca. Lepiej sprawić, żeby stało się ono naszym przyjacielem. Pamiętaj, że znajdujemy się na krawędzi jakiejś przepaści i dotykają nas różnego rodzaju niedyspozycje, ale jeśli odkryjemy w sobie zdolność modlitwy, ona nas ocali”.

Te słowa, Abuna, pozostały przez te wszystkie lata w moim sercu i były mi w życiu czułymi towarzyszami.

Kiedyś przyszedłam do ojca wściekła na swoją nauczycielkę. Chodziłam do szkoły w Madabie i byłam traktowana bardzo surowo. Karła mnie za każde najdrobniejsze przewinienie. Kiedy rozmawiałam z koleżanką z ławki, wysyłała mnie do tablicy i kazała trzydzieści razy pisać: „jestem źle wychowana”. Pocieszył mnie ojciec, mówiąc: „Nastaje kolejny dzień, a wraz z nim pragnienie i obawa, by móc wypełnić swój obowiązek, ale również chęć odłożenia wszystkiego na później. Przeżywasz okres rozgoryczenia i złości. Nie pozwól się zawałdnąć żadnemu z tych uczuć. Używaj ich dla zyskania dodatkowej energii, ale nigdy kosztem innych. Postępując w ten sposób, zyskasz coś, co będzie wykraczało poza zwyczajne przetrwanie”.

Również te ojca słowa miały dla mnie fundamentalne znaczenie. Przyczyniły się do mojej pogody ducha i spokoju. Pewnej nocy, gdy nie mogłam spać, przyszedłam do klasztoru, zapukałam do okna i obudziłam ojca. Odczuwałam silny niepokój. Powiedziałam ojcu: „Czuję strach przed pięknymi wspomnieniami, bo nie będę mogła jeszcze raz ich przeżyć”.

Odpowiedział mi ojciec, że nie wszystkie doświadczenia, które przytrafiają nam się w życiu, są powtarzalne. Spojrzał na mnie ojciec z wielką czułością i mówił dalej: „Fragranzo, trzeba kochać piękne wspomnienia. Nie można ich sfalszować lub zastąpić innymi uczuciami ani monotonnym, pozbawionym pasji życiem. Nie obawiaj się przyszłości i zawsze myśl o tym, że nie możemy wydrzeć duszy, którą mamy i pożyczyć sobie inną. Można wypożyczyć ubranie, wynająć samochód, dom, ale nie duszę. Ona jest przypisana wyłącznie nam. Fragranzo, o czymkolwiek byś nie marzyła, cokolwiek nie przeżywała,

zawsze powinnaś pozostać sobą, postępować zgodnie ze swoją osobowością i nigdy nie rezygnować z własnego ja. Jeśli tego nie zrobisz, pogubisz się, a to jest najgorsze, co może cię spotkać. Przeszaniez wtedy żyć i pozbawisz się siły, która jako jedyna jest zdolna dać nadzieję tej części nas, która jest bezbronna".

Abuna Mateo, opowiedział mi ojciec, że miniony wiek, pod koniec którego się urodziłam, był najkrwawszy w całej historii ludzkości. Liczba ofiar bezpośrednio lub pośrednio spowodowanych wojnami, jakie rozegrały się w dwudziestym stuleciu, sięga prawie dwieście milionów. Dwieście milionów dusz, jak ojciec powiedział.

Wiem, że dziś, jak nigdy, potrzebny jest pokój. Ale w jaki sposób? Mam wrażenie, że Przyjaciół ze Skąły nie obchodzą chrześcijanie, a Kuzyni od Ściany żyją w dobrowolnej izolacji, podejrzewając, że cały świat jest do nich wrogo nastawiony. Taka niewiedza pociąga za sobą straszliwe konsekwencje, przez co ogromnie cierpię.

Wywodzę się z chrześcijańskiej rodziny z Keraku, która przeniosła się do Madaby, a później - dzięki wspaniałomyślności ojca - na Nebo. Wiem, co oznacza przynależność do mniejszości. Dlatego chciałabym zająć się tymi, którzy cierpią, są biedni, starzy, tymi, którzy opuszczają swój kraj, bo są głodni.

Powiedział mi ojciec kiedyś, żebym pamiętała, że koncepcja Królestwa Bożego, które nie jest z tego świata i nie może się urzeczywistnić na ziemi, jest częścią naszej wiary, ale nie powinna stać się wymówką usprawiedliwiającą niemożność pomocy biednym.

Dobrze ojciec wie, że mur budowany przez Szarona uniemożliwi osiągnięcie politycznego rozwiązania. Jest to więzienie nie tylko dla ciała, ale i dla duszy. Myślę, że wszystkie

osoby duchowne powinny walczyć przeciwko temu pomysłowi. Nie było muru w czasach biblijnych, nie istniał przez te wszystkie lata, nie może stanąć dzisiaj. W Ziemi Świętej potrzebne są mosty, a nie mury.

Dwa narody, które chcą bronić swojej kultury i historii, nie potrzebują drutu kolczastego, ale wzajemnego szacunku. Jest to granica nie do przekroczenia, którą wyznaczają świadomość i wiedza.

To ojciec nauczył mnie takiego myślenia. Wy tłumaczył mi, że mury tworzą getta, które są więzieniami duszy.

Pamięta ojciec, jak zapragnął ojciec pokazać mi swoją Jerozolimę? Był to prezent na moje jedenaste urodziny. Znaleźliśmy się przed Bramą Damasceńską, gdzie jak w czasach Jezusa tłoczyli się proszący o jałmużnę biedacy. Zobaczyłam świat pełen nieszczęścia, do którego nie byłam przyzwyczajona. Byłam poruszona, a ojciec powiedział mi, że bym nie popadła w przygnębienie z powodu każdego dziecka bez butów. Potem pokazał mi ojciec stare domy, wszystkie prawie czarne od dymu i brudu. Na ziemi leżały bardzo śliskie, marmurowe płytki. Bałam się, że się poślizgnę, bo spływały po nich wszelkiego rodzaju nieczystości. Miałam na sobie odświętne ubranie, biała spódnica mogła się pobrudzić. W zabawny sposób pokazałam, że wszystko mi jedno, a ojciec zrozumiał, że chcę iść dalej. Jedna z ulic prowadziła w prawo, druga w lewo; widzieliśmy wiele kobiet z zasłoniętymi twarzami.

Powiedział mi ojciec, że zapach jest do zniesienia, można do niego przywyknąć. Był to ludzki zapach, każdy miał swój własny. Zapytał ojciec spojrzeniem, w którą stronę chcę iść. Pokazałam, że w lewo. Były tam dzieci w moim wieku, które prosiły o bakszysz. Dałam im trochę monet, które dostałam od ojca na cukierki. Przeszliśmy przez Via Dolorosa. Powiedział

mi ojciec, że nie pokrywa się z drogą cierpienia i męczeństwa naszego Pana i istnieje wiele wątpliwości dotyczących tej trasy. I tak się wzruszyłam, ukłęłam i ucałowałam ziemię.

Poszliśmy w kierunku Grobu Świętego. Wspięliśmy się na Golgotę i byłam zdziwiona, że znajduje się wewnątrz Bazyliki, na szczycie stromych, kamiennych schodów. W miejscu krzyża był prawosławny ołtarz, połyskujący wotami. Długo się modliliśmy, stojąc obok ubranych na czarno pielgrzymów z Grecji. Zeszliśmy z Golgoty i odwiedziliśmy grób Jezusa. Był bardzo mały i pozbawiony ozdób. Kiedy wyszliśmy z Bazyliki, zrobił ojciec coś, czego się nie spodziewałam. Wszedł ojciec do sklepu i po chwili wrócił uśmiechnięty. W lewej ręce trzymał ojciec różaniec z pestek oliwek, poświęcił go ojciec i mi podarował. Zawsze mam go przy sobie. Jest moim talizmanem.

Nauczył mnie ojciec, że Jerozolima jest miastem wielu nadziei, które wyrażane są codziennie po hebrajsku, arabsku, grecku, armeńsku, francusku, łacinie, etiopsku i przynajmniej w tuzinie innych języków. Pielgrzymi przyjeżdżają nawet wtedy, gdy wybuchają bomby. Całują posadzki meczetów, biją się w piersi przed Ścianą Płaczu, klękają przed Kalwarią, głaszczą Kamień Namaszczenia. Ta cudowna demonstracja pokory i cierpienia w całości wynika z wiary, bo Jerozolima zawsze dotrzymuje swoich obietnic, a pielgrzymi są jej solą, wodą, chlebem i płodnością.

Abuna, chcę opowiedzieć ojcu historię Ibrahima, młodego libańskiego chrześcijanina, który spędzał długie godziny przed obrazem Moneta w muzeum sztuki współczesnej w Bejrucie. Przedstawiał wiosenną łąkę oświetloną ciepłym, czystym, harmonijnym światłem, roztaczającym nad pejzażem magiczną aurę spokoju, jakby utrwalona na płótnie

chwila miała trwać wiecznie. Mój przyjaciel Ibrahim znalazł każdy szczegół tego obrazu, kształt kwiatów, odcienie płatków, fałdy trawy, głębię nieba, kolor fruwających motyli. Za każdym razem, gdy na niego patrzył, starał się zarejestrować spojrzeniem jak najwięcej detali tego zaczarowanego pejzażu. Wiedział, że wkrótce nie będzie mógł ufać swoim chorym oczom i żeby go zobaczyć, będzie musiał czerpać z tego, co umieścił w bibliotece wspomnień.

Abuna, Ibrahim cierpi na syndrom Ushera, rzadką chorobę, która atakuje gałkę oczną, prowadząc do zniszczenia nerwu wzrokowego. Objawia się ograniczeniem pola widzenia, ciemnymi mroczkami i trudnością w rozpoznawaniu kształtów. W efekcie następuje całkowita utrata wzroku.

Zanim na zawsze pogrąży się w ciemności, Ibrahim chce znaleźć się we wnętrzu góry, z której nigdy nie będzie mógł wyjść, zbudować sobie świat wspomnień, zapisać każdy piękny obraz i zabrać go ze sobą. Pewnego dnia, kiedy jego oczy będą już tylko ciemnymi plamami, zobaczy je siłą wyobraźni.

Ibrahim zapragnął zwiedzić Włochy, pospacerować po placach Rzymu, podziwiać zabytki Florencji, zagubić się wśród weneckich kanałów, a ponieważ jest dobrym alpinistą, przy pomocy kilku przyjaciół, ponownie doświadczył upajającej konfrontacji ze skalną ścianą. Twierdzi, że w gruncie rzeczy jest szczęściarzem, bo o wiele lepiej od innych poznał barwy świata i w chwili, gdy na zawsze się z nimi rozstanie, zabierze ze sobą piękne wspomnienia.

Abuna, okazało się, że cierpię na tę samą chorobę, co Ibrahim, ale ponieważ moja jest w początkowym stadium, istnieją możliwości leczenia. Kiedy jestem wśród ludzi, odczuwam współczucie dla siebie samej. W jaki sposób zdołam im wytłumaczyć, że jestem martwą wśród żywych?

Moje serce nie wykonuje żadnego ruchu, dusza milczy i skrywam przed innymi moją smutną tajemnicę. Abuna, to ja uderzyłam ojca gumową pałką przed bramą Klasztoru Zbawiciela. Potrzebowałam pretekstu, żeby przyjął mnie ojciec jako swoją wybawczynię i obdarzył pełnym zaufaniem. Śledziłam ojca przez dwa dni i ani razu nie nadarzyła się stosowna okazja. Potem zabawił ojciec w dzielnicy ormiańskiej dłużej niż planował i w końcu pojawił się odpowiedni moment, żeby pozbawić ojca przytomności. Celowo wywołałam u Grubera określoną reakcję na swój temat. W efekcie przekonał się ojciec, że dla mojego bezpieczeństwa będzie lepiej, jeśli przeniosę się do Klasztoru Biczowania. Tam doprowadziłam swój plan do końca.

Abuna, jeśli rozpoznałby mnie ojciec wtedy, gdy spotkałiśmy się w Gazie, okazał dawne uczucie, mogłabym nawet zrezygnować z widzenia.

Ale dzisiejszy Abuna Mateo różni się od tego, który mnie wychował, więc wołałam uratować oczy.

Wkrótce przejdę bardzo kosztowną operację. Dlatego ukradłam ojcu to, co jest dla niego najcenniejsze. Czy moje oczy są warte odrobiny czułości? Czy ojca skarb jest wart tyle, ile moje oczy?

A tak przy okazji, urodziny mam za miesiąc. Pomylił ojciec datę, a przecież sam przygotowywał mi kiedyś tort ze świeczkami!

Abuna, szczęśliwi ci, którzy mogą wyrzucić swoją przeszłość przez okno. Czują ulgę, chociaż twierdzą, że nic im nie pozostało. Odpowiedzią ojca na moje cierpienie była przeemoc, bo zapomnienie o mnie stanowiło akt agresji, Wielebny Ojcze.

Wybiegłem z Klasztoru Zbawiciela, czując na sobie lodowatą falę niepokoju. Szedłem ulicami Starego Miasta,

próbując uporządkować myśli. Ale żadna nie miała kierunku ani dalszego ciągu. Dotarłem do Klasztoru Biczowania. Wpadłem do mojego gabinetu. W miejscu skrzynki ze złotymi monetami znalazłem bilecik z takimi słowami:

Nie wiem, czy to ja powinnam prosić ojca o przebaczenie, czy ojciec powinien o nie prosić mnie. Fraganza

Dimmitu i Szejk

W tym momencie poczułem przyływ totalnego i niepo- hamowanego buntu. Był to pierwotny, podstawowy impuls i jedyne, co mogłem zrobić, to za nim podążyć. Wszedłem z klasztoru. Przeszedłem przez Stare Miasto odruchowo, nie zwracając nawet uwagi, jaką idę drogą. Gdy wróciłem do Klasztoru Zbawiciela, wszedłem do gabinetu, wziąłem na ręce Dimmitu, który mruczał w fotelu i powiedziałem mu, że wybierzemy się razem w podróż - tylko on i ja.

Zawołałem ojca Giancarlo i poleciłem mu odwołać wszystkie spotkania. Wziąłem samochód, położyłem Dimmitu na siedzeniu pasażera, a podczas jazdy opowiadałem mu, że archeologia staje się w Ziemi Świętej cennym wsparciem dla biblijnej egzegezy historii początków Kościoła. Jedno szczęśliwe uderzenie kilofa może rozwiązać niejasności i nieścisłości.

- Archeologia, Dimmitu, jest długodystansową, surową nauką, która wymaga rygorystycznego i całkowitego zaangażowania. Docenisz, że nie zamknąłem cię w klatce. Po pierwsze dlatego, że nigdy żadnej nie posiadałem, a poza tym życie w zamknięciu jest straszne dla każdej istoty.

Podróż przebiegała bardzo spokojnie. Strażnicy graniczni na moście Allenby uśmiechnęli się do mnie, pokazując na Dimmitu. Pomyślałem, że po wielu latach dyskusji wreszcie znalazłem sposób, żeby wzbudzić ich sympatię.

Pojechaliśmy z Dimmitu do najdroższych mi terenów archeologicznych. Zabrałem go do Macherontu i opowiedziałem, że kiedy Herod został królem, na szczycie tej góry zbudował wystawny pałac i dla ochrony ogrodził go pasem murów. Wspinałem się z Dimmitu na rękach. Był ciężki, ale pomrukiwał tak radośnie, że mimo zadyszki dotarliśmy razem na szczyt.

- Wiesz, Dimmitu, tutaj ścięto Jana Chrzciciela i nie tracę nadziei, że kiedyś znajdę dokładne miejsce, w którym poniósł on męczeńską śmierć. Spójrz, jaka piękna jest ta forteca. Ma sto dziesięć metrów długości ze wschodu na zachód i sześćdziesiąt z północy na południe. Kiedy zdobyli ją rzymscy żołnierze, zniszczyli wszystko, ale przetrwały fragmenty fresków i kawałki mozaik".

Nie wiem, czy Dimmitu śledził to, co mu pokazywałem, ale był w stosunku do mnie serdeczny, a wręcz opiekuńczy. Koty nie znają podziału czasu, ale przeżywają go tak samo, jak my, dzięki czemu zyskałem przyjaciela, który nie rozliczał mnie z upływających godzin.

Potem przyszło mi do głowy, że poradzę się go w pewnej sprawie. Pojechaliśmy do Madaby, żeby zobaczyć fabrykę dywanów Omara Fayeza, który chciał zrobić ze mnie swojego wspólnika. Zdumiał się na mój widok. Nie spodziewał się mojego przyjazdu. Oczywiście nie wspominałem mu o Fraganzy. Zabrał nas do przestronnego pomieszczenia w suterenie, pełnego pracujących robotników. Leżące w stosach dywany wydały mi się świetnie wykonane. Podobały mi się kolory. Fayez wyjaśnił mi, że używają wytrzymałych farb roślinnych. Pozwalały uzyskać dobry jakościowo produkt, który z powodu niskiej ceny był dostępny dla klientów z ograniczonymi funduszami.

Jego argumenty były przekonujące, robotnicy patrzyli na mnie z ufnością. Pomyślałem, że pomysł spółki z nim i Egipcjanami nie był do końca chybiony. Do projektów mógłbym wykorzystać moich studentów mozaicystów i w ten sposób młodzi ludzie zyskaliby pracę.

Powiedziałem Omarowi Fayezowi, że bezpośrednio zaangażowanie Kustodii w tego typu działalność uważam za problematyczne, ale obiecałem pomyśleć nad tą sprawą. Spojrzałem na Dimmitu, który zamiauczał, rozłożył się na czerwonym dywanie z zielono czarnymi frędzlami, wystawił pazury i zaczął sikać. Dokładnie w tym momencie obwieściłem Omarowi i jego egipskim przyjaciółom, że mają nowego współnika. Dimmitu wbijał pazury w to, co uważał teraz za swoją własność i część swojego terytorium. Najpierw słownie, a potem głaszcząc przelotnie, chciałem go zachęcić, żeby za mną poszedł. Zareagował przeciągłym burknięciem, położył się na dywanie i zaczął mrużyć. Egipcjscy robotnicy obserwowali mnie z rozbawieniem, a kiedy postanowiłem ulec żądaniom Dimmitu, owijając go kawałkiem materiału, który stał się dla niego nowym domem, obdarzyli mnie zbiorowym, szerokim uśmiechem i zaczęli klaskać. Być może z powodu aprobaty, którą kot wyczuwał wokół siebie, jego mrużenie przybrało na sile.

Dimmitu i dywan zajęli miejsce na tylnym siedzeniu mojego samochodu. Jego zadowolenie i pozytywna obecność rozweseliły mnie i rozczuliły, poprawiając mi humor. Również z tego powodu, że należał do Fraganzy, która była mi bliska.

Dimmitu był tak szczęśliwy, spokojny i przyjazny, przebywając w swoim kolorowym mieszkaniu, że zabrałem go do najdroższego mi miejsca - na Górę Nebo. Zaparkowałem obok klasztoru, wziąłem go na ręce, nie wyciągając z dywanu

i przez wewnętrzne schody weszliśmy na taras przed Bazyliką.

Od razu pokazałem mu Morze Martwe i opowiedziałem, że za każdym razem, gdy przyjeżdżałem na Nebo, czułem się jak pierwsi bracia, którzy przybywając w te strony znaleźli się na szczycie góry pokrytej kwadratowymi głazami, kawałkami kolumn i rzędami kapiteli na kamienistym podłożu. Wokół cisza przerywana jedynie chrapliwymi odgłosami perlic. Teraz doświadczałem tych uczuć wspólnie z Dimmitu.

- Z tego balkonu na świat, Dimmitu, możemy oglądać Dolinę Jordanu, na zachód od rzeki oazę Jerycha, a u stóp góry Jerozolimę i Betlejem. Przypuszcza się, że gdzieś na dnie doliny, wśród rzadkich plam roślinności, znajduje się źródło wody. Na północy widać dolinę, gdzie z żywej skały wytryskają źródła Mojżesza, na wschodzie doliny diabła, na południu dolinę kościoła.

Usłyszałem jakiś głos.

- Od kiedy to stałeś się przyjacielem kotów? Nie przypominam sobie, żebyś darzył szczególnymi względami mojego Omara i Selima, ale przecież wy, księża, macie dużą zdolność adaptowania się do każdej nowej sytuacji.

Nie wiedziałem, czy żartobliwy ton Szejka, który pojawił się za moimi plecami, był przyjazny, ale nie dałem tego po sobie poznać. Powiedział, że przyszła mu ochota na spacer, chociaż wiedział, że mu nie uwierzę. Wyszedł z domu i skierował się w stronę Nebo. Pokonując dystans kilku kilometrów, po raz kolejny wzruszył się na widok tego jedyne na świecie krajobrazu. Spotkała go nagroda w postaci mojej nieoczekiwanej wizyty w towarzystwie wielkiego kota. Dimmitu zamiauczał i wyciągnął się na dywanie, który rozłożyłem dla niego na ziemi. Szejk uśmiechnął się do mnie z aprobatą.

- Drogi Mateo, twoje nawrócenie ma wielką wagę. Jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale wszedłeś do wielkiej rodziny, w której przedstawiciele ludzkiego i kociego gatunku wzajemnie się rozumieją, uśmiechają, pomagają i sprawiają sobie radość.

Zmienił temat, a jego głos przybrał metaliczną barwę.

- Już od dawna chciałem cię zapytać, Mateo, jaka niespodzianka kryje się pod skałami Nebo? Myślę, że to jeszcze jeden sekret, którym nie chcesz się podzielić, podobnie jak źródłami wody.

Odpowiedziałem mu, że przez lata cierpliwie prowadziłem wykopaliska i znalazłem mozaiki, czyli dzieła sztuki, żadnych skrzyń złota czy diamentów, o czym dobrze wiedział, więc nie rozumiałem tej natarczywości. Baczenie mi się przyjrzał i odparł, że archeolog musi ciągle szukać, żeby znaleźć coś nieprawdopodobnego. Archeologiczne skarby są niezmiernie i tajemnicze, a on ma wrażenie, że gdy zostałem kustoszem, trochę zwolniłem tempo i straciłem naukową ciekawość.

Krzyknąłem, że jest w błędzie. Zapytałem wprost, dokąd zmierza ta rozmowa. Odpowiedział, że doskonale wie, że na Nebo nie ma już niczego do odkrycia, a prowokując mnie, chciał się przekonać, ile zostało z mojej pasji. Moja reakcja utwierdziła go w przekonaniu, że nadal była żywa. Mógł teraz opowiedzieć mi pewną historię. Czekał na właściwy moment, który właśnie nadszedł. Zapytałem, czy chce pójść ze mną do klasztoru. Wolał zostać na powietrzu. Usiedliśmy na dwóch późnorzymskich kapitelach, podczas gdy Dimmitu spokojnie pomrukiwał.

- Mateo, kilka miesięcy temu przyjaciele z Mossadu zaproponowali, żebym wziął pod lupę niektóre interesy Afgańczyków, mogące zaowocować niepokojącymi reper-

kusjami nie tylko dla Izraela, ale dla całej strefy środkowo-wschodniej. Chodziło o handel przedmiotami sztuki ghandarskiej pochodzącymi z muzeum w Kabulu i kilku prywatnych kolekcji. Grabież rozpoczęła się, gdy wkroczyli Rosjanie, potem postępowała na różne sposoby. Jednak na międzynarodowy rynek nigdy nie trafiła poważna oferta. Niespodziewanie do Mossadu dotarły pogłoski o przedmiotach z kości słoniowej z Begram o ogromnej wartości, które miały zostać wystawione na aukcji w Izraelu. A zysk trafiłby do sejfów Hamasu.

Zrobił pauzę i uśmiechnął się.

- Mateo, podstawowym warunkiem zwycięskiej strategii wojennej jest zaskoczenie. Powiedział to Napoleon, ale na pewno nie on pierwszy tak myślał. Podobnego zdania byli Aleksander Wielki, Juliusz Cezar, Czyngis-chan i Fryderyk Pruski. A także Foch, w 1918 roku.

Pamiętając o tych naukach, jako bazę operacji przyjąłem kasyno w Jerychu, w którym - jak wiesz - mam pewne udziały. Rozpowszechniłem wśród graczy, którzy przyjeżdżali z różnych izraelskich miast, poufną informację, że jestem zainteresowany kupnem przedmiotów z kości słoniowej z Begram. Byłem pewny, że prędzej czy później ktoś się odezwie. Aby zwiększyć prawdopodobieństwo spotkania, zacząłem częściej bywać w kasynie. Przychodziłem co wieczór. Jakiś miesiąc temu, gdy siedziałem w biurze, zajęty analizą wielkości wpływów z ostatnich tygodni, dyrektor powiadomił mnie, że jakiś człowiek, który przegrał dużą sumę w ruletkę, poprosił o możliwość dalszej gry na słowo, dając mu w zamian futerał i prosząc, żeby mi go zaniósł. W środku był złoty grzebień z rączką bogato zdobioną brylantami. Po pobieżnej analizie oceniłem jego wartość na ponad pięć tysięcy dolarów. Mateo, klejnot miał wyraźnie afgańskie pochodzenie.

Wytropiłem więc mojego człowieka, a może to on odnalazł mnie. Spojrzał na mnie z zadowoleniem.

- Chcesz poznać jego nazwisko?

Ruchem głowy pokazałem mu, że tak, chociaż wiedziałem już, o kogo chodzi.

- Visser, nazywał się Visser, Mateo.

Modlitwa i spowiedź

Nic już nie było w stanie mnie zaskoczyć. Chciałem się nad tym wszystkim zastanowić. Byłem przekonany, że brakuje wielu faktów i sam muszę znaleźć powiązania i wyjaśnienia, żeby zorientować się, czy Gruber i Szejka kłamią i dlaczego Visser złożył mi wizytę, podając się za ojca Bernarda. Tylko dlatego, żeby sprawdzić, czy skrzynka ze złotymi monetami rzeczywiście istnieje? Jeśli tak, to on zainspirował i pokierował Fraganżę. Dlaczego?

Szejka właśnie mówił, że dowiedział się o wypadku z Visserem. Pomyślałem, że miał dziwny sposób na określenie śmiertelnego niebezpieczeństwa, które mi groziło. Oznajmiłem, że chciałbym go poprosić o przysługę. Opowiedziałem mu o problemie Chaima Siegiera. Odpowiedział, że jest znany jako głupi i arogancki gracz. Był winny kasynu całą masę pieniędzy. Ponieważ to ja się za nim wstawiłem, mogę przekazać temu niemile widzianemu typowi, że jego dług został umorzony. Ale niech się więcej nie pokazuje Jerychu. Podziękowałem mu, zdumiony jego zaskakującą ustepliwością. Fakt, że nie poprosił mnie o nic w zamian, wzbudził moje podejrzenia.

Wróciłem do Klasztoru Zbawiciela, zostawiłem Dimmitu i jego nowy dom, który wydawał trochę nieprzyjemny zapach w moim gabinecie i od razu zszedłem do kaplicy. Odprawiłem mszę z sercem pełnym miłości, spokoju i wzruszenia.

Wyobrażałem sobie, że przy moim boku stoi Fragranza, pomagając mi we wszystkich umiłowanych powinnościach ołtarza nie jako zwyczajny ministrant, ale ktoś, kto czyni przy mnie własną wolę dobra. Spodobała mi się ta myśl; widziałem jej oczy patrzące na mnie z tym samym uczuciem, które miałem dla niej, a gdy pochylałem się, żeby podać jej komunię świętą, czułem, że jest mi wdzięczna za ten święty akt. Pozdrowiała mnie delikatnym ruchem głowy, okazując mi serdeczność.

Zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, obraz inteligentnej twarzy mojej przybranej córki i idealnej uczennicy zniknął. Pomodliłem się za nią, myśląc, że w każdym boskim stworzeniu nie ma nic bogatszego i wzruszającego niż zwrócenie się w stronę innych. Z powodu nadmiernej miłości Fragranza próbowała zniszczyć naszą przyjaźń i swoje przywiązanie do mnie. Uraziłem ją kiedyś moją nauką, którą iluzorycznie ożeniłem z religią, a mój pęd w kierunku Boga poprzez archeologię zepchnął ją na margines. Nie wiem, dlaczego tak się stało i musiałem to zrozumieć.

Jak nieznośny skrzep krążyło mi po głowie zdanie, które gdzieś przeczytałem: „Najgorszą rzeczą jest prorok, który chce nim być”. Miałem wrażenie, że zachowywałem się w ten sposób przez wiele lat. Przypomniały mi się słowa, które wyszeptał mój poprzednik, gdy na krótko przed jego śmiercią, spotkaliśmy się po raz ostatni:

- Mateo, należy uczciwie nazwać po imieniu poważną przeszkodę, z którą przyszło nam się kiedyś borykać i która nas zatrzymała, po czym nie bać się, że okażemy się śmieszni dla siebie samych.

Myślę, że wyznaczenie mnie na swojego następcę było z jego strony aktem zaufania i wyrazem nadziei, że kiedy znajdę poważną przeszkodę, będę w stanie ją pokonać.

Teraz widziałem ją obok siebie, jakby była czarną chmurą pełną deszczu i piasku i plamiła ściany kaplicy. Nazywała się zarozumiałość i nie mogłem dłużej zwlekać, musiałem z nią walczyć. Moje życie naukowca i ta msza, dzięki której każdego ranka upewniałem się w szczerym i ciągłym dialogu z naszym Panem, utwierdziły mnie w przekonaniu, że On jest ze mnie zadowolony i zawsze pozwoli mi przeżyć dzień obfitujący w czystość. Wszystko, co robiłem, miało w sobie sens i znaczenie celebracji. Z tego powodu nie chciałem w kaplicy nikogo, kto zakłóciłby ten wzniosły moment. Mógł mi towarzyszyć tylko Vidigal, który znał mój stan ducha. W ciągu dnia zawsze postępowałem zgodnie z tą absolutną wiarą, która była warunkiem mojej równowagi. Bezstronność, inteligencja, miłość i głębia - wszystkie te przypisywane mi zalety - wynikały z mojego wyjątkowego kontaktu z Bogiem.

Modlitwy, dobre uczynki w stosunku do bliźniego, wykopaliska, chęć przyczynienia się do pokoju pomiędzy wszystkimi dziećmi Adama - wszystko to było szczere i za to Pan nagrodił mnie swoim zaufaniem. Jednak uchybiłem jednemu z Jego stworzeń, a to poddawało w wątpliwość moją równowagę.

Od samego początku nie rozumiałem ogromnej potrzeby miłości, którą odczuwała Fraganza. Wzorowała swoje życie na mnie, a kiedy spotkaliśmy się w Gazie, zostałem poddany próbie.

Nie wiedziałem, jak Visser ją poznał, ale prawdopodobnie to za jego namową mnie zdradziła. Wcześniej chciała się upewnić, czy warto. Stąd zaproszenie, żebym obejrzał tak mało interesujące mozaiki. Potem moja obecność w teatrze; ten wieczór był rodzajem egzaminu, którego nie zdałem.

Fraganza podarowałaby mi swoje oczy w zamian za wspomnienie, czuły gest, chwilę wzruszenia i szacunku dla

naszych wspólnych dziejów. Nic takiego się nie wydarzyło, moje zarozumiałstwo spowodowało, że o wszystkim zapomniałem, a nawet jeszcze gorzej: pamiętałem tylko to, co mi się podobało, przekonany w swojej próżności, o idealnym związku z Panem.

Fragranza zachowała się jak pies, który tak bardzo kocha swojego pana, że kiedy ten przestaje mu okazywać uczucie, kąsa go. Jak córka, której przybrany i uwielbiany ojciec zapomina o niej, a ona, gotowa za jeden czuły gest zrezygnować ze wzroku, karze go i kradnie jego skarb. Ale jest to, być może, ostatni akt miłości, by poddać go próbie i ocenić wartość jego wiary i nadziei.

Wiara potrzebuje światła. Dotąd myślałem, że wnoszę je dzięki archeologii i umiłowaniu Jezusa, ale wiara wymaga nowego życia, pełnego dobrych uczynków. Na pewnym etapie życia ludziłem się, że poznawanie Odkupiciela, apostołów, chrześcijańskich męczenników poprzez świadectwa, które odnajdywałem, prowadząc wykopaliska w świętych miejscach i odkrywając ślady na każdej mozaice, kamieniu i monecie, że wszystko to przyniesie mi miłość, pokorę i wzmocni wiarę.

Na tym polegała moja zarozumiałość, a uczynek Fragranzy osłabiał mi serce. Instynkt podpowiedział mi jedyną rzecz, którą mogłem teraz zrobić, żeby przezwyciężyć tę poważną przeszkodę, o której mówił mój poprzednik. Ukłoniłem mu się w myślach, mając nadzieję, że obdarzy mnie szerokim uśmiechem, chociaż był pod tym względem oszczędny.

Wróciłem do gabinetu i wezwałem ojca Giancarlo. Powiedziałem mu, że chcę się zobaczyć z ojcem Benjaminem w prywatnej kaplicy. Uśmiechając się z aprobatą, poszedł

go poszukać. Ponownie zszedłem na dół, a kiedy pojawił się ojciec Benjamin, trochę nieśmiało ukląknę u jego stóp i poprosiłem, żeby mnie wyspowiadał. Z niespodziewaną troską pogłaskał mnie po głowie.

Zacząłem mówić. Odpowiedziałem mu wszystko o Fraganzy i zamieszkującym w niej duchu miłości i buntu, którego zbyt późno zrozumiałem. Zawiodłem ją i chociaż uważała mnie za swojego duchowego ojca, straciła do mnie zaufanie. Powinienem być się domyślić, że kiedy w drogiej i niesłusznie zapomnianej osobie narasta rozczarowanie, atmosfera staje się coraz bardziej napięta, aż wreszcie rozpętuje się burza. Cierpliwość i przebaczenie idą ze sobą w parze, a ja o tym zapomniałem. Poleciałem nasze dusze - swoją i Fraganzy - Boskiej Opatrzności.

Ojciec Benjamin słuchał mnie z wyczuwalnym wzruszeniem, a na koniec powiedział:

- Mateo - zwracał się tak do mnie po raz pierwszy - twoja pokuta będzie polegać na tym, że sam zdecydujesz, co masz zrobić. Możesz wybrać, czy modlić się, działać czy też połączyć jedno z drugim.

Wróciłem do gabinetu z przekonaniem, że od tej chwili zaczynam drogę jako Mateo, który na nowo stał się Abu-na. Spróbowałem przywołać w pamięci to wszystko, co się wydarzyło. I poszukać odpowiedzi, których ciągle brakowało.

Dlaczego czarna mewa miała na sobie habit, a Gruber zachowywał się w dwuznaczny sposób, kim naprawdę był Visser, jaką rolę odegrał Szejk? Czy kiedy znajdę odpowiedź, naprawdę wszystko zrozumiem? Poza tym musiałem zawiadomić rabina Moshe Halevy'ego, że wyświadczyłem mu przysługę, o którą mnie prosił. Z patriarchą Alekosem doszliśmy do porozumienia. Pozostawało tylko wyznaczyć datę koncertu

i sprawdzić, czy europejska orkiestra młodzieżowa, którą miałem zamiar zaangażować, dysponuje wolnym terminem.

Nie mogę powiedzieć, że spodziewałem się tego, co zastałem w gabinecie. Wiedziałem, że brakowało tej historii początku i zakończenia i na dobrą sprawę mógłbym się bez nich obejść. Ileż to razy doświadczamy czegoś tylko częściowo? Zadowolamy się poznaniem jakiegoś elementu prawdy i jako chrześcijanie przekonujemy się, że wszystko, co przeżyliśmy, jest tylko przejściem ku Bogu. Mimo tego chciałem poznać i dodać brakujące słowa.

Ojciec Giancarlo wyjaśnił mi, że kopertę, którą położył na moim biurku, przekazała mu młoda zakonnica z Bergamo, pracownica szpitala w Keraku, mieście jabłek Omara Fayeza, która wracała do Włoch samolotem z Tel Awiwu.

W kopercie było zdjęcie i bilecik. Najpierw spojrzałem na fotografię. Została zrobiona wiele lat temu. Przedstawiała młodzieńkiego oficera SS w mundurze. Obok niego stał również młody, ubrany po cywilnemu mężczyzna. Mogli mieć po dwadzieścia lat lub niewiele więcej. Wziąłem szkło powiększające. Za ich plecami widać było kawałek fasady domu, który nie wyglądał dla mnie obco. Młodzieniec w cywilnym ubraniu też miał w sobie coś znajomego.

Na twarzach chłopców malowały się odmienne emocje. Oczy tego w mundurze skierowane były na osobę, która robiła zdjęcie. Jego spojrzenie wydało mi się głębokie i pełne czułości.

Drugi, ubrany w płaszcz z podniesionym kołnierzem, miał w oczach niepokój. Nie patrzył na fotografa, ale na coś, co znajdowało się wyżej, za jego plecami. Ten widok budził w nim strach. Na odwrocie zdjęcia napisano: „Dobranoc księżo, cała reszta jest milczeniem”.

Przeczytałem bilecik.

Wielebny Ojciec, czekam na ojca we włoskim szpitalu w Keraku.

Nie było podpisu.

1944

Instykt podpowiedział mi, żeby wyruszyć natychmiast. Być może rozwiązanie zagadki było na wyciągnięcie ręki. Miałem nadzieję, że bez problemu pokonam most Allenby i dotrę do Keraku w cztery godziny. Szczęśliwie podróż przebiegła pomyślnie. Najwyraźniej Gruber polecił strażnikom granicznym, żeby więcej mi się nie naprzykrzali.

Moja ciekawość narastała, cały czas myślałem o zdjęciu; o fasadzie domu, którą gdzieś już widziałem i o znajomej twarzy. Nie mogłem jednak z niczym ich skojarzyć, przypisać im konkretnego czasu ani miejsca.

Prowadząc samochód, zastanawiałem się nad różnymi zdarzeniami. Moja wrażliwość na wszystko to, co działo się w Jerozolimie, nauczyła mnie, że pojawiające się w lustrze odbicie nigdy nie jest właściwym obrazem. Trzeba zobaczyć, co znajduje się za nim, albo w ogóle go zignorować. Taki był efekt występowania na przemian pokoju i wojny, co miało miejsce w Ziemi Świętej od dwóch tysięcy lat. Gdyby sprawę czarnej mewy pozbawić tej osłony, natknąłbym się na coś jeszcze. Wiedziałem o tym i byłem tego świadomy.

Tajemnica życia i śmierci Naszego Pana zrodziła tajemnice i sekrety, do których przez wieki dochodziły kolejne i kolejne. W Ziemi Świętej każda niejasna śmierć nabierała o wiele więcej znaczeń niż w każdym innym miejscu świata.

Pustynia jordańska, przez którą przejeżdżałem teraz moim Land Roverem, cieszyła się urokiem niezmienności. Trasa, która dzięki rządowej propagandzie zyskała pompatyczne miano A1, była zwykłą asfaltową drogą, źle utrzymaną i pokrytą niebezpiecznymi koleinami powstałymi z powodu upału, który w godzinach południowych stawał się nie do zniesienia.

We włoskim szpitalu w Keraku, pod zamkiem krzyżowców z widokiem na północny kraniec Morza Martwego, zbudowanym przez Payena, przywitała mnie młoda zakonnica. Udała, że mnie zna, informując z pewną wyniosłością, że czeka na mnie Wielebna Matka Przełożona. Spytała, czy chcę się odświeżyć. Skorzystałem z propozycji, pospiesznie przemyłem twarz w pachnącej lawendą łazience. Młoda zakonnica poprowadziła mnie korytarzem o białych ścianach. Płytki na podłodze też były białe. Wszystko było niezwykle czyste, ale żaden zapach nie przypominał woni szpitala.

Wielebna Matka czekała na mnie w swoim mieszkaniu. Była to starsza kobieta o zupełnie młodzieńczym wyglądzie. Czarne, głębokie oczy przydawały blasku idealnym rysom twarzy, ani trochę nie naruszonym przez czas. Spod białego czepka wystawały niesforne kosmyki jasnych włosów, które w subtelny i ujmujący sposób opadały na czoło. Była przepiękna i bił od niej spokój. Jej wyraz twarzy i siła emanująca z całej sylwetki przypominały moją matkę. Przyjęła mnie z serdecznością, mówiąc, iż zdaje sobie sprawę, że sytuacja, w której się znajdujemy, jest szczególna. Użyła dokładnie takich słów. Dodała, że aby zrozumieć wszystko, co się wydarzyło i w jaki sposób mnie to dotyczy, trzeba, jej zdaniem, cofnąć się daleko w przeszłość. Co miała na myśli, mówiąc „wszystko”? I jak daleko trzeba sięgnąć? - zapytałem. Odpowiedziała z prostotą:

- Wielebny Ojcze, wydarzyły się straszne rzeczy, których echo dotarło do ojca. Śmierć, kradzieże, potworności. Chciałabym opowiedzieć ojcu wszystko, co wiem, i pozostać wierną ojcu wnioski i decyzje. Ale może najpierw coś zjemy.

Po tej deklaracji moja ciekawość sięgnęła zenitu i ledwie spróbowałem wyśmienitego obiadu, który zręcznie i sprawnie podała nam młoda zakonnica. Wielebna Matka opowiedziała mi o szpitalu, o tym, jak z czasem, pod jej kierownictwem, stał się najlepszą placówką w Jordanii. Mówiąc to, wydała z siebie jęk bólu, jakby ogarnęły ją zbyt silne emocje. Zapytałem, czy mogę coś zrobić. Głosem, który powrócił do normalnego brzmienia, odpowiedziała, że to tylko chwilowe, spowodowane wspomnieniami, które są bardzo intensywne. Młoda zakonnica podała nam kawę, potem szepnęła coś Matce Przełożonej do ucha, która zbladła i powiedziała:

- Nagły wypadek, Wielebny Ojcze, zaraz wrócę.

Wyszła z pokoju. Zacząłem się rozglądać i na meblu, który służył za kredens, dostrzegłem ramki ze zdjęciami. Wśród nich było to, które dostałem, a obok inne, przedstawiające tego samego nazistowskiego oficera, tym razem w cywilnym ubraniu, wiele lat później. Ze zdumieniem przyjąłem fotografię Nadava Grubera, zrobioną niedawno przed King David Hotel.

- Proszę się spodziewać jeszcze większego zdziwienia, Wielebny Ojcze.

Matka Przełożona pojawiła się za moimi plecami. Znowu wydawała się spokojna. Usiedliśmy na dwóch fotelach pokrytych kwiecistą tkaniną. W środku stał kwadratowy stolik z masywnego kryształu.

- No więc, czy będzie miał ojciec cierpliwość, żeby mnie wysłuchać?

Miałem ochotę odpowiedzieć, że to chyba oczywiste, skoro przyjechałem aż do Keraku, ale zabrzmiałoby to niegrzecznie, więc tylko uprzejmie skinąłem głową.

- Proszę sobie wyobrazić, że mamy marzec 1944 roku. W Rzymie są naziści. Są też szpiedzy aliantów, którzy przygotowują desant. Rzym ma wygląd miasta trapionego licznymi zmartwieniami, które mieszają się z chłodnym wiatrem, chmurami, a chwilami wiosennym słońcem. Nocą oddziały SS tropią szpiegów, a partyzanci i szpiedzy próbują się przed nimi schronić.

Pewien młody Żyd z północy przyjeżdża do miasta z głową pełną ideałów. Ma ważne zadanie do spełnienia. Musi odebrać mikrofilm z listą skazańców, którzy uciekli z nazistowskich i faszystowskich więzień oraz spisem miejsc, w których się ukrywają. Dzięki temu dowództwo sił sojusznicznych będzie mogło przygotować plan ewakuacji, żeby uratować jak najwięcej z nich. Chłopak ma kryptonim Rosenkrantz i ma się spotkać ze swoim odpowiednikiem, Guildsterem.

Matka Przełożona przyglądała się mojej reakcji, którą było narastające zdziwienie. Wchodziłem do jakiegoś labiryntu, po którym tylko ona mogła mnie poprowadzić.

Kontynuowała:

- Zgodnie z poleceniem swoich przełożonych Rosenkrantz udaje się do szpitala Bonifratrów, na wyspę Tiberina. Przyjmuje go ordynator, brat maltański Bartłomiej, który uspokaja - Guildster jest w drodze. Prowadzi go do pokoju z dwoma łózkami i wychodzącym na ogród oknem. Brat Bartłomiej mówi mu, że jeśli chce, może odpocząć. Rosenkrantz kładzie się. Słońce muska go po twarzy. Zamyka oczy. Ktoś delikatnie dotyka go w prawe ramię. Widzi człowieka w średnim wieku, który stoi obok łóżka. Przedstawia się jako Guildster

i podaje mu małą kopertę z mikrofilmem. Rosenkrantz wkłada ją do szuflady w szafce nocnej oddzielającej łóżka. Guildstern rzuca się na swoje i od razu zaczyna chrapać. Rosenkrantz też zasypia. Budzi go zapalone światło i spojrzenie brata Bartłomieja. Powoli wstaje i dochodzi do niego, że jest ubrany, a zamiast kołdrą przykrył się płaszczem. Wydaje mu się, że na twarzy zakonnika maluje się coś na kształt zatroskania. Zwraca uwagę, że patrzy na zostawione w nieładzie puste łóżko Guildsterna. Kołdra i poduszka leżą na podłodze, jakby wstawał w pośpiechu. Okno jest uchylone. Rosenkrantz dostrzega niemieckiego oficera stojącego za bratem Bartłomiejem. Przedstawia się jako porucznik Schutz z SS.

Po włosku, który brzmi niemal perfekcyjnie, przeprasza Rosenkrantza za kłopot, pyta go, dlaczego użył płaszcza zamiast kołdry i gdzie znajduje się osoba, która spała w drugim łóżku. Rosenkrantz czuje się, jakby miał w głowie rozżarzone ostrze. Koperta z mikrofilmem. Po chwili przypomina sobie, że leży bezpiecznie w szufladzie szafki nocnej.

Brat Bartłomiej ze spokojem wyjaśnia, że maestro spał w swoich ubraniach i płaszczu, bo nie działa ogrzewanie. Dorzuca, że gość jest dyrygentem, który mimo bardzo młodego wieku ma na swoim koncie spore sukcesy.

Rosenkrantz żałuje, że w chwili przyjazdu powiedział mu coś o sobie i teraz nie jest pewny, czy dobrze zrobił.

Schutz jeszcze raz pyta, gdzie jest osoba, która spała obok maestro, a brat Bartłomiej mówi, że zaraz pójdzie jej poszukać. Rosenkrantz i Schutz zostają sami, nie odzywają się do siebie. Po chwili wraca brat Bartłomiej z młodą kobietą. Mówi, że jest narzeczoną maestro i wyszła z pokoju, żeby mu przygotować lekarstwo. Schutz nie wydaje się przekonany i komentuje, że żyjemy w ciężkich czasach i może się zdarzyć,

że do szpitala zostanie przyjęty ktoś, kto symuluje swoją chorobę.

Brat Bartłomiej tłumaczy, że nad wszystkim czuwają oni - lekarze, którzy wypełniają swoje obowiązki z absolutną starannością. Schutz odpowiada, że skoro skrupulatnie stosują się do przysięgi Hipokratesa, jest przekonany, że gdyby jakiś wróg Niemiec znalazł się przypadkiem w tym szpitalu, zajęliby się nim. On to rozumie, ale musi przestrzegać własnej przysięgi. Nie zapytał, czy w szpitalu są pacjenci cierpiący nie z powodu raka czy zapalenia płuc, ale ran postrzałowych. Wprawilby tym gościa w zakłopotanie. Niemniej jednak chce wiedzieć, ilu Żydów jest tu leczonych. Jeśli u Bonifratrów znaleźliby się chorzy Żydzi, brat Bartłomiej na pewno udzieliłby im pomocy. Ale jego obowiązkiem byłoby aresztowanie ich, nawet gdyby byli umierający, bo Żydzi są dla Niemiec śmiertelnym zagrożeniem.

Ślubował wierność swojemu krajowi i Hitlerowi i gdyby nie wypełnił swojego obowiązku, byłby zdrajcą. Na koniec podkreślił, że uważa ten szpital za najlepszy w mieście, a decyzja, którą ma zamiar podjąć, ocali brata Bartłomieja, innych lekarzy i wszystkich pacjentów.

Brat Bartłomiej marszczy czoło i mówi Rosenkrantzowi, że mimo wiary w jego uczciwość, porucznik Schutz chce, żeby wraz z narzeczoną udali się za nim. Wyraża przekonanie, że gdy tylko to godne potępienia nieporozumienie zostanie wyjaśnione, porucznik Schutz postara się, żeby odwieźć ich do szpitala. Potem mówi do kobiety, żeby nie pakowała żadnej walizki, bo wróca najszybciej, jak się da.

Na zewnątrz czeka na nich czarny samochód. Za nim stoją dwie półciężarówki z żołnierzami. Schutz wydaje rozkaz. Niewielki pochód rusza. Schutz siedzi obok kierowcy. Rosenkrantz i kobieta z tyłu.

Samochód pokonuje plac Bonifratrów, most i skręca w Cenci, drogę wzdłuż Tybru i mija synagogę. Schutz krzyczy coś po niemiecku. Kobieta krzywi się. Auto jedzie w prawo, na via Arendula. Dociera na Torre Argentina, przejeżdża via delie Botteghe Oscure, mija pomnik Nieznanego Żołnierza, potem Fori Imperiali, okrąży Koloseum, wjeżdża w via di San Giovanni in Laterano i na wysokości dużego placu skręca w lewo, w wąską i długą uliczkę. Zatrzymuje się pod numerem 145 na via Tasso.

Schutz wydaje rozkaz po niemiecku. Kierowca wysiada z samochodu, otwiera przednie drzwi, potem tylne z każdej strony. Najpierw wychodzi Schutz, potem kobieta i Rosenkrantz. Wchodzą do budynku, o którym wiadomo, że naziści torturują w nim więźniów. Schutz bierze kobietę pod rękę i znika z nią w korytarzu. Rosenkrantz w asyście dwóch żołnierzy wspina się po stromych schodach. Ze zdumieniem i niepokojem myśli, że być może nie zobaczy już słońca i nieba. Zostaje zamknięty w celi. Jest w niej połowe łóżko, jedno zamurowane okno, miska na wodę, bańka na nieczystości. Z sufitu zwisa zapalona lampka przywiązana do sznurka.

Wielebna Matka przymknęła oczy, jakby zmęczyła się opowiadaniem. Zapytałam, czy chce zrobić przerwę. Spojrzała na mnie jasnym, przenikliwym, zdecydowanym wzrokiem. Krzyknęła:

- Ależ prawdziwa historia zaczyna się dopiero teraz!

Lucjana

- Porucznik Schutz - mówiła dalej Wielebna Matka, uśmiechając się lekko i patrząc na coś za swoją głowę - prowadził kobietę przez wilgotny, poplamiony korytarz, wzdłuż którego ciągnęły się cele. Gdy na niego spojrzała, wyjaśnił, że nie znosi brudnych pomieszczeń. Ściany powinny być białe. To nie tylko kwestia czystości, ale przestrzegania porządku. Kobieta odparła, że to miejsce jest naznaczone głównie bólem; właśnie usłyszała jęki. Schutz pokiwał głową i zapytał ją, jak się nazywa. Lucjana, odpowiedziała. A nazwisko? Nic mu nie odpowiedziała.

Schutz zatrzymał się przed mahoniowymi drzwiami, ozdobionymi wstawkami z bardzo ciemnego drewna. Z dumą pokazał je Lucjanie. Zarekwirował je u pewnego antykwariusza na via del Coronari. Po otwarciu drzwi nacisnął wyłącznik po prawej stronie i kryształowy żyrandol oświetlił duże pomieszczenie. Lucjana uważnie oceniła umeblowanie: stare biurko, nad nim lampa z szarego metalu, czarny telefon, krzesło z drewnianymi podłokietnikami, na przeciwległej ścianie gramofon. Obok skórzana kanapa z licznymi przetarciami. Następnie stolik ze starego drewna i obity zielonym materiałem fotel.

Lucjana zauważyła, że za takimi drzwiami i pod takim żyrandolem można było oczekiwać lepszych mebli. Schutz

z subtelną ironią wyraził zdziwienie, że taka specjalistka od wyposażenia wnętrz nie doceniła wartości fotela. Pochodził z Palazzo Odescalchi. Przez wieki siadywali w nim książęta. Był to jedyny luksus, na który sobie pozwalał. Nigdy nie traktował miejsca pracy jak swojego mieszkania. Gdyby było zbyt dobrze urządzone, nie miałby ochoty wracać wieczorem do domu.

Lucjana podeszła do fotela i ze swobodą w nim usiadła. Schutz dostrzegł, że jest naprawdę interesującą osobą. Zachowywała się, jakby była w salonie, a nie więzieniu. zaproponował jej kawę i gorące rogaliki. Niedaleko była piekarnia. Zapytała, czy raczy się nimi pomiędzy kolejnymi przesłuchaniami, a on odpowiedział, że mogło się tak zdarzyć. A czy nie bolał go żołądek? Nigdy. Lucjana podsumowała, że jego oczy przypominają spojrzenie hieny. Schutz podziękował jej i wyjaśnił, że jeśli członkom SS mówiono w Niemczech, że mają ludzkie oczy, oznaczało to, że są ze szkła. Tak więc bez znajomości niemieckich zasad powiedziała mu komplement.

Uśmiechnął się do niej, wziął telefon, wydał rozkaz. Podeszedł do gramofonu, ostrożnie dmuchnął w igłę i delikatnie położył płytę na podstawce. „Preludium Deszczowe Des-dur nr 15 Chopina” - zauważyła słuchając Lucjana. Schutz przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Wreszcie zapytał, czy zna nazwisko pianisty. Spodziewam się, że to Alfred Cortot, odpowiedziała i spytała, czy puszcza Chopina wszystkim swoim ofiarom, zanim zacznie je torturować. Na twarzy Schulza pojawił się grymas irytacji. Oschłym tonem Lucjana oświadczyła, że chce się dowiedzieć, gdzie jest jej narzeczony. Znajdował się w celi piętro wyżej. Czy wobec tego miał zamiar go przypalać i wyrywać mu paznokcie? Na razie nie.

Wszedł żołnierz z tacą rogalików i dwiema filiżankami gorącej kawy. Pili i jedli, Schutz podsumował: Kocha pani muzykę, pani przyszły mąż, młody dyrygent, jest chory. Jak długo się znacie? Lucjana odpowiedziała: „Od roku, dla niego porzuciłam śpiewanie”. „A więc jest pani śpiewaczką!” - krzyknął Schutz zaskoczonym i pełnym podziwu głosem. Skierował wzrok na sufit, jakby czemuś się przyglądał. Czy słyszała pani kiedyś *Dziesiątą Symfonię* Mahlera pod batutą Furtwänglera? Odpowiedziała twierdząco, a on stwierdził, że w takim razie mogła go zrozumieć. *Dziesiąta Symfonia* w interpretacji Furtwänglera pozwalała zrozumieć ból z powodu utraty życia i bunt wobec rozłąki. Dlatego tak bardzo ją lubił.

Schutz zaczął chodzić tam i z powrotem, robił to bardzo niespokojnie. Kiedy się zatrzymał powiedział, że w przeddzień wyjazdu na front słuchał *Dziesiątej Symfonii* w wykonaniu orkiestry koncertowej Gebouw. Dyrygował Furtwängler. Potem zapytał Lucjanę, czy bardzo kocha Bruna i dodał, że jest bardzo piękna. Jej oczy, usta i sposób chodzenia zrobiły na nim wielkie wrażenie.

Widział kiedyś w Berlinie sopranistkę, która z niezwykłą oryginalnością wykonywała *Bohemę*. Czy miała tę operę w swoim repertuarze? Lucjana głęboko westchnęła. Debiutowała rolą Musette¹⁶. Zwilgotniały jej oczy. Dlaczego? - chciał wiedzieć Schutz. Czy miał ochotę posłuchać pewnej historii? Tak - odpowiedział. Lucjana stwierdziła, że okoliczności, w których się poznali, nie można nazwać przyjemnymi ani spontanicznymi i fakt, że podzieli się z nim ważnym etapem swojego życia, powinien uchodzić za akt zaufania. Zakaszła. Oparła głowę na rękach. Nieznacznie przygryzła dolną wargę i wyszeptła, że przed dwoma laty miała

¹⁶ Jedna z ról w „Cyganerii” Giacomo Pucciniego.

wypadek samochodowy, który spowodował niewydolność serca. Odtąd lekarze zabronili jej śpiewać. Schutz podszedł do niej, pochylił się i pocałował ją w rękę. Lucjana uśmiechnęła się do niego i mówiła dalej, opowiadając, że znalazła schronienie w Merano, gdzie jako dziecko spędzała wakacje. Bardzo wczesnie jadła śniadanie. Potem wychodziła z hotelu i przechadzała się lewym brzegiem rzeki Passirio, wśród pachnących roślin i kwiatów. Powtarzała sobie, że być może uda jej się na stałe osiąść w tych stronach i zamieszkać w domu z ogródkiem.

Pewnego ranka przyszła jej ochota na coś słodkiego. Niedaleko od rzeki była cukiernia. Weszła do niej i usiadła przy marmurowym stoliku. Delektowała się gorącą czekoladą, gdy ktoś uprzejmym głosem zapytał, czy może zająć miejsce obok. Podniosła wzrok. To był on, młody muzyk. Przedstawił się. Powiedział, że przebywa w Merano z powodu studiów. Wspomniał o swojej karierze. Uśmiechnęła się do niego i zaraz potem zdała sobie sprawę, że stało się to pierwszy raz od wypadku. Czują bijące od nieznajomego ciepło. Spontanicznie opowiedziała mu o wszystkim, co się jej przytrafiło. Od tamtego dnia byli nierozłączni.

- A wojna? - zapytał Schutz. Żyli w spokoju. Ale wojna była rzeczywistością, odparł Schutz.

Lucjana ciągnęła dalej swoją historię: pojechali do Szwajcarii, zamieszkali w Genewie. Była szczęśliwa, odzyskała równowagę. Młody muzyk wypełniał jej życie. Pewnego dnia, podczas spaceru brzegiem jeziora, źle się poczuł. Badania wykazały nowotwór płuc. Ponieważ nie znał Rzymu, zapragnął go zobaczyć. Pomimo wojny. Przyjechali do szpitala Bonifratrów, mieli wkrótce wyjechać.

Schutz długo przyglądał się Lucjanie, po czym zawołał żołnierza i wydał mu rozkaz. Po kilku minutach powiedział

Lucjanie, żeby za nim poszła. Wyszli na ulicę. Czekał na nich ten sam samochód. W środku siedział młody muzyk. Lucjana zajęła miejsce obok niego, Schutz z przodu. Samochód ruszył, skręcił w prawo, potem jeszcze raz w prawo, wjechał na via Matteo Boiardo i zatrzymał się przed okazałym, zabytkowym budynkiem. Schutz zawołał, że chciał im zrobić niespodziankę. Lucjana spojrzała na niego bez słowa. Otworzyła się brama, stał w niej wartownik. Auto wjechało na wyłożony białymi kamieniami dziedziniec. Dalej był duży, prostokątny ogród z trzema fontannami, dwa akwaria z czerwonymi rybami, posąg Pana¹⁷ i Wenery. Z ust grającego na flecie Pana wyrzucany był strumień wody z pierwszej fontanny.

Tonem pełnym satysfakcji, jakby całe to miejsce stanowiło jego własność, Schutz wyjaśnił, że znajdują się ogrodzie Willi Massimo.

Matka Wielebna przerwała i spojrzała na mnie, bo biłem się prawą ręką w czoło. Wreszcie zrozumiałem, gdzie zostało zrobione zdjęcie, które tak mnie poruszyło.

- Willa Massimo, Wielebny Ojciec, była przed wojną siedzibą Niemieckiego Instytutu Kultury, a potem stała się lokum dla oficerów SS, którzy torturowali więźniów na via Tasso. Dzisiaj jest siedzibą delegatury Ziemi Świętej i podejrzewam, że zatrzymuje się tam ojciec w czasie swoich pobytów w Rzymie.

Byłem oszołomiony. W mojej głowie kotłowały się bezładne obrazy. Odległa przeszłość, która była moim udziałem tylko pośrednio, teraz stawała się dla mnie namacalna. Ogród Willi Massimo, uwielbiane przeze mnie miejsce spokoju, gdzie podczas wizyt w Rzymie spędzałem całe go dziny,

¹⁷W mitologii greckiej bóg strzegący pasterzy oraz ich trzody.

czytając, spacerując i spotykając się z przyjaciółmi, był domem, w którym mieszkali, jedli, spali nazistowscy oprawcy. Pięknie utrzymane alejki, o które dbał jeden ze współbraci, który przed wstąpieniem do zakonu był ogrodnikiem, wydawały mi się teraz mniej radosne i zabarwione dawną krwią. Zdałem sobie sprawę, że chciałbym powstrzymać słowa dotyczące Willi Massimo, które wypowiedziała Wielebna Matka, wziąć je w cugle i opanować jak konie, które poniosły.

- Czy mogę mówić dalej, Wielebny Ojcze?

Ogarnęły mnie takie emocje, że nie odpowiedziałem.

Przełknąłem, wziąłem szklankę wody, wypilem i zamknąłem oczy. Cierpliwie czekała, a kiedy zauważyła, że trochę się uspokoiłem, wróciła do swojej opowieści.

- Schutz wyjaśnił młodemu muzykowi, że w Willi Massimo znajduje się godne uwagi archiwum historyczne, cenna kolekcja map geograficznych z osiemnastego wieku i dużo wartościowych książek. Są też partytury muzyczne: *Serva Padrona* Pergolesiego i dwa kwintety na gitarę Boccheriniego. Zapytał, czy mu się podobają i który z nich bardziej. Bruno uśmiechnął się. Schutz go przepytywał. Odpowiedział, że podobają mu się wszystkie utwory Boccheriniego, dlatego nie może ustalić żadnej hierarchii. Schutz odparł, że jest podobnego zdania. Potem poprosił młodego muzyka, żeby popatrzył na potężny, trochę nadgryziony zębem czasu posąg, który leżał na boku, jakby drzemał pośrodku alejki. Młody muzyk powiedział, że być może to Apollo, Schutz potwierdził, wyrażając pogląd, że posąg faktycznie przedstawia greckiego boga.

- To naprawdę Apollo, Wielebna Matko! - przerwałem jej wzruszony, dodając, że zawsze zastanawiałem się, kiedy ten kolos tam trafił. Kiedy prawie dwadzieścia lat temu przełożeni

przyznali mi pokój w Willi Massimo, znalazłem go w tej samej alejce i w takiej samej pozycji. Był zakryty chwastami i nie miał nosa. Znalazłem nos, który nie wiem, jakim sposobem dostał się do fontanny Pana, a cztery lata temu przekonałem Urząd Ochrony Zabytków w Rzymie, żeby odrestaurować posąg. Prace zakończyły się parę miesięcy temu i Apollo, któremu przywrócono dawne piękno, króluje teraz w centralnym miejscu ogrodu.

- Schutz - opowiadała dalej Wielebna Matka - czule pogłodził ogromną twarz posągu, po czym poprosił Lucjanę i młodego muzyka, żeby za nim poszli. Chciał im pokazać inną ciekawą rzecz. Weszli do Willi Massimo przez drzwi od strony ogrodu. Sale na parterze były ozdobione freskami. Te są prerafaelickie, powiedział Schutz, pokazując freski w pierwszej sali. Przedstawiają sceny z *Boskiej Komedii*. Niedawno zostały uporządkowane, a ponieważ kochał sztukę, ocalił życie w zamian za wykonanie tej pracy. Jego ludzie przesłuchiwali więźnia, z zawodu konserwatora sztuki. Kiedy się o tym dowiedział, na szczęście jeszcze zanim wyrządzili poważną szkodę jego ręką, złożył mu propozycję. Puścił go wolno, jeśli zajmie się freskami. Przystał na to i spisał się doskonale. Młody muzyk podniósł głowę i zauważył, że część sufitu pozostała nietknięta. Z nutką triumfu w głosie Schutz wyjaśnił mu, że szczerść ma dla niego fundamentalne znaczenie. Ten wspaniały konserwator ukrył przed nim istotny szczegół. Nie powiedział, że jest Żydem. Z tego powodu nie był w stanie uchronić go przed deportacją. Został umieszczony w pociągu do Niemiec. Mimo to miał nadzieję, że po wojnie będzie mógł wrócić do Willa Massimo, żeby dokończyć pracę.

Wyszli na pierwsze piętro. Znaleźli się w dużej, świeżo otynkowanej sali bez mebli, z podłogą wyłożoną terakotą.

Na jedne) ze ścian znajdowało się troje drzwi. Schutz otworzył środkowe, mówiąc, że to jego mieszkanie. Nacisnął przycisk, zapalił światło i ich oczom ukazał się obraz. Był to autentyczny Vermeer. Ukradziony! - krzyknęła Lucjana. Kto kocha sztukę nie kradnie, ale ratuje - odparł Schutz. Powiedział, że Vermeer jest jego ulubionym malarzem, bo do 1672 roku prowadził spokojne życie, a gdy w wyniku wojny z Francją jego rodzina - jak wiele innych - padła ofiarą niedoli, postanowił umrzeć. Zrównoważony człowiek, który żyje zgodnie z ustalonym rytmem i nagle wszystko się rozpada się na kawałki, nie ma innego wyjścia - może wybrać tylko śmierć. Schutz mówił teraz ostrym, wibrującym głosem. Właśnie dla takich ludzi, jak Vermeer walczą Niemcy, chcąc przywrócić spokój w Europie.

Znowu przerwałem Wielebnej Matce. Powiedziałem jej, że sądząc z jej opisu, jestem przekonany, że mieszkam obecnie w pokoju, który należał do Schutza. W końcu dowiedziałem się, kto jest prawdopodobnym właścicielem starego i zardzewiałego noża do papieru, który znalazłem w zakurzonej kącie pokoju. Na jego ostrzu wyryto zdanie po niemiecku: *Boimy się tego, co najlepsze.*

Wielebna Matka uśmiechnęła się do mnie i wróciła do opowiadania.

- Lucjanę ogarnęło silne uczucie strachu. W miarę jak Schutz mówił, narastało wokół niej coś groźnego i nieuchwytnego. Najchętniej od razu wróciłaby z młodym muzykiem do szpitala. Zamiast tego Schutz poprosił, żeby usiedli na krzesłach. Stojąc w pewnej odległości, opowiadał im przeczytaną niedawno historię króla Kaniszka, która bardzo go poruszyła. Pewnego dnia w stolicy swojego królestwa Kapisie król spotkał bezzębnego mężczyznę z siwymi włosami. Król Kaniszka, który dotąd nie wiedział, czym jest starość,

zapytał go, co to za straszna rzecz mu się przydarzyła. Mężczyzna odpowiedział, że przyszła do niego starość, która spotyka wszystkich, nawet młodego szczęśliwego króla Kaniszkę. Dzień później, podczas spaceru, który zazwyczaj odbywał, Kaniszka natknął się na człowieka ze spuchniętymi oczami, pokrytego ropiejącymi strupami. Zapytał, co mu się dzieje, a ten odpowiedział, że spotkała go choroba, a pewnego dnia przyjdzie też do niego, młodego, szczęśliwego króla. A kiedy trzeciego dnia zobaczył podczas przechadzki ludzi, którzy nieśli znieruchomiałe ciało, zapytał, co się stało. Odpowiedzieli, że to nieboszczyk i on sam pewnego dnia skończy w taki sposób. Kaniszka przeraził się i stwierdził, że życie jest najgorszym złem i od tego momentu poświęcił całą swoją energię, żeby uwolnić od niego innych ludzi. Stał się najbardziej brutalnym, okrutnym i bezlitosnym człowiekiem na ziemi.

Lucjana z uwagą przyglądała się Schutzowi. Młody muzyk zrozumiał, dokąd zmierza i poczuł strach. Lucjana objęła go, żeby dodać mu otuchy. Zwróciła się do Schutza, mówiąc, że nie musi być podobny do króla Kaniszki. Schutz odparł, że Kaniszka był wielkim królem, zbudował wspaniałe pałace i pozostawił nieoceniony skarb archeologiczny. Potem zmienił ton, uśmiechnął się z sympatią do młodego muzyka i powiedział mu, że podejrzewa, że niezupełnie jest tą osobą, o której opowiadała mu Lucjana. W świecie żywych - mówił dalej - są tacy, którzy zachowują się, jakby już byli martwi. To ci, którzy nie przestrzegają zasad, jak konserwator fresków, któremu zabrakło szczerości.

- A czy prawda by go ocaliła? - zapytała Lucjana. Myślę, że tak - odpowiedział Schutz. Jednak trwała wojna, a na wojnie obowiązywały zasady i obowiązki. Jedni muszą przestrzegać zasad, inni wypełniać obowiązki. Najważniejszą

zasadą dla niego jest lojalność. Najważniejszym obowiązkiem szacunek dla żołnierskiej przysięgi. Musi w najlepszy możliwy sposób bronić ojczyzny i tych, którzy go wychowali, wykarmili i ciągle wspierają na drodze prowadzącej do śmierci. Ci, którzy szkodzili jego narodowi, nie przestrzegając zasad, musieli zostać w jakiś sposób unieszkodliwieni. Takie zastosowanie miały tortury, które pomagały dojść do prawdy i zbadać zamiary niejednoznacznie zachowującego się człowieka.

Średniowieczna Inkwizycja okazała się całkowitą katastrofą, bo miejsce każdego heretyka, który ginął na stosie, zajmowało tysiąc innych. Umierali, bo nie chcieli słyszeć o porzuceniu swojej wiary. Efekt był do przewidzenia: ofiara okrywała się chwałą, a inkwizytor hańbą.

Ani Schutz, ani inni funkcjonariusze nie mieli zamiaru powtarzać tego rodzaju błędów. Wszystkie zeznania zgromadzone w wyniku przesłuchań były szczerze. Działo się tak dzięki takim, jak on, którzy przemieniali wrogów Hitlera w pył, czyniąc go składnikiem morza, nieba i ziemi. Dominującym uczuciem w nazistowskiej cywilizacji nie był strach ani nawet miłość, lecz sprawiedliwość. Aby do niej dotrzeć, należało uciec się do wszelkich metod, włącznie z torturami. Powodując fizyczny ból, zmuszamy do przestrzegania zasad.

Schutz poprosił Lucjanę, żeby podała mu choć jeden powód, dla którego miałby odstąpić od poddania młodego muzyka torturom. Jest chory i niewinny, powiedziała. Schutz odparł, że młody muzyk coś przed nim ukrywa. Lucjana zawołała, że tak naprawdę to nad nią chciałby się poznęcać. To nieprawda - niemal wrzasnął Schutz. Nie był sadystą, a tym bardziej maniakiem seksualnym. Chciał jedynie prawdy, żeby ocalić etykę państwa. Lucjana zaśmiała się. Powiedziała mu,

że zatracą wycucie proporcji. Prawdę oznaczały dla młodego muzyka jedynie partytura i nuty.

Wrócili do ogrodu. Schutz przystanął obok posągu Apolla. Bolało go, że jeśli będzie musiał opuścić Rzym, nie zdąży go odrestaurować. Zapytał Lucjanę, czy jeśli coś mu się stanie, ona się o to postara. Kochał Apolla. Był wytworem jego fantazji, wspomnieniem chlubnych przygód i niekończących się marzeń, Apollo był historią. Schutz pogładził posąg i powiedział, że to najwspanialszy człowiek, którego spotkał we Włoszech. Oczywiście po Lucjanie.

Powiedział do młodego muzyka, że to prawdziwe szczęście mieć przy sobie taką kobietę. W jego głosie nie było słychać zazdrości, ale autentyczne cierpienie. Spoglądał teraz na alejki, fontannę Pana, kwiaty. Ten ogród jest wzorem idealnego państwa: dobrego miejsca do zamieszkania, czystego i dobrze urządzonego. Z bólem wykrzyknął, że na ludzi nigdy nie można liczyć. Lepiej otoczyć się przedmiotami, bo one nigdy cię nie porzucą, a mogą nabrać ludzkich cech, jak Apollo. Chwycił Lucjanę za ręce i mocno je uściśnął. Powiedział, że odwiezie ich do szpitala Bonifratrów.

Wsiedli do czarnego samochodu, który czekał przed bramą. Auto skręciło w prawo, w lewo, potem znowu w prawo i wjechało na via Merulana. Znaleźli się przez Bazyliką Santa Maria Maggiore. Kilka metrów od głównego wejścia zobaczyli mężczyznę, który poruszał się zmęczonym krokiem. Był ubrany w ciemnobłękitną kurtkę, na głowie miał beret, a na brzuchu otwartą kasetkę przymocowaną do paska, jak sprzedawcy na jarmarkach. Schutz kazał kierowcy zatrzymać samochód. Mężczyzna włożył dłoń do kasetki. Schutz wysiadł, chwytając swój pistolet i zbliżył się, przybierając groźną postawę. Mężczyzna uśmiechał się do niego, Lucjana wyraźnie widziała jego twarz. Był opóźniony umysłowo.

Podał Schutzowi karteczkę. Schutz ją przeczytał, krzyknął coś po niemiecku, zwinął ją w rulonik i rzucił na ziemię. Mężczyzna ostrożnie podniósł pomięty kawałek papieru, z namaszczaniem wygładził, na nowo złożył i wsunął do kasetki, którą starannie wytarł. Rzucił Schutzowi wyzywające i pogardliwe spojrzenie, po czym wszedł do kościoła.

Schutz wszedł do samochodu z posepną twarzą. Lucjana zapytała, co było napisane na karteczce: „Szczęście sprzyja tym, którzy na nie zasługują” - odpowiedział Schutz.

Samochód minął plac, znalazł się na via Viminale, skręcił na piazza Esedra i wjechał w via Nazionale. Schutz głośno stwierdził, że każda rewolucja ma swoich bojowników, myślicieli i swoje rekiny. W Niemczech zabito prawie wszystkich bojowników, zamordowano myślicieli, pozostały tylko rekiny. Potem wrzasnął, że władzy potrzebny jest prestiż, a prestiż wymaga dystansu.

Wiedział, że młody muzyk to Rosenkrantz, który spotkał się w Rzymie z Guildesternem, ale nie wiedział, dlaczego. Guildestern zginął, uciekając ze szpitala Bonifratrów. Strzelił sobie w usta, żeby uniknąć aresztowania. Schutz postanowił wrócić na via Tasso, żeby przekonać się, czy Rosenkrantz wykaże się podobną odwagą. Wydał rozkaz kierowcy, który gwałtownie skręcił w lewo, chcąc zmienić kierunek jazdy, ale stracił kontrolę nad pojazdem. Samochód dwukrotnie przekoziołkował i uderzył w mur. Stało się to na wysokości Palazzo delie Esposizioni.

Wielebna Matka zmieniła ton głosu. Mówiła teraz w pierwszej osobie.

- Gdy odzyskałam przytomność, zaczęło się bombardowanie. Schutz leżał przy samochodzie i wydawał się martwy. Głowa kierowcy była przekrzywiona w nienaturalny sposób i opierała się na kierownicy. Młody muzyk, który wypadł na

asfalt po przeciwległej stronie od Schutza, ciężko oddychał. Resztką sił, która została mi w ramionach, wciągnęłam go do tunelu łączącego Nazionale z via Tritone. Schroniło się w nim wielu ludzi. Zaprzyjaźniłam się z pewną rodziną, która zaprosiła nas na posiłek. Mieszkali na początku via dei Serpenti. To była wspaniała kolacja - w radosnej atmosferze i z mnóstwem jedzenia. Myśleli, że jesteśmy małżeństwem i posadzili nas obok siebie. Gospodarz otworzył drzwiczki kuchennej szafki, z której wysunął się gramofon. Na półkach stało mnóstwo płyt. Wziął jedną z nich, uważnie przeczytał informacje na okładce, położył płytę na podstawie i włączył. Popłynęła muzyka. Była to piosenka Carlosa Gardela. Młody muzyk stanął przede mną, uklonił się i zaprosił do tańca. Odczuwaliśmy lekkość i szczęście. Gospodarz zawołał, że chyba braliśmy udział w konkursach tańca, a klimat i emocje, które przekazujemy, idealnie nadają się do tanga.

Przeszył mnie dreszcz. Przypomniałam sobie, że w chwilę przed wypadkiem Schutz powiedział, że chciałby zatańczyć ze mną tango. Zapytałam go, dlaczego, a on odpowiedział, że tango z piękną i pożądaną kobietą jest jak miłosna pielgrzymka. W tym momencie kierowca stracił kontrolę nad samochodem i głowa Schutza odskoczyła do tyłu. Pomyślałam, że złamał kark i nie żyje.

Tango się skończyło, młody muzyk dalej mocno mnie przytulał, jego zapach przeszywał moje serce i głowę. Przez chwilę trzymaliśmy się w objęciach, rozdzielił nas dopiero aplauz. Gospodarz stwierdził, że zaczęła się godzina policyjna i nie możemy ruszyć się z domu. Bezceremonialnie i uprzejmie zaoferował nam swoją sypialnię. Kiedy zostaliśmy sami, z uśmiechem spojrzeliśmy sobie w twarz. Moje serce biło jak szalone, byłam na wpół przytomna, trzęsły mi się ręce,

czułam ucisk w żołądku. Po skórze rozchodziła się przyjemna fala ciepła. Próbowałam przekazać mu swoje emocje oczami. Odpowiedział, chwytając mnie w objęcia. Pocałowaliśmy się, rozkoszując się każdym zakątkiem naszych ust i choć nie miałam doświadczenia, pomyślałam, że tak głęboki pocałunek zdarza się raz w życiu. Był jednomyślny, rozedrgany, intensywny. Powiedział, że szalenie mnie pragnie. Wyszeptał każde słowo, które miał w myślach. Nasza miłość była aktem czystości i poezji. Zapytałam go później, czy nie chce wiedzieć, w jaki sposób ocalałam mu życie. Powiedziałam, że wymyśliłam piękną bajkę. Wzruszył ramionami. Najbardziej liczyło się dla niego to, że jesteśmy razem. Dodał, że wrócimy do szpitala, bo musiał coś stamtąd zabrać, a potem wyjedziemy. Westchnęłam i oczy napełniły mi się łzami. Przytulił mnie, myśląc, że ten moment wzruszenia był spowodowany intensywnością moich uczuć, zamknął oczy i zasnął. W jego twarzy było coś, co mnie rozczuliło. Łagodny cień zatroskania, czy też może oczekiwania na nowe życie, które chciał spędzić ze mną.

Nie chciało mi się spać. Ubrałam się i po cichu wyszłam z pokoju. Weszłam do kuchni, otworzyłam okno i spojrzałam na niebo. Było jasne, rozgwieżdżone, z wielkim, prawie pełnym księżycem. Poczulałam na szyi pocałunek. Nie zauważyłam, że za mną idzie. Nie poderwałam się z miejsca. Już się do tego przyzwyczaiłam. Powiedział: „Taka właśnie jest miłość. Spotykasz ją w najbardziej nieoczekiwanym momencie. Jestem szczęśliwy”. Wziął głęboki oddech. „Już postanowiłem. Pobierzemy się w Londynie, za kilka dni”. Nie otwierając oczu, pogłodziłam go po twarzy. Staliśmy objęci, nie wychodząc z kuchni. Czułam, że jego głowa jest pełna barw. Powiedział: „Szczęście jest ruchome, a ja czuję się

teraz jak arktyczna kuropatwa, która leci od bieguna północnego do południowego bez żadnego przystanku".

Nastał świt. Gospodarz odwiózł nas swoim samochodem do szpitala Bonifratrów. Serdecznie się z nami pożegnał i poprosił, żebyśmy jak najszybciej go odwiedzili. Uważał nas za prawdziwych przyjaciół.

Ojciec Bartłomiej przywitał nas i powiedział młodemu muzykowi, że ktoś na niego czeka. Zaprowadził go do pokoju i ruchem głowy wskazał dwóch partyzantów, którzy po niego przyszli. Wyjął z szuflady mikrofilm i zapytał brata Bartłomieja, gdzie jestem, bo mam z nim jechać. Brat Bartłomiej powiedział tylko, że siostra Lucjana jest przy chorych i go pozdrawia. Opowiadał mi potem, że młody muzyk zbladł i odjęło mu mowę. Bartłomiej podał mu bilecik ode mnie. Napisałam na nim: „Nikt nie ma szczęścia, na które zasługuje”.

Siostra Lucjana spojrzała na mnie ze wzruszeniem.

- Wielebny Ojcze, zanim Bartłomiej udzielił mi rozgrzeszenia, zadał tylko jedno pytanie.

- Domyślam się jakie - powiedziałem. Takie samo, jakie ja bym zadał: czy od tamtej chwili uważała siostra swoje życie za całkowicie oddane Bogu, już bez żadnych zakłóceń? Jeśli tak było, Pan przyjął siostrę z jeszcze większą radością niż wcześniej.

Siostra Lucjana potakująco kiwnęła głową, uśmiechając się. Podeszła do mnie, uklękła, wzięła moje ręce i na chwilę położyła je sobie na głowie. Potem wstała, wróciła na swoje miejsce, napiła się wody i powiedziała:

- Młodym muzykiem był Bruno Gruber. Przypuszczam, że się ojciec domyślił.

Pasje Schutza

Poprzedni kustosz powiedział mi kiedyś, że rysy twarzy człowieka, struktura kostna i okalające ją tkanki, są wytworem procesu biologicznego. Jednak twarz jest dziełem jego samego. Wyraża emocjonalne nastawienie, które jest potrzebne, żeby zrealizować pragnienia i ukryć lęki przed zbyt wścibskimi spojrzeniami. Człowiek nosi ją jak magiczną maskę, żeby schować kruche i słabe strony umysłu.

Niewielu ludzi potrafi odczytać myśli rozmówcy, obserwując jego twarz. Jeśli osiągnę taki rezultat, powiedział na zakończenie, uzupełnię swój duchowy szlak. Zapytałem, czy jemu się to udało. Odpowiedział:

- Ojciec Mateo, życie jest krótkie i przejście tej drogi staje się nieuniknione i obowiązkowe.

Dlatego gdy zobaczyłem starszego człowieka, który bez pukania wszedł do pokoju, w którym znajdowałem się z siostrą Lucjaną, domyśliłem się, że stoi przede mną Schutz i próbowałem przeszedzić na jego twarzy tor myśli, które przez nią przebiegały.

Miał wyprostowaną, smukłą sylwetkę i gładkie, siwe włosy. Był ubrany w elegancki, ciemny garnitur. Wydawał się uosobieniem dystynkcji i szacowności. Wyglądał na wyższego niż sto osiemdziesiąt centymetrów, na które początkowo go oceniłem. Cerę okrywała bladość, która w podeszłym wieku za-

stępuje młodzieńczy odcień różu. Wysoko zaznaczone kości policzkowe, szpiczasty nos i wystająca górna warga sprawiały, że bardziej przypominał Rosjanina niż Niemca. Oczy miały intensywnie błękitny kolor, odniosłem wrażenie, że mruży je, jakby był krótkowidzem. Nie zauważyłem jednak żadnej zmarszczki na czole ani bruzdy między brwiami. Pojąłem, że to złudzenie optyczne spowodowane wysokim położeniem kości policzkowych i położeniem oczu i ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że jego twarz jest pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Zwrócił się do Wielebnej Matki słowami:

- Proszę cię, ty dokonaj prezentacji.

Jego głos był szorstki, chrypliwy, przenikliwy.

- Moim gościem - z pewną wyniosłością powiedziała siostra Lucjana - jest kustosz Ziemi Świętej. Chciałeś go poznać. I jest tutaj. Proszę cię, usiądź z nami. Wielebny Ojciec, przedstawiam ex-porucznika Schutza, który dzisiaj jest cenionym handlarzem dzieł sztuki. A przede wszystkim, wielkim dobrodziejem naszego szpitala.

Zauważyłem, że postawa siostry Lucjany wobec ex-porucznika była serdeczna, niemal opiekuńcza. Poczekał chwilę, a potem zrobił piruet, który w zamierzeniu mógł być półukłonem.

- No nareszcie, ojciec Mateo, nareszcie! Czekałem na tę wizytę. Mam ojcu trochę do opowiedzenia i myślę, że wasi żydowscy przyjaciele będą szczęśliwi, że się tym z ojcem podzielę. Na przykład mógłbym ojcu wyjawić, kto nałożył franciszkański habit temu szpiegowi, zwerbowanemu przez młodego Grubera. Ale by się ojciec zdziwił!

Atmosfera zmieniła się w jednej chwili, usłyszałem w jego głosie napięcie i nienawiść.

Poczułem się nieswojo. Schutz powiedział do Wielebnej Matki:

- Kustosza na pewno trawi ciekawość, Lucjano. Jestem pewny, że chce posłuchać mojej historii. Co o tym myślisz?

Nie czekając na jej odpowiedź, mówił dalej:

- U źródła zdarzeń, których był ojciec uczestnikiem, tkwi cała seria oszustw. Przekonajmy się, czy właściwie je odtworzę. Młody Gruber zabiera ojca do kostnicy i pokazuje zwłoki swojego szpiega, mówiąc ojcu, że to ormiański przestępca. Potem odkrywa ojciec, że to nieprawda.

Spojrzał na mnie z uśmiechem. Jego wąskie wargi były napięte i ledwo się ze sobą stykały, na twarzy pojawił się cień bezwzględności.

- A potem wpadł ojciec na Vissera. Ależ miał ojciec przejścia!

- Skąd pan to wszystko wie?

- Szybko ojciec zrozumie, ma ojciec przyjaciół, którzy lubią dużo mówić.

Zapytał mnie, jak został zabity Visser.

- Nie wie pan?

- Nie. Proszę mnie oświecić.

Miał drwiący ton głosu.

- Pięcioma strzałami z pistoletu - odpowiedziałem.

- Zbyt duże marnotrawstwo ołowiu!

Na chwilę zamilkł.

- Zabił go młody Gruber?

- Tak.

- Ten Visser był z pewnością zbyt zachłanny. - skomentował, dodając: W przeciwieństwie do ojca jestem raczej ateistą i nienawidzę przyszłości. Każde istnienie jest symfonią, przepływające przez nią emocje nie mają początku ani końca. Tragedia starości nie jest dla mnie kwestią wieku, ale świadomością, że kiedyś byłem młody. Z niejednego pieca

jadłem i to wielkimi kęsami, a na mojej twarzy, jak sam ojciec widzi, są dziś tylko zmarszczki. Przerwałem mu.

- Dla mnie życie nadal jest długim, niezmiernym dźwiękiem.

Schutz popatrzył na siostrę Lucjanę z uczuciem, które pochodziło z dalekiej przeszłości i łączyło w sobie troskę i żałość. Wstał z krzesła. Podszedł i ukląkł przed nią. Z dobroduszością pogładziła go po głowie. Odniosłem wrażenie, że zwykle zachowywała ten gest dla swoich chorych; miał wartość świadectwa przyjaźni i wiary. Pomyślałem, że Schutz wie, że to wszystko, czego może oczekiwać. Wracając na miejsce, powiedział:

- Zawsze słuchałem muzyki. Pomaga mi. W nuty nie trzeba uderzać, ale je pieścić. Każda z nich ma inną barwę, którą trzeba usłyszeć. Udaje się to tylko artystom, a ja aspiruję do tego miana. Reszta się nie liczy. Ktoś kiedyś powiedział, że celem życia jest rozwijanie swojej osobowości. Większość uważa, że wystarczy mieć odwagę, ale tak naprawdę chodzi o to, żeby dać swobodny upust swojej naturze. Próbowalem, ale mój umysł pozostał wygłodniały i przekonałem się, że gdyby człowiek całym sobą przeżywał swoje doświadczenia, nadając swoim uczuciom realny wymiar, zyskałby ożywczy powiew radości, zdolny oddalić wszelkie udręki, nawet starość. Ale nawet najodważniejszy człowiek boi się siebie i rujnuje się dobrowolnymi wyrzeczeniami. A porywy, które w sobie dusimy krążą w ciele jak trucizna i stają się wezbranymi falami żalu. Dlatego trzeba ulegać pokusom, bo jeśli się opierasz, gnębi cię pragnienie tego, czego sobie zabroniłeś.

Westchnął i spojrział na mnie, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarły jego słowa. Byłem niewzruszony. Mówił dalej:

- Pod koniec '43, zanim przeprowadziłem się do Rzymu, stacjonowałem w Paryżu. Miałem mnóstwo pracy. Przesłuchania, przeczesywanie terenu i inne sprawy. Zaprzyjaźniłem się ze swoim rówieśnikiem, skrzypkiem z opery, który z nami sympatyzował. Spotykaliśmy się często na kawie w restauracji La Coupole. Pewnego ranka rozprawialiśmy o kwintetach Boccheriniego. Mój rozmówca miał wątpliwości na temat przesadnego użycia gitary w stosunku do wiolonczeli. Wtedy ktoś siedzący przy stoliku obok głośno powiedział: „Czuć tu odór zgniłych lilii!”. Głos należał do mężczyzny. Błyskawicznie się odwróciłem. Siedzący do mnie tyłem mężczyzna podnosił się z krzesła. Był kapitanem Wehrmachtu. Najwyraźniej rozmawiał z kobietą, która mu towarzyszyła. Płakała. Podziwiałem jej twarz. Była wyrazista, z wydatnymi kośćmi policzkowymi i czarnymi, błyszczącymi oczami. Oficer wyszedł z La Coupole, nie odwracając się za siebie. Mój francuski przyjaciel zmarszczył nos, powąchał powietrze i stwierdził: „Pański rodak miał rację, śmierdzi tu zgniłymi liliami”. Usłyszała to kobieta, na jej twarzy pojawiło się rozbawienie i zaczęła się śmiać. Wstała i ciągle się śmiejąc, z wdziękiem skinęła do nas głową, jakby chciała nam podziękować. Wychodziła z lokalu, mając na twarzy zadowolenie kogoś, kto uwolnił się od ciężaru. Pomyślałem, że z ochotą poznałbym zapach zgniłych lilii i dowiedział się, co oznacza.

Te słowa na zawsze połączyły się w mojej wyobraźni z plecami człowieka, którego twarzy nigdy nie zobaczę, i łzami, a potem śmiechem pięknej kobiety. Utrwaliłem w myślach pewien szczegół. Kobieta potrząsnęła głową, jakby chciała wyrzucić wszystkie łzy. Została tylko jedna, błyszcząca pod prawym okiem. Kiedy szła do wyjścia, ta jedna kropelka wydała mi się diamentem.

Wielebny Ojciec, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Lucjanę, zdałem sobie sprawę, że widziałem jej oczy w pewnym śnie z wczesnej młodości. Byłem w Dolinie Renu, a przede mną rozciągała się ogromna łąka porośnięta białymi liliami. Chodziła po niej dziewczyna, którą szaleńczo kochałem. Nareszcie zrozumiałem znaczenie tych tajemniczych słów. Białe lilie oznaczały narodziny miłości. Zgniłe lilie - jej śmierć. Nie chciałem, żeby kiedykolwiek zdarzyło mi się poczuć odór zgniłych lili.

Schutz miał teraz cierpiący wyraz twarzy. Jego głos przybrał metaliczną, groźną barwę.

Przeżyłem ten wypadek samochodowy, o którym - jak się domyślam - opowiadała ojcu siostra Lucjana. Moi żołnierze znaleźli mnie prawie martwego, spędziłem w szpitalu wiele tygodni. Nasza wojna zmierzała ku klęsce. Dzięki studiom archeologicznym zdołałem po wszystkich jakoś się urządzić.

Simon Wiesenthal mnie nie ścigał. Ale schwytał wielu moich przyjaciół. Franza Stangla, komendanta obozu w Treblince i Sobiborze; Karla Silber Bauera, który aresztował Annę Frank w Amsterdamie; Hermana Raumsteinera, który zabił setki dzieci w Majdanku. Wytropił go w Queensland. Na moje szczęście, nigdy nie byłem dla tego Żyda kimś znaczącym.

Czułem, jak ogarnia mnie fala wstrętu i obrzydzenia. Nie wiem, czy domyślił się, co chodzi mi po głowie, w każdym razie zignorował moje emocje i mówił dalej:

- Niektórzy południowoamerykańscy Indianie, którzy przemierzają wielkie rzeki swojego kraju, mają pewien zwyczaj. Gdy któryś z towarzyszy przez przypadek wypadnie z kanoe, pozostali trzymają go pod wodą i pomagają mu utonąć, przyciskając swoimi pagajami. Indianin wie, że wzrost entropii wynikający z męczących akcji ratunkowych byłby jedynie

przybliżeniem powszechnej zagłady wszechświata, natomiast łatwy system utrzymania umierającego pod wodą, wabiąc do niego aligatory, oszczędza energię, uspokaja rzekę i chroni istnienie. To tylko jedna z korzyści, którą daje zbrodnia. W gruncie rzeczy życie i śmierć niczym się nie różnią. Zabijamy, bo tak nam wygodnie, albo uważamy to za konieczne. Zabójstwo jest rozwiązaniem problemów materialnych, z którymi musimy się liczyć na ziemi. Człowiek żyje przede wszystkim na poziomie biologicznym, a jego wartości, nie wspominając o wolnym wyborze, są mało znaczącymi mrzonkami. W większym stopniu reaguje na presję fizycznych zdarzeń i ich uwarunkowania niż na realizację woli. Zręczny człowiek posiada mnóstwo umiejętności, ale potrafiący zabić ma więcej wyobraźni.

Wielebny Ojczy, czuję się dłużnikiem wobec tych, którzy przedwcześnie odeszli. Kiedy w '43 roku przybyłem do Rzymu, zrozumiałem, że jesteśmy zgubieni, ale zawsze odpędzałem od siebie tę świadomość, bo dla kogoś, kto uważał, że ma obowiązki wobec narodu, byłaby ona nie do zniesienia. Proszę odpowiedzieć szczerze. Do czego były ojcu potrzebne te wszystkie prace wykopaliskowe?

- Żeby lepiej poznać Boga - odpowiedziałem.
- Kiedy umrę, czy będzie się ojciec nade mną litował jak Hamlet nad biednym Jorikiem i przyjdzie na mój pogrzeb?
- Nie wiem.

Wysłuchałem Schutza cierpliwie. Uczucie odrazy dla niego mogło stać się dominującym. Analizowałem jego ruchy, mimikę twarzy i z przerażeniem stwierdziłem, że nie mogę w nich uchwycić ani jednego pierwiastka człowieczeństwa. Podążał za swoją brutalną logiką, w której nie było miejsca dla reszty świata.

Powiedział mi:

- Żyd mieszka w miejscu, w którym się urodził, ale marzy o Ziemi Izraela. Buduje sobie w głowie wymagowaną strukturę, która ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Ta wybujała fantazja sprzyja jego kreatywności, a z drugiej strony, wśród takich antysemitów, jak ja, utrwała wizerunek Żyda jako istoty pozbawionej korzeni. Boję się tego obrazu, bo jest odzwierciedleniem moich najbardziej negatywnych emocji. Być może na tym polega moja prawdziwa choroba, która wywołuje we mnie cierpienie. Myślę, że zamiast wypierać się swojego pochodzenia, Żydzi nie powinni ufać wierze, która przyniosła im tylko udutki.

Lucjana patrzyła na niego z pewnego rodzaju zakłopotaniem, które mieszało się ze współczuciem. Wiedziałem, że nie zgadza się z żadnym jego słowem, ale cierpliwie go wysłuchiwała, jak ktoś, kto przywykł do codziennego obcowania ze złem. Schutz wydawał mi się teraz stary, zaczynałem dostrzegać wszystkie rysy jego umysłu. W jego zachowaniu było coś oszukańczego.

Wykrzyknął:

- Mam pytanie do księdza! Czy można okazać litość wszystkim, nawet Hitlerowi i Stalinowi? I czy mamy prawo brukać tę najwspanialszą rzecz na świecie, jaką jest litość, zrozumieniem dla zdetronizowanych możnowładców. Trzeba się też zastanowić nad inną sprawą. Czy kiedy historia bierze sobie do serca sprawiedliwość, to nie pojawia się niebezpieczeństwo, że istoty potrzebujące ochrony zamieniają się w potwory, które chciały pokonać? Czy można odczuwać szacunek dla historii? Czy, według ojca, Żydzi kiedykolwiek go odczuwali?

Odpowiedziałem oschle:

- Czymś potwornym jest nienawiść i prześladowanie tych, którzy nie mogą się bronić.

Schutz stwierdził, że moje słowa wydają mu się smutną interpretacją jego przemyśleń i wywodów. Nie chciał, żebym mylnie go osądzał. Dodał, że w życiu każdego człowieka musi być wiele rzeczy, które trzeba rozszyfrować i odgadnąć, a najprostsze i najbardziej oczywiste odpowiedzi często okazują się błędne.

- Wielebny Ojcie, każda biografia jest tajemnicza jak życie, o którym opowiada. Zbyt jednoznaczne i przejrzyste życie nie jest prawdziwym życiem. Nie wymagam, żeby zgadzał się ojciec z każdym moim słowem, ale byłbym wdzięczny, gdyby wysłuchał mnie ojciec bez osądzania. Świat stał się tak przewrotny, że mysikrólikom udaje się zgarniać łupy nawet tam, gdzie orły nie ośmieliłyby się usiąść na gałęzi.

Chciałem powiedzieć, że tacy, jak ja i Wielebna Matka pracują po to, żeby to nie było prawdą, ale sprowokowałbym niepotrzebną wymianę zdań. Trudno mi było wyobrazić sobie, że prowadzę z nim dialog. Schutz odetchnął głęboko i wykrzywił usta, nadając swojej twarzy okrutny wygląd.

- Historia, którą opowiem, pozwoli ojcu zrozumieć, że wszystko to, co się wydarzyło, wypływa ze stwierdzenia: „Kto nie boi się dokonania odkrycia, nie zasługuje na nie”, poza tym z dwóch pasji. Jedną z nich jest sztuka Gandhary, o drugiej - westchnął - opowiem ojcu później. Pewnie poruszę temat, który jest ojcu - jako słynnemu archeologowi - doskonale znany, ale jestem zafascynowany twórczością Gandhary, bo w odróżnieniu od naszego Renesansu, który skorzystał z niezwykłych doświadczeń stylu romańskiego i gotyku, nie ma żadnego precedensu.

Artyści Gandhary nie ograniczyli się do naśladowania estetycznych i religijnych kanonów buddyzmu, ale opowiadali o społeczeństwie, w którym żyli. Może mnie ojciec zrozumieć. Sztuka gandharska jest dla kolekcjonera czymś, co nie podda-

je się żadnym regułem. Stanowi wspaniały łącznik pomiędzy hellenizmem i buddyzmem i dlatego jest unikatowa. Prezentuję tę samą fantastyczną i prowokującą wyjątkowość, co nazizm.

Jego twarz była teraz pełna pasji. Zapytał, czy słyszałem kiedyś o mieście Kapisa. Odpowiedziałem, że mam o nim ogólnikową, mało skonkretyzowaną wiedzę. Opowiedział mi, że przed tysięcznym rokiem syn cesarza Chin, Hiuang-Tsang przybył z wizytą do Kapisy, będącej letnią stolicą królestwa Gandhary. Przyjęto go z należnymi honorami, a po ceremonii powitalnej buddyjscy kapłani rywalizowali ze sobą o przywilej ugoszczenia go w swoich klasztorach. Wybór księcia padł na monaster Cha-Lo-Kia, zbudowany przez najśłynniejszego z królów Gandhary, Kaniszkę. Przetrzymany tam chińskich zakładników, uwięzionych w czasie zwycięskich wypraw do Turkiestanu. Mówiono, że w budowli przechowywane są ogromne bogactwa, skrywane pod prawą stopą Buddy, którego wielki posąg zajmował centralne miejsce sali modlitw. Ten tajemniczy skarb często był obiektem pożądania następców Kaniszki, ale gdy tylko próbowali go sobie przywłaszczyć, trzęsła się ziemia, zmuszając ich do ucieczki. Hiuang-Tsang długo modlił się do Buddy, palił kadzidła przed posągiem, aż wreszcie nakazał swoim robotnikom kopać. Nic się nie stało. Wydobyto dębowe skrzynie pełne złotych monet i przedmiotów z kości słoniowej z Begram. Kilka z nich jest dziś moją własnością. Na końcu znaleziono wazę z Aleksandrii, dzieło o nieoszacowanej wartości.

Przerwał i zaczął się we mnie wpatrywać.

- Pewnie ojciec o niej słyszał.

Potwierdziłem, dodając, że o ile wiem, można mówić raczej o legendzie niż rzeczywistym przedmiocie. Nie zważając

na to, kontynuował coraz bardziej natchnionym tonem.

- Waza pochodzi z I wieku, została wykonana z dmuchanego szkła. Wryto na niej obraz słynnej latarni morskiej na Faros. Jest cenna, bo przedstawia jedyny na świecie wizerunek tej niezwyklej budowli, będącej nadzwyczajnym połączeniem wiedzy architektonicznej i piękna. Dalsza historia dzieła jest pełna zawirowań. Śledziłem ją, bo dzięki temu mogłem wydobyć najlepszą cząstkę siebie. Salomon mówił, że wszystko jest próżnością, nawet to, że istnieje my. Trzeba byłoby zatem pozbyć się również życia. Ale jeśli ktoś go zasmakował, jak miałby to zrobić? Waza jest dla mnie moim życiem, najszlachetniejszym rodzajem próżności, której nie da się w żaden sposób zastąpić.

Z uśmiechem kiwał i szukając mojego poparcia, powiedział:

- Wielebny Ojcze, nikt nie staje się prorokiem, jeśli wcześniej nie był pasterzem, ale prawie wszyscy pozostają pasterzami. Ojciec, jako niepoprawny optymista, ma pewne możliwości rozwoju. Proszę pójść ze mną, coś ojcu pokażę.

Serdecznym gestem wziął mnie pod ramię i obdarzeni przez siostrę Lucjanę czułym spojrzeniem, wyszliśmy z pokoju. Przed nami był mały korytarz i troje drzwi: jedno po prawej stronie, jedno po lewej i jedno na wprost. Schutz otworzył kluczem drzwi z prawej strony i zapalił światło. Znajdowaliśmy się w bardzo małym pomieszczeniu. W środku był podest, a na nim batuta.

- Oto mój sekret. Daję go ojcu w prezencie. Chciałem być dyrektorem orkiestry, ale nie miałem takich umiejętności jak Bruno Gruber. Wielebny Ojcze, każdy ma jakiś sekret, którym może się podzielić z przyjacielem. Proszę mi teraz ofiarować jeden ze swoich.

Chciałem mu powiedzieć, że pozostał nazistą, a ja kocham pokój i braterstwo między ludźmi i o to się modłę. Zamiast tego zawołałem:

- Chcę prawdy! W tych okolicznościach wręcz się jej domagam!

Spojrzał na mnie z bólem. Zamknął oczy. Otworzył je i wyszeptał:

- Nasze czyny idą za nami.

Prawda?

Wróciliśmy do pokoju. Wielebna Matka nie ruszyła się z miejsca. Dostrzegłem nieobecny wyraz twarzy. Wydawała się pogrążona w myślach, jakby kilka chwil samotności dały jej okazję do milczącej i trudnej refleksji nad wszystkimi słowami Schutza.

Schutz zaczął mi wyjaśniać, że przed Don Kichotem każde przedsięwzięcie było skazane na sukces. Argonauci zdobyli złote runo, Ulisses powrócił do domu i zwyciężył. Don Kichot jako pierwszy poniósł klęskę. A król Achab? Został unicestwiony przez białego wieloryba. Podobny los spotkał jego kraj. Hitler miał wielką misję do spełnienia. Fuhrera można utożsamiać z królem Achabem. Białym wielorybem były państwa, które pokonał, bo w jego oczach brakowało im silnych ideałów budujących fundament narodu, który chciał mieć przed sobą przyszłość. Achab-Hitler walczył przeciwko bezwolnym waleniom, którym nie w smak były wyzwania rozumu, i dlatego przegrał.

Przygoda jest dla narodu jedynym lekarstwem na melanczolię. Hitler to rozumiał, jako jedyny w starym świecie. Każda rewolucja ma swoich bojowników, myślicieli i rekiny. Bojownicy z jego odważnego kraju zostali zabici, myśliciele z tego upartego kraju zamordowani, zostały tylko rekiny.

Potem wrzasnął, że władza wymaga prestiżu, a prestiżowi potrzeba dystansu.

Opowiedział mi, że po wypadku na via Nazionale przebył rekonwalescencję w Niemczech, a po powrocie do zdrowia został przeniesiony na front wschodni. Ciągle myślał o Lucjanie. Rosła w nim nienawiść do Bruno Grubera. Znalazł się w obozie jenieckim na Syberii, który cudem przeżył. Po powrocie do Niemiec skończył studia archeologiczne, rozpoczęte krótko przed wybuchem wojny. Obronił pracę na temat sztuki gandharskiej.

Wyjechał do Rzymu, gdy tylko pojawiła się taka możliwość. Była wiosna 1950 roku. Od razu poszedł do szpitala Bonifratrów, ale Bartłomiej zmarł, a brat, który zajął jego miejsce, niewiele wiedział o zdarzeniach z przeszłości. W chaosie wojny wiele się wydarzyło i nie wszystko do niego dotarło. Pamiętał jednak zakonnicę, która wyjechała krótko po śmierci brata Bartłomieja, a ktoś opowiadał mu, że wcześniej, wiosną '44, została aresztowana przez nazistów i przewieziona na via Tasso. Nic więcej o niej nie wiedział.

Schutz przerwał i powiedział, że te słowa wprawiły go w bezgraniczne osłupienie. Lucjana była zakonnicą! Przez następne lata próbował ją odnaleźć, jednocześnie śledząc w gazetach karierę Bruno Grubera. Stał się jednym z największych światowych ekspertów w dziedzinie sztuki gandharskiej; konsultantem British Museum i Fundacji Gulben kiana w Lizbonie, autorem dwóch książek - o wazie z Aleksandrii i Stupach z Haddy - które badacze uważają za fundamentalne w tej materii. Dzielił czas pomiędzy konsultacje dla kolekcjonerów, kongresy, konferencje i aukcje. Wtedy zdarzyło się coś, co radykalnie odmieniło jego życie.

Zwykle jadał posiłki w barze przed głównym wejściem do British Museum. Zawsze było w nim pełno studentów

archeologii i profesorów. Pewnego dnia znalazł na swoim stoliku ilustrowany magazyn. Zostawił go ktoś, kto jadł tam przed nim. Kelner sprzątał stół, a on wziął gazetę do ręki i mechanicznie zaczął przeglądać. Nie wiedział, co nim kierowało, ale po tym, co zobaczył, stwierdził, że był to impuls miłości. Jego oczom ukazała się twarz Lucjany, duża fotografia na całą stronę. Marzenie Schutza spełniło się jak za dotknięciem magicznej różdżki. Najpierw myślał, że to przywidzenie, emocjonalny wytwór wyobraźni. Zamówił whisky. Nigdy nie pił alkoholu o tej porze. Szybko połknął zawartość szklanki i ponownie spojrzął na fotografię. To naprawdę była ona! Przebiegł wzrokiem po jej oczach, ustach, czole. Trochę się postarzała, ale nadal była piękna i pełna blasku. Przeczytał artykuł. Opowiadał o pobycie niezwyklej zakonnicy w Jordani i jej misji we włoskim szpitalu w Keraku. Kierowała nim i szukała funduszy na zakup nowoczesnego sprzętu, niezbędnego w placówce, która zyskiwała status najlepszej w kraju.

Następnego dnia wyjechał do Keraku. Lucjana przyjęła go z prostotą, okazując mu to, co określiła mianem chrześcijańskiej miłości. Wyznał jej, że zawsze ją kochał, ale teraz szanuje jej powołanie. Chciał tylko jej pomagać i móc czasem na nią patrzeć.

Wszystko to działo się w 1962 roku i od tego czasu spędzał sierpień i Boże Narodzenie w Keraku. Starzeli się z Lucjaną w spokoju, a szpital osiągał coraz wyższy stopień zarządzania i skuteczności, między innymi dzięki stałym darowiznom Schutza. Minęło im w ten sposób niemal czterdzieści lat. Był tylko jeden temat, którego nigdy nie poruszali: Bruno Gruber.

Chcąc być bliżej Lucjany, w 1996 roku przeniósł swoją działalność do Jerozolimy i Ammanu, pozostając konsul-

tantem British Museum i Fundacji Gulbenkiana. Wynajął pokój w Hotelu Continental w Ammanie, a drugi w American Colony w Jerozolimie. Kiedy tylko mógł, jeździł do Keraku i spędzał tam sporo czasu.

Niewiele ponad dwa lata, na konwencji poświęconym sztuce gandharskiej, zaczął go dziwny człowiek, który kazał się nazywać Szejkiem. Zaprzyjaźnili się. Wkrótce Szejek zaprosił go do swojej willi, niedaleko Góry Nebo. Po wysmienitej kolacji zaproponował mu rozprawienie dzieł sztuki gandharskiej, między innymi słynnych przedmiotów z kości słoniowej z Begram, wśród kolekcjonerów, którzy z pewnością nie będą nagłaśniać sprawy. W gruncie rzeczy zaproponował mu udział w nielegalnym handlu, a Schutz przystał na propozycję z myślą, że ocali arcydzieła i odda je w ręce tych, którzy będą się nimi mądrze cieszyć.

Opowiedział mi potem, że fala turystów, która przetoczyła się przez Afganistan przed wojną ze Związkiem Radzieckim, przyczyniła się do grabieży wielu znalezisk. W wielu przypadkach były to prawdziwe arcydzieła. Obiektem kradzieży były stupy z rzeźbionymi reliefami, a ich stiuki sprzedawano na bazarze w Kabulu. Mówił rozemocjonowany, że na stupach z Haddy znajdowały się nie tylko postacie świętych o apollinijskich rysach, ale również ludzi z plemion Yhagistanu. Ich żyjącymi modelami byli Kaspijczycy, o których pisał Herodot, przodkowie współczesnych Pasztunów.

Był przekonany, że posiadanie dzieł powstałych w Gandharze jest nie tylko poznaniem pewnej epoki w historii sztuki, ale przyswojeniem sobie ukrytego ducha ludzi gór, pasterzy i wojowników, których czerwonawe twarze nadawały posągom i stiukom głębokiej i autentycznej energii i prawdy.

Powiedział mi, że pierwsze przedmioty pochodzące z Had-
dy pojawiły się na rynku w Peszawarze pod koniec lat sie-
demdziesiątych. Afgańscy żołnierze, nie do końca świadomi
wartości skradzionych rzeczy, za kilka dolarów odstępowali je
handlarzom z Dżalalabadu, a potem bez problemu były prze-
wożone przez Przełęcz Chajberską i odsprzedawane kolegom
z Pakistanu, którzy byli już zaznajomieni z tym powszechnie
występującym w Dolinie Peszawaru rodzajem sztuki. W ten
sposób narodził się handel, który w okresie wojny z Rosja-
nami urósł do niebotycznych rozmiarów. Nabywcami byli
przede wszystkim kolekcjonerzy z pasztuńskiej arystokracji,
posiadający ziemie w Pakistanie i bogaci mieszczenie z Pen-
dżabu, od dawna mieszkający w Peszawarze.

Przedstawił szczegółową listę przedmiotów, które znalazły
się w posiadaniu Szejka. Przedmioty z malowanego szkła,
przedstawiające różne scenki, między innymi walkę trackiego
gladiatora z Samnitą; naczynia na wino w kształcie ryby i
maski z brązu z wizerunkiem Meduzy; alabastrowe wazy i
tabliczki z grawerowanej kości słoniowej pochodzące z Indii;
grecko-rzymskie przedmioty z brązu, złote lampy w kształcie
słonia, przedmioty z chińskiej laki, płytki z kości słoniowej,
na których z niezwykłą pieczołowitością wyryto sceny przed-
stawiające najbardziej intymne elementy pałacowego życia
książąt z Begram. Z Aleksandrii pochodziły przedmioty ze
szkła millefiori powstałego z szeregu różnokolorowych, sto-
pionych ze sobą płytek, która to sztuka została doprowadzona
do perfekcji w I wieku po Chrystusie. Był wśród nich kielich
faraona z rysunkiem przedstawiającym statek wojenny, han-
dlowy i rybacki będący syntezą różnych jednostek, które w tej
epoce zakotwiczały w wielkim porcie. Poza tym unikatowa
aleksandryjska waza o nieoszacowanej wartości.

Dzieła sztuki dostarczał Szejkowi niejaki Visser, tajemniczy osobnik, do którego Schutz nie poczuł sympatii. Nie wiedział o nim nic konkretnego.

Pewnego wieczora Lucjana wyjawiała mu prawdę o swoim związku z Gruberem. Skłoniło ją do tego zaproszenie na koncert do rzymskiego teatru w Gerasie. Myślała, że skoro minęło tyle czasu, wszystkie problemy związane z przeszłością zostały pokonane. Schutz poczuł atak potwornej, przesywającej duszę zazdrości, chociaż zdawał sobie sprawę, że to uczucie jest całkowicie irracjonalne.

Po wojnie próbował zapomnieć o swojej młodości w SS. Z trudem zdołał odpędzić od siebie potwora, który rósł w nim i stale mu towarzyszył aż do dwudziestych urodzin. To było jak choroba, zaraza, którą przeżył dzięki sile woli i świadomości, że jego kraj stracił wszystko. Próbował zachowywać się z godnością w świecie, który powstał bez jego udziału, ale którego stał się częścią. Zaczął żyć zgodnie z logiką, kulturą i prawem zwycięzców. Świadomie wspominał swoją nazistowską przeszłość, traktując ją jako coraz bardziej niewyraźną plamę.

Z tego powodu, przez wzgląd na swoje oddanie Lucjanie, poświęcił się działalności dobroczynnej na rzecz szpitala w Keraku.

Niespodziewane i przesywające odkrycie, że Bruno Gruber choć jeden raz mógł zaznać miłości z Lucjaną, zaznając wspaniałego i niepowtarzalnego szczęścia, obudziło w nim dawnego dwudziestoletniego potwora. Bruno Gruber stał się uosobieniem wszystkich Żydów, z którymi walczył. Postanowił, że zabicie go będzie symbolicznym zwieńczeniem dzieła, którego nazizm nie zdołał dokończyć.

Jedyną prawdą w jego życiu była siostra Lucjana. W jego oczach była świętą, która leczyła i ratowała chorych - nie

kobietą, która nocą '44 oszukała go i ocaliła Grubera. Nie był w stanie obarczyć jej żadną winą. To ten Żyd, Gruber, zniszczył mu życie, co jeszcze bardziej potęgowało w nim nienawiść.

Hitler zginął z winy Żydów, a osobiste życie Schutza legło w gruzach przez jednego z nich. Wiedziony bezwzględna, totalną nienawiścią, postanowił, że zrobi coś, co uważał za akt sprawiedliwości.

Przebywał w Jerozolimie, planował spotkanie z Visserem i Szejkiem. Mieli podjąć decyzję w sprawie najcenniejszego eksponatu, którym dysponowali - wazy z Aleksandrii. Pewien amerykański kolekcjoner, który chciał pozostać anonimowy, zamierzał ją kupić za dziesięć milionów dolarów. Schutz obawiał się, że za tą ofertą kryje się pułapka. Przedstawicielem tajemniczego kontrahenta był niejaki Omar Rabbo, informator Tsometu, zamordowany później przez Vissera.

Schutz przeczytał w gazecie, że Bruno Gruber dyryguje w Filharmonii „Symfonią fantastyczną” Berlioza. Poszedł na koncert. Oklaskiwał muzyków z wielkim entuzjazmem, bo ich interpretacja była cudowna, a dźwięki nadzwyczajne. Cierpliwie czekał, aż Bruno Gruber pójdzie na kolację. Wyszedł z restauracji po godzinie, w towarzystwie jakiejś drugiej osoby. Właśnie minęła północ. Znajdowali się niedaleko Muzeum Holokaustu, ulica była pusta, w pobliżu nie było żywego ducha.

Pomyślał, że to idealne miejsce na śmierć Żyda, któremu udało się przeżyć i odnieść zwycięstwo. Wsiadł do samochodu zaparkowanego przed muzeum, maksymalnie wcisnął pedał gazu i uderzył w Grubera. Wysiadł, żeby się upewnić, że nie oddycha, po czym spokojnie odjechał. Potem na kawałku papieru napisał „Rosenkrantz i Guildestern nie żyją”, bo poprzez wyeliminowanie drugiego syjonistycznego szpiega

misja rozpoczęta w '44 roku została ukończona. Skrupulatność nakazała mu zanotować na odwrocie kartki numery rejestracyjne samochodu, który nie należał do niego, ale do Vissera, jakby chciał mieć pisemny dowód wykonania egzekucji dla archiwum SS.

Przerwałem mu, używając podobnego języka. Wyrok śmierci został wykonany na trzech Żydach, a nie dwóch. Spojrzał na mnie zakłopotany. Chodzi o skrzyпка, który tej nocy był z Gruberem, podpowiedziałem i dodałem, że nie rozumiem, dlaczego zamordował go przez Ścianą Płaczu. Rytualne morderstwo? Oschłym tonem stwierdził, że o ile wie, zmarł na atak serca.

- Śmierć z przyczyn naturalnych, Wielebny Ojciec - powiedział ironicznie.

Egzekucja Grubera spowodowała, że ostatecznie zginął potwór, którego w sobie rozbudził. Od tej pory odzyskał spokój. Także dlatego, że wielu takich Gruberów, poprzez swoją dwulicowość i mało etyczną przebiegłość, wpłynęło na opinię większości, uzbrajając wojska, które okupowały Niemcy wbrew wszelkim prawom wojennym.

Słuchałem tego wszystkiego bez słowa, ale w moich myślach pojawiła się obawa, co by się stało ze światem, gdyby zwyciężyli tacy, jak Schutz.

Próbowałem wyobrazić sobie głęboki żal i ból, który na wieść o tym wszystkim odczuwała siostra Lucjana. Być może istniały dwa różne sposoby przeżywania religii. Ale czy istniały różne postawy wobec Boga? Nigdy dotąd w to nie wierzyłem. Wewnętrzna gwałtowność Schutza z jednej strony i absolutna wiara siostry Lucjany, która swoim milczeniem dawała mi do zrozumienia, że w pewien sposób zdołała oswoić tę potworność, z drugiej dotykały mnie do żywego.

Siostra Lucjana była w stanie rozłożyć ramiona szerzej ode mnie. Nie sądzę, żeby Schutz przejrzał moje myśli, ale dostrzegłem w jego oczach coś na kształt zaciekawienia. Spuściłem wzrok, nie miałem ochoty na niego patrzeć. Kontynuował swoją opowieść.

Visser potrzebował sporych sum na akcje terrorystyczne Hamasu i dlatego był gotowy sprzedać arcydzieła z Gandhary pierwszemu lepsze kupcowi. Z kolei Schutz wolał znaleźć kolekcjonerów, którzy potrafiliby docenić te artystyczne cuda.

To nie był błahy konflikt, wyjaśnił Schutz. Coraz bardziej niepokoiła mnie ta jego fantazja, wybiegająca w nieznanym mi kierunkach, które w żaden sposób mnie nie interesowały.

Powiedział mi, że wysłał Nadavovi Gruberowi, do którego nie żywił urazy, choć był synem człowieka, który zrujnował mu życie, kartkę z informacją „Rosenkrantz i Guildestern nie żyją” i dodanym zdaniem „Hamlet jest przy Agron Street 16”. Spodziewał się, że ją przeczytam.

Nadav Gruber nie mógł wiedzieć, że pod nazwiskiem Rosenkrantz krył się jego ojciec, że Guildestern był jego towarzyszem sprzed lat, który popełnił samobójstwo, żeby nie wpaść w ręce nazistów. Chodziło o to, żeby odnalazł Vissera i go wyeliminował. Numery rejestracyjne zapisane na odwrocie kartki miały go utwierdzić w przekonaniu, że ma do czynienia z zabójcą. Tak też się stało. Dodał jeszcze, że Visser zabił Omara Rabbo w domu Szejka, który wpadł na pomysł, żeby przebrać go za zakonnika i zorganizować całe przedstawienie w Qumran. Chciał, żeby Gruber pomyślał, że jego informator padł ofiarą spisku powiązanego z kręgiem franciszkanów i nie powiązał jego śmierci z handlem dziełami sztuki. Chcąc wprowadzić dodatkowe zamieszanie, Szejk rozesłał zdjęcia

Omara Rabbo. Izraelczycy, którzy mieli skłonność do komplikowania spraw, zawsze potrzebowali podwójnej ścieżki i Szejk im ją dostarczył. Miało to zwrócić śledztwo na zupełnie inne tory.

Nagle doznałem olśnienia i przekonałem się, że podobnie rzecz się miała w innych okolicznościach mojego życia. Los nie utożsamiał się z Opatrznością.

Wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Dlaczego nie wpadłem na to wcześniej? Habit, który miała na sobie czarna mewa, należał do jednego ze współbraci, nieżyjącego od kilku lat ojca Wirginio Corbo. Zanim zostałem kustoszem, odwiedził mnie na Nebo Szejk. Zobaczył habit ojca Corbo, który wisiał na wieszaku w moim gabinecie. Z tkliwością opowiedziałem mu o tym wielkim archeologu, który odkrył Dom Piotra w Kafarnaum, a Szejk poprosił mnie o habit, który chciał wziąć sobie na pamiątkę. Miał okazję poznać ojca Wirginio, poza tym stwierdził, że na pewno mam po nim inne przedmioty, więc ten jeden mogę mu podarować.

Nie podzieliłem się tym wszystkim z Schutzem, natomiast chłodno zauważyłem, że historia, którą mi opowiedział, nie brzmi przekonująco. Odparł, że to prawda, a prawda jest czasem banalna.

Marszcząc czoło, dodał, że zdaje sobie sprawę z tego, że jego fantazja była momentami przesadnie wybujała, ale to właśnie ona tkwi u podstaw najbardziej inteligentnych działań. Obmyślił tę skomplikowaną historię i tak poprowadził jej bieg, żebym na zakończenie przyjechał do Keraku. Coś na kształt gry z nagrodami.

A jaka miała być nagroda? Spotkanie z nim? - zapytałem prowokująco. Wykrzyknął, że nagrodą jest ocalenie sztuki Gandhary. Reszta to błażostki.

- Błażostki?

Byłem oburzony. Schutz próbował wywieść mnie w pole. Zapytałem go, dlaczego nastawił Fragranzę przeciwko mnie. Zareagował autentycznym zdumieniem. Nie wiedział o istnieniu nikogo takiego.

Spojrzałem na siostrę Lucjanę. Nie odezwała się ani słowem, ale wyczuwałem jej emocje. Nie byłem w stanie sobie wyobrazić, co się teraz wydarzy. Obdarzyła Schutza niezwykle ciepłym uśmiechem. Nie było w nim przebaczenia, ale niezmierna cierpliwość i zrozumienie, które wynikały z głębokiej wiary w Boga.

Schutz podszedł do mnie. Jego twarz prawie stykała się z moją. Otworzył usta. Pomyślałem, że chce mnie ugryźć. Uświadomiłem sobie, że w jego zmarszczkach, oczach, wargach, policzkach widać coś starego i przebrzmiałego. Wyraźnie poczułem, że umiera. Jego skóra była skórą człowieka, który oddał się od życia. Przyjrzałem się siostrze Lucjanie. Jej oczy błyszczały. Zwróciła się do mnie prawie szeptem.

- Ojciec Mateo, chciałabym znów się urodzić, żeby móc przebaczać od samego początku.

Po jej ciągle pięknej twarzy jedna po drugiej, z wolna popłynęły łzy, a naturalny odcień skóry stopniowo ustąpił miejsca głębokiemu, zakorzenionemu od pięćdziesięciu lat bólowi. Pierwszy raz w życiu byłem świadkiem takiej przemiany. Siostra Lucjana pokazywała mi obraz wielkiego cierpienia. Poczułem, że zaczyna brakować mi powietrza. Wziąłem głęboki oddech, potem kolejny i jeszcze jeden. Schutz powiedział:

- Wielebny Ojciec, mam raka. Niewiele mi zostało. Proszę mnie wypowiedzieć.

Z serca, głowy, rozsądku i wyobraźni wydobył się krzyk, ale gardło, podniebienie i język były tak wyschnięte ze zdeenerowania, że zdołałem jedynie wymamrotać:

- Nie, nie, nie.

Kręcąc głową i powtarzając sobie, że moje „nie” było być może niesłuszne, a przede wszystkim niezgodne z franciszkańskimi ideami, przygryzłem usta do krwi i nie patrząc ani na Schutza, ani na Lucjanę, wyszedłem przygarbiony, cierpiący i zrezygowany.

Cała reszta jest milczeniem

Wyjeżdżałem z Keraku krętą, stromą drogą, mając za plecami stojący od stuleci zamek, którego ogromne, kwadratowe sale były kiedyś miejscem spotkań gotowych do wojny generałów i żołnierzy, a dzisiaj stały puste. Ten widok ułatwił mi tak potrzebne skupienie.

Patrzyłem kiedyś na Morze Martwe z wyższej wieży zamku i wyobrażałem sobie życie, niebezpieczeństwa i wielkie zaangażowanie towarzyszące krzyżowcom. Powoli uwalniałem się od bólu, który na wskroś przeszył moją duszę. Czulem, że odzyskuję spokój. Miałem pewność, że nie odbyłem tej podróży na darmo.

Postanowiłem zrobić sobie małą przerwę. Potrzebowałem nie więcej niż godzinę. Udałem się na poszukiwanie posiadłości Omara Fayeza. Powiedział mi kiedyś, że leży dokładnie pięćset metrów od zamku krzyżowców, kierując się w stronę doliny. Wjechałem w jedyną drogę, którą dostrzegłem w tym miejscu i znalazłem się na kawałku ziemi obsadzonym jabłonią. Wysiadłem z samochodu i zacząłem iść w kierunku drzew. Zerwałem jabłko i ugryzłem kawałek, żeby się przekonać, czy to jedno z moich. Miało ten wyjątkowy smak, którego nie można było pomylić z żadnym innym. Podszedł do mnie rolnik, który chciał się dowiedzieć, czy mi smakuje. Przytaknąłem. Zaproponował, że

sprzeda mi parę kilo. Uśmiechając się szeroko, wyjaśniłem mu, że co roku dostaję trzy kosze jabłek od ich właściciela. Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. Powiedział mi, że drzewa należą do niego. Byłem zdumiony. Dodał, że pewien jego znajomy, Omar Fayez, każdego sezonu kupuje sporą ilość jabłek dla siebie i rodziny. Dawał mu świetną cenę. Jeśli kupiłbym tyle samo, może mi zaproponować podobną sumę. Łakomstwo wzięło górę nad rozsądkiem i dokonałem zakupu. Ale musiałem zawieść te wszystkie jabłka do Jerozolimy w taki sposób, żeby Omar Fayez, regularnie odwiedzający klasztor na Nebo, nie domyślił się, że odkryłem jego sekret.

W czasie drogi powrotnej do Świętego Miasta pomyślałem, że pamięć i historia są przeciwstawnymi pojęciami. Pamięć jest częścią życia i jego ewolucji. Przechodzi okresy amnezji i wyciszeń, jest narażona na wewnętrzne niepokoje. Historia była spokojniejsza w swoim ciągłym biegu. Były momenty, w których czułem, że jest odległa i nie jest moją przyjaciółką, opłakiwałem wtedy wszystkie zagubione wspomnienia. Teraz przeżywałem właśnie taką chwilę.

Fakt, że zapomniałem o Fragranzy, był niewybaczalny, to ona była moim skarbem, nie utracone złote monety. Poczulem falę bezgranicznej czułości i szacunku dla niej i absolutną słabość w stosunku do emocjonalnej przeszłości, o którą nie byłem w stanie zadbać.

Przyszedł mi na myśl fragment z Księgi Psalmów „pójdźmy do domu Pańskiego”, co okazało się dla mojego ducha powiewem świeżego powietrza, który przyniósł mi chwilę spokoju.

Nie byłem w stanie przekroczyć siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, nawet ta prędkość wydawała mi się za duża. Mój czas reakcji znacznie się wydłużył. Zadawałem

sobie pytanie, czy to, co przeżyłem w Keraku, było koszmarem czy próbą wiary. Stanowcze „nie”, które wykrzyczałem z głębi duszy, ciągle krążyło mi po głowie; próbowałem zrozumieć, czy dobrze postąpiłem. Pocieszałem się, powtarzając sobie, że ksiądz jest człowiekiem z krwi i kości, który ma swoje uczucia i nie zawsze jest gotowy przyjąć wszystkich z szeroko otwartymi ramionami.

Siostra Lucjana pojmowała wiarę inaczej ode mnie. Ale i jej, i moja postawa wobec Boga miały w sobie prawdę i duchową głębię. Poza tym nasze życie było ukierunkowane na poszukiwanie i oczekiwanie na rzeczy późniejsze, a wszystko, co nas spotykało, było tylko jednym z etapów na tej drodze.

Archeologia zajmowała istotną część mojej egzystencji, a w czasie pobytu w Jerozolimie godziłem ją z modlitwą, miłością dla bliźniego, codzienną działalnością dobroczynną. Aż do dzisiejszego dnia ta godna podziwu harmonia zapewniała mi wewnętrzną równowagę. Odrza, którą powodował we mnie Schutz i podziw dla całkowitego zrozumienia, które okazała mu siostra Lucjana, zaburzały ten stan. Wiedziałem, że nie mogę zawierzyć jakimś zasadom. Postąpiłem zgodnie z przekonaniem, że jesteśmy sumą wszystkich dni, które przeżyliśmy, a ksiądz zawsze musi mieć to na uwadze.

Strażnicy na moście Allenby i tym razem byli uprzejmi. Wjeżdżałem do Jerozolimy z jedną uporczywą myślą: wrócić do normalności, zapominając o Keraku.

Gdy tylko znalazłem się w Klasztorze Zbawiciela, poprosiłem ojca Giancarlo, żeby zebrał dyskretoów. W gabinecie czekał na mnie Dimmitu, który przywitał mnie mruczając i poruszając ogonem w górę, w dół, w prawo i w lewo. Pomyslałem, że zrobił znak prawosławnego krzyża i poczułem przypływ dobrego humoru, który jeszcze się wzmógł,

gdy podzieliłem się moim spostrzeżeniem z ojcem Giancarlo. Przyszedł mnie zawiadomić, że odnalazł wszystkich dyskretów i że zaraz do mnie przyjdą. Słyszac moją uwagę, poczerwieniał na twarzy, przygryzł usta i zrobił coś, czego naprawdę się nie spodziewałem: wybuchnął szczerym śmiechem. Potem zawołał:

- Wielebny Ojczy, jeśli mogę pozwolić sobie na taką poufałość, powiem, że żartowniś z ojca!

Otworzył drzwi i do gabinetu wszedł mały pochód dyskretów. Ojciec Giancarlo chciał wyjść, ale ruchem głowy dałem mu do zrozumienia, że może zostać. Posłał mi spojrzenie pełne wdzięczności, jakby wreszcie zyskał pewność, że miałem do niego zaufanie. Dyskreci nie zaprotestowali.

Nie powiedziałem, o co mi chodzi. Chciałem ich zadziwić. Objąłem wszystkich po kolei. Kiedy nadeszła kolej ojca Benjamina, uśmiechnął się do mnie, odniosłem wrażenie, że z sympatią. Zdarzyło się to po raz pierwszy.

Zamiast, jak zwykle, lemoniadą poczęstowałem ich innymi napojami. Mrożoną herbatą, coca-colą, gorącą herbatą, tonikiem. Z wyrozumiałością powiedziałem, że jeśli ktoś ma ochotę na wino, koniak, czy whisky, nie stanowi to problemu. Ojciec Giancarlo postara się spełnić każde życzenie. Ojciec Benjamin poprosił o Ballantine'a. Pozostali, w imię franciszkańskiej powściągliwości, wodę z kranu. Ojciec Giancarlo z niezwykłym entuzjazmem opuścił gabinet i wrócił po chwili z butelką Chianti i Ballantine'a. Podeszedł do mnie i szepnął poufałym tonem, który przyjąłem z przyjemnością, że przechowuje w swoim pokoju alkohole na szczególne okazje, chociaż sam jest abstynentem. Uznałem to tłumaczenie za zbędne.

Dyskreci czuli się swobodnie. Być może oni również dostrzegli różnicę w moim zachowaniu, a to miało istotne

znaczenie. Ojciec Ramon i ojciec Rafael podeszli do butelki z winem i najpierw ostrożnie, a potem zachęceni moim spojrzeniem śmiało, nalali sobie dwa kieliszki.

Mówiłem jasno i wyraźnie. Sądzę, że ton mojego głosu komunikował odzyskany spokój.

Rozpocząłem informacją, że sprawa czarnej mewy, która mogła rzucić cień podejrzeń na Kustodię, wyjaśniła się. Wspomniałem, że zmarły nazywał się Omar Rabbo, a zabójcą był niejaki Visser, wiedziony motywem finansowym, który z kolei zginął z ręki Nadava Grubera, strzelającego w obronie własnej. Visser przebrał Rabbo za franciszkanina, żeby skierować w inną stronę śledztwo Kuzynów od Ściany. Ojciec Benjamin nie zadawał pytań, przypisałem to chęci oszczędzenia mi kłopotliwych wyjaśnień.

Korzystając z dobrej atmosfery, uznałem, że nadszedł czas na przedstawienie kilku propozycji. Przede wszystkim, jeśli się zgodzą, starałbym się przekonać rząd Kuzynów od Ściany do pomysłu przekształcenia wojskowych punktów kontrolnych - miejsc upokorzeń, nienawiści i śmierci - w centra modlitwy. Aby nadać tej idei konkretny wymiar, wraz z naszymi wiernymi udamy się na pielgrzymkę po kolejnych punktach kontrolnych, gdzie uklękniemy i zmówimy *Zdrowaś Mano* i *Ojczy nasz*. Będzie to przypominać współczesną Via Crucis. Siła naszej wiary prawdopodobnie skłoni Kuzynów od Ściany do przyjęcia tego, co mogłoby się wydawać jedynie piękną utopią. Na twarzach dyskretnych zobaczyłem aprobatę i odważyłem się nakreślić im bardziej skomplikowany projekt. Zastrzegłem, że to tylko robocze założenia, wszystko można przedyskutować.

W następnej homilii zasugeruję, uprzedzając wcześniej Sekretariat Stanu Stolicy Apostolskiej, żeby przenieść siedzibę ONZ do Jerozolimy. Oprócz głębokiej wymowy symbolicz-

nej w grę wchodził aspekt ekonomiczny. Do pracy w Świętym Mieście przyjęto by tysiące ludzi, bez względu na rasę i wyznanie. Kuzyni od Ściany i Przyjaciele ze Skały spotykali by się każdego dnia bez pałek i pasów z materiałami wybuchowymi, współpracując w tych samych urzędach z Indianami, Włochami, Irakijczykami, Afgańczykami, Europejczykami, Rosjanami, Chińczykami, Japończykami, Afrykanami.

Tym razem dostrzegłem obojętne uśmiechy i żeby nie zmarnować osiągniętego do tej pory konsensusu, zmieniłem temat, opowiadając o przygotowaniach do koncertu na rzecz pokoju na Górze Nebo. Mieli w nim uczestniczyć bracia innych wyznań. Na zakończenie podkreśliłem, że fakt, iż miejsca obok siebie zajmą greko-prawosławny patriarcha Alekos, Główny rabin Moshe Halevy i Wielki Mufti Sulejman Rantisi, ma nie tylko ogromną wartość symboliczną, ale jest stanowczym i zbiorowym głosem przeciwko wojnie i terroryzmowi. Naturalnie miałem zamiar powiadomić wszystkie światowe stacje telewizyjne, żeby mogły zarejestrować to wydarzenie.

Powiedziałem, że wolność jest też prawem do tłumaczenia ludziom tego, czego nie chcą usłyszeć.

Powiedziałem, że w Jerozolimie przezorność umysłu powinna się mieszać z pewnością wiary.

Powiedziałem, że zdaniem wielu kultura jest kosztowna, ale zapominają, że cena ignorancji jest znacznie wyższa.

Powiedziałem, że jeśli pokój na Bliskim Wschodzie zależy od dialogu między kulturami i poszanowania obustronnych tożsamości i wspomnień, to mały cud, który niedawno miał miejsce w paryskich pomieszczeniach UNESCO, jest dowodem, że poza obrębem fizycznych murów i barier nienawiści, nadzieja nie umarła.

Po trzech latach walki na zakazy Kuzyni od Ściany i Przyjaciela ze Skaty podpisali porozumienie o współpracy na rzecz ochrony zabytków i świętych miejsc Jerozolimy, które do tej pory były *dziedzictwem ludzkości* tylko w urzędowych definicjach. Uzyskano też zgodę na odrestaurowanie medresy Al Ashrafiya, najważniejszej szkoły koranicznej w Jerozolimie znajdującej się w kompleksie Wzgórza Świątynnego. Poczytywałem to za dobrą wróżbę.

Przedstawicielom obu stron udało się porozmawiać w tak bezpośredni sposób, bo wystrzegali się paraliżującej logiki zagadnień politycznych i militarnych, nie przenosząc jej na grunt kultury i sztuki. Nigdy przedtem słowo porozumienie nie zostało wypowiedziane w tak wyraźny sposób.

Oczywiście to nie wystarczy, by zlikwidować nienawiść, ale pokazuje, że istnieje całkiem realna możliwość. Dyskretnie uśmiechali się ciepło i uznałem, że w końcu zyskałem sobie ich sympatię. Na koniec z bardzo poważną miną powiedziałem, że odtąd wszystkie posiłki będę jadł razem z nimi w refektarzu.

Pożegnaliśmy się i wszyscy wyszli. W drzwiach pojawił się Vidigal i obwieścił, że jeśli nie mam nic przeciwko, weźmie roczny urlop sabatowy¹⁸. Stwierdziłem, że z trudem zniosę tę rozłąkę. Odpowiedział, że ostatnie wydarzenia utwierdziły go w przekonaniu, że nie są mi już potrzebne jego rady. Nareszcie stałeś się kustoszem - powiedział z pewną emfazą w głosie. Wzruszyłem się. Długo trwaliśmy w uścisku. Potem, śmiejąc się, zapytał:

- Chcesz wiedzieć, dokąd pojedę?
- Oczywiście - odpowiedziałem - będę cię szukać za każdym razem, gdy będziesz mi potrzebny.

¹⁸ Płatny urlop udzielany raz na 7 lat osobie pełniącej funkcje administracyjne lub naukowe.

- A ja się zjawię, mój drogi i mądry kustoszu.

Zamilkł na chwilę.

- Prawosławni bracia zapraszają mnie do tego cudownego klasztoru, w którym byłeś niedawno z Alekosem. I proszę, nie pytaj, skąd o tym wiem.

- Dobrze - odpowiedziałem. Serdecznie uścisnęliśmy sobie dłonie.

Gdy wyszedł, zjawił się ojciec Giancarlo i zaanonsował Naturiana i Kaciaturiana, mówiąc z niejakim zadowoleniem:

- Pozwolę sobie stwierdzić, Wielebny Ojcze, że miło mieć tylu przyjaciół.

Lutnik Kaciaturian powiedział, że chce dać mi prezent na koncert dla pokoju. Zbudował dwumetrowy kontrabas, dzięki jego rozmiarom można uzyskać lepszą jakość dźwięku. Chciał rozpocząć produkcję altówek, skrzypiec, wiolonczel i kontrabasów, które miały być większe niż zazwyczaj. Nazwałby je *instrumentami z Jeruzolimy*, a czystość ich brzmienia świadczyłaby o prymacie Świętego Miasta. Posłałem mu uśmiech mający wyrażać zachętę. Naturian poinformował mnie, że kupił ten sklep niedaleko Grobu Świętego, o którym mi opowiadał i gdy tylko skończą się prace remontowe, otworzy sklep z zabawkami dla żydowskich, chrześcijańskich i palestyńskich dzieci. Był dla niego świadectwem nadziei i pragnął, żebym to ja zainaugurował jego działalność i go poświęcił. Obiecałem, że przyjdę.

Naturian i Kaciaturian wyszli zadowoleni z gabinetu. Zjawił się uśmiechnięty i rozluźniony ojciec Giancarlo. Powiedział, że ma niespodziankę, która sprawi mi radość. Poprosił, żebym zamknął oczy i zaraz usprawiedliwił się, że pozwolił sobie na tę poufałość, będąc pewny, że nie będę miał mu tego za złe. Zrobiłem, jak prosił. Usłyszałem niewielki hałas, a gdy

po kilku chwilach otworzyłem oczy, na moim biurku stała skrzynka ze złotymi monetami. Bez słowa, wstydząc się swojego mało franciszkańskiego napadu ciekawości, podniosłem wieczko, żeby sprawdzić, czy wszystkie monety są na swoim miejscu.

- A gdzie jest Fragranza? - zapytałem ojca Giancarlo.

Ruchem oczu pokazał na przymknięte drzwi. Zdałem sobie sprawę, że ktoś za nimi stał, ale nie była to Fragranza, tylko Szejk. Skinąłem ręką, żeby podszedł bliżej. Usiadł przede mną bez słowa. Był bardzo poważny. Ojciec Giancarlo domyślił się, że powinien wyjść. Zaraz potem Szejk powiedział:

- Przypuszczam, że oczekujesz wyjaśnień.

- Myślę, że tak - odpowiedziałem.

- Przejdę od razu do rzeczy. Zapewniam cię, że w żaden sposób nie przyczyniłem się do śmierci Omara Rabbo. Chciałbym się zorientować, co wiesz, żeby uzupełnić brakujące elementy.

Opowiedziałem mu ze szczegółami o Schutzu, Gruberze i Visserze, uświadamiając sobie, że w tej sprawie nadal było wiele niejasnych kwestii. Szejk patrzył na mnie i potakiwał głową. Kiedy skończyłem powiedział, że zaciągnął wobec mnie poważny dług, ale muszę mu uwierzyć: zawsze był moim przyjacielem.

Zapytałem, dlaczego użył habitu ojca Corbo, który mu podarowałem, do tak haniebných i niebezpiecznych dla Kustodii celów. Jego odpowiedź była rozbijającą prosta. Nie zdawał sobie sprawy, że wyrządzi mi tak wielką szkodę. Takie tłumaczenie nie było dla mnie przekonujące. Odparł, że mój żal jest zrozumiały. Zwróciłem mu uwagę, że to nie jest właściwe słowo. Trochę piskliwym i niezadowolonym tonem krzyknął, że powinienem zdawać sobie sprawę, że przede wszystkim jest biznesmenem i istnieją pewne szczególne okoliczności,

na przykład trudne negocjacje, w których może się zdarzyć jakiś wypadek. Zapytałem go, kto zabił Omara Rabbo. Potwierdził to, co usłyszałem od Schutza: do zbrodni doszło w jego domu, na Górze Nebo.

Rozmawiali z nim, gdy nagle Visser krzyknął mu w twarz, że jest zdrajcą i strzelił. Tylko jeden raz, prosto w serce. Nadzwyczajna celność, skomentował z podziwem. Potem zapewnił, że zawsze starał się, żeby mnie w to nie wplątać. Jednak stało się inaczej. Wyjaśnił mi, że wiedział o współpracy Omara Rabbo z Tsometem, ale ani on, ani rzecz jasna Gruber nie mieli pojęcia o jego powiązaniach z Mossadem. Te daleko idące środki ostrożności, narzucone przez samego ministra obrony, miały stanowić osłonę dla operacji odzyskania dzieł sztuki gandharskiej. Nic z tego nie wyszło, bo każdy miał inne cele.

On pragnął tego skarbu dla siebie, Rabbo chciał go zdobyć dla rządu izraelskiego, który zwróciłby wszystko władzom afgańskim. Schutzowi zależało na zysku, żeby nadal mógł wspomagać szpital w Keraku. Visser, który był prawdziwym celem Mossadu, zamierzał sprzedać zbiory najlepszemu oferentowi, żeby uzyskać środki na finansowanie Hamasu.

Jak często to bywa w przypadku planów, które powstają przy biurku, stało się coś, czego nikt nie przewidział. Visser, który mieszkał blisko siedziby Tsometu, zobaczył kiedyś Omara wchodzącego do biur agencji i zrozumiał, że jest szpiegiem. Wezwał go do willi na Nebo i zastrzelił, nie sprzedając Szejka o swoich zamiarach. Potem na szczęście dał się zabić Gruberowi, który niczego się nie domyślił.

- Mateo, analizując całą sprawę chłodnym okiem i w szerszej perspektywie, nie wydaje mi się, żeby ten Nadav Gruber osiągnął poziom nieodżałowanego Saula Bialika. Ty natomiast możesz dorównać swojemu poprzednikowi, ale - jeśli

mogę ci coś doradzić - musisz zyskać nieco dystansu i powściągnąć emocje.

Powiedziałem mu ze spokojem, że tłumienie uczuć i emocji jest równoznaczne z ich okaleczeniem. Potworne uczynki Schutza, głęboko poruszająca i bezwarunkowa religijność siostry Lucjany, oddanie Fraganzy, wszystko to dało mojemu duchowi większą świadomość trudności życia według prostolinijnych i logicznych ścieżek. Być może takie nie istniały i miałem tego dobitne świadectwo.

Wstałem zza biurka i uściśnąłem Szejka. Zawołał:

- Wy, franciszkanie, jesteście nieuleczalnymi kapłanami nielogicznej wiary w ziszczanie się rzeczy nieprawdopodobnych. Wiesz, religia potrzebuje mroków, żeby mogła zajaśnieć. Myślę, że ci ich dostarczyłem; przecież liczy się efekt. Nie sądzisz, Mateo?

Dodał, że nie chce wiedzieć, czy Schutz już umarł. W każdym razie niedługo uściska swojego Hitlera.

- A to? - pokazałem mu monety.

- To był błąd, Mateo, wybacz mi. Wykorzystywałem Fraganzę do drobnego handlu, wiesz, czasem sprzedawała jakieś figurki. W ten sposób zarabiała na studia. Pieniądze, które przekazałeś jej ojcu, skończyły się, a ona powiedziała mi, że zapomniałeś o jej istnieniu. Zresztą, kiedy bez uprzedzenia przyjechałeś do willi, była u mnie. Kazałem jej odjechać moim Land Roverem. To nie była dobra okazja na spotkanie, nie uważasz?

Kiwnąłem głową. Mówił dalej:

- Przyszła kiedyś do kasyna w Jerychu i poprosiła mnie o pracę. W każdym razie Fraganza, naprawdę nie rozumiem, dlaczego nadałeś jej takie śmieszne imię¹⁹, zaczęła dla mnie

¹⁹ Fraganza (wl.) - aromat, woń.

pracować, ponieważ stawiała cię na piedestale, ponad wszystkim i wszystkimi, postanowiła spotkać się z tobą w dniu skończenia studiów, żebyś przekonał się, ile osiągnęła. Nie mogła się jednak doczekać i zaprosiła cię do Gazy. Była przekonana, że ją rozpoznasz i twoje zachowanie bardzo ją rozczarowało. Wyżaliła się przede mną, cierpiąc z powodu twojej obojętności. Potem poszedłeś do teatru i nadal nie domyślałeś się, że jest dziewczyną, którą wychowałeś. Była tak zrozpaczona, że naprawdę mnie to poruszyło. W dodatku wyjawiała mi, że ma zaburzenia wzroku i okulista zdiagnozował u niej rzadką chorobę. Nie pamiętam medycznego terminu, ale to coś, co może doprowadzić do ślepoty. Nie miała pieniędzy na operację, potrzebowała ogromnej sumy. I wtedy, Mateo, wpadłem na pomysł.

- A więc to ty! - krzyknąłem.

Spojrzałem na niego surowym wzrokiem. Miał wyraz twarzy dziecka, które przyłapano z rękami ubrudzonymi czekoladą.

- Wysłałem do ciebie Vissera w przebraniu mnicha, żeby sprawdzić, gdzie trzymasz monety. Przekazał mi tę informację i... no więc dostałeś pałką w głowę od Fraganzy, Mateo. Przestrzegałem ją, żeby za mocno nie uderzyła, ale była na ciebie taka wściekła! A cała reszta i owszem, wynikała z mojej - nazwijmy to - inwencji.

- Nie mogłeś sam pożyczyć jej pieniędzy na operację?

Skrzywił się.

- Mateo, jestem człowiekiem interesu. Nie mogłaby mi oddać. A tak - wszystko było jasne: jeśli wykona zlecenie, zapłacę za chirurga, klinikę i pokryję inne wydatki. Ale gdy monety były już w moim posiadaniu, zrobiłem w środowisku szybkie rozeznanie i przekonałem się, że ich sprzedaż nie będzie możliwa. Były zbyt znane. Poza tym Fraganza

była bardzo rozszalona i żałowała swojego złego uczynku, jak go nazywała, więc przyszedłem oddać ci monety. I mam dla ciebie prezent.

Wyszedł z gabinetu i za chwilę wrócił, trzymając w rękach pudło. Podał mi je. Podniosłem wieczko i moim oczom ukazała się waza z Aleksandrii. Jej unikatowa, cudowna faktura, lekkość szkła, a równocześnie jego jednorodność wzbudziły mój podziw wynikający z kolekcjonerskiej pasji.

- Wybaczysz mi, Mateo?

Nie odpowiedziałem na to pytanie, zamiast tego zapytałem, gdzie są wszystkie pozostałe cenne dzieła sztuki ganderskiej. Powiedział:

- W bezpiecznym miejscu.

- W piwnicy twojego domu u podnóża Góry Nebo?

- Być może. Muszę tylko odzyskać te, które przechowuje nazista. Dostał je od Vissera.

Byłem ciekaw, czy to Szejk poinformował Schutza o różnych perypetiach, które mnie spotkały.

- Oczywiście - odpowiedział, a potem przestrzegł mnie, żebym nie pokazywał wazy zbyt wielu osobom. Odparłem, że uważam ją za dar tajemniczego dobroczyńcy, który będę przechowywał w swoim pokoju w Klasztorze Biczowania, obok złotych monet, o ile afgański rząd oficjalnie nie zażąda jej zwrotu. Szejk stwierdził, że jego zdaniem to odległa perspektywa. I dodał:

- Nigdy nie będziemy współnikami, prawda Mateo?

- Nie - powiedziałem.

Żegnając się ze mną, wyznał, iż zrozumiał, że na mapie źródeł wody nie ma konkretnych wskazówek. Tak naprawdę te studnie nie istnieją. Zawsze to wiedział, ale miał nadzieję na cud, chociaż nie praktykuje mojej religii. Ufał, że wcześniej czy później wpadnę na jakiś inny pomysł. Poprosiłem

go, żeby następnym razem, gdy będzie miał jakieś zamiary dotyczące zbiorów muzeum, oszczędził moją głowę.

Wyszedłem z klasztoru. Miałem spotkanie. Przed Bramą Nową czekał na mnie Nadav Gruber. Poszliśmy na cmentarz na Górze Oliwnej, gdzie byli pochowani jego rodzice. Obiecałem mu to.

Pokazał mi wyrytą na kamieniu datę urodzin i śmierci ojca, a obok zdanie: „Jerozolimo, twoi wrogowie i niszczyciele opuszczą twe łono”.

Postanowiłem, że nie powiem mu prawdy na temat śmierci maestro, bo czasem lepiej pozwolić człowiekowi żyć w przekonaniu, że wie wszystko, wtedy jest szczęśliwszy.

Pomodliłem się nad grobem. Podziękował mi i powiedział, że wreszcie zakończył się dla niego długi okres niepokoju i bólu. Koszmar zapoczątkowany śmiercią matki, który towarzyszył mu w czasie dorastania i nigdy nie udało mu się znaleźć zadowalającego wyjaśnienia.

Od tego dnia, w którym wzruszony ojciec trzęsącym się głosem tłumaczył mu, że mama ich nie zostawiła, ale odeszła na jakiś czas i zawsze będzie nad nimi czuwać, uznał śmierć za coś gwałtownego, okrutnego, niepotrzebnego i ohydneho. Nagłe odejście ojca było dla niego tym samym, co nowotwór, który trawił ciało matki. Nieuleczalną chorobą. Strach przed podobnym końcem przybierał postać pojazdu szarpiącego mu ciało lub węża wysysającego z niego soki i sprawił, że żył w stanie ciągłej niepewności, bo część umysłu koncentrowała się na wiszącym nad nim zagrożeniu.

Ten obraz nieszczęścia obejmujący długi okres jego życia właśnie się zamykał. Odzyskując równowagę umysłu, pokonywał ból spowodowany podwójną stratą. Chciał się jeszcze zastanowić nad różnymi niejasnościami wokół śmierci swo-

jego ojca. Potem przekaże mi wnioski. Na razie odkrycie, że zabójcą był Visser, w pełni go zadowalało. Powiedział mi:

- Kiedyś odwiedziliśmy z ojcem grób Brucknera w opactwie św. Floriana, niedaleko Ansfelden. Przeżyłem moment głębokiego, wstrząsającego całym ciałem wzruszenia, kiedy mój ojciec zawołał: „O śmierci, gdzie twoje żądło?”

Gruber miał łzy w oczach. Zmówiłem modlitwę przy grobie jego matki, który znajdował się obok mogiły maestro. W milczeniu odprowadził mnie do klasztoru. Pożegnaliśmy się w przekonaniu, że bardzo długo się nie zobaczymy. W każdym razie, oboje mieliśmy taką nadzieję. Wspiąłem się po schodach i wszedłem do mojego gabinetu. Na szczęście nikt na mnie nie czekał. Zszedłem więc do kaplicy, żeby się pomodlić. Chciałem побыć sam.

Zamknąłem oczy i powiedziałem Panu, że dziękuję mu za moje cierpienia. Uważałem je za próbę wiary i dobrze wiedziałem, że miłość polega zarówno na dawaniu, jak i przyjmowaniu. W oczach ludzi nie ma niczego, co zniekształca ciało tak, jak cierpienie, ale w oczach Boga nic tak nie upiększa duszy, jak cierpienie z radością.

Zdałem sobie sprawę, że ktoś za mną stoi. Odwróciłem się i zobaczyłem Fragranzę. Wyszeptała:

- Kiedy jesteś gotowy, Nauczyciel przybywa.

Odpowiedziałem:

- Liczy się dusza.

Rzuciła mi się do stóp, uścisnęła stopy, próbowała ucałować mi ręce. Podniosłem ją z ziemi i przycisnąłem do siebie. Myślę, że staliśmy tak przez dłuższą chwilę. Kiedy się do mnie odezwała, dowiedziałem się, że wkrótce wyjeżdża do Lugano, do kliniki specjalizującej się w operacjach okulistycznych. Będzie jej towarzyszyć Chayie, która opłaci też podróż. Był to jej sposób na wyrażenie wdzięczności za to,

że rozwiązałem jej problemy z mężem. Po umorzeniu długu wobec kasyna w Jerychu, Chaim zgodził się na wszczęcie postępowania rozwodowego.

Położyłem jej rękę na ustach, żeby ją uciszyć i zachęciłem, żeby uklękła ze mną na modlitwę. Był to wzruszający moment, w którym niespiesznie, rozmawiając za pośrednictwem Boga, mogliśmy docenić radość z naszego wzajemnego odnalezienia. Potem poszliśmy do mojego gabinetu. Zastaliśmy w nim ojca Benjamina. Uśmiechał się i wydał mi się wyższy. Powiedział:

- Wielebny Ojcze, mam dla ojca niespodziankę. Sprowadziłem z Włoch nowy ekspres do kawy. Najnowszy model.

Spis treści

Od autora • 5
ROZDZIAŁ 1
Czarna mewa • 7
ROZDZIAŁ 2
Podróż i opowieść • 15
ROZDZIAŁ 3
Ogłuszający hałas cmentarzyska • 29
ROZDZIAŁ 4
Mozaiki z Gazy • 39
ROZDZIAŁ 5
Ser • 51
ROZDZIAŁ 6
Dyskreści • 59
ROZDZIAŁ 7
Ból • 71
ROZDZIAŁ 8
Zmartwienia Grubera • 85
ROZDZIAŁ 9
Religijne spotkania • 93
ROZDZIAŁ 10
W willi Szejka • 107
ROZDZIAŁU
Jerozolima pragnień • 119
ROZDZIAŁ 12
W ormiańskim mieście • 137

ROZDZIAŁ 13	
Igor Ter Ovanesian • 153	
ROZDZIAŁ 14	
Fragranza i Dimmitu • 163	
ROZDZIAŁ 15	
Oszustwa i cierpienia • 177	
ROZDZIAŁ 16	
Gruber i Fragranza • 193	
ROZDZIAŁ 17	
Podejrzana śmierć • 209	
ROZDZIAŁ 18	
Zabójca • 215	
ROZDZIAŁ 19	
Niespodzianka Fragranzy • 223	
ROZDZIAŁ 20 Dimmitu i	
Szejka • 235	
ROZDZIAŁ 21	
Modlitwa i spowiedź • 243	
ROZDZIAŁ 22	
1944 • 251	
ROZDZIAŁ 23	
Lucjana • 259	
ROZDZIAŁ 24	
Pasje Schutza • 275	
ROZDZIAŁ 25	
Prawda? • 287	
ROZDZIAŁ 26	
Cała reszta jest milczeniem • 299	